

'

MIASTECZKO

PAX

**KRAŻKA DLA
1 KAŻDEGO**

TAYLOR

A

bdil

MIASTECZKO

3

przełożyła JOLANTA KOZŁOWSKA

Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1998

Tytuł oryginału *The Village*

© Alice Taylor 1992

© Copyright for the Polish translation by Jolanta Kozłowska

© Copyright for the Polish edition by Instytut Wydawniczy Pax,
Warszawa 1998

aficzny serii *Adam Olchowik*, a okładce *Marek Szal Elżbieta*

Burakowska

techniczny *Ewa Dębicka*

00021940

ISBN 83-211-1250-1

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, Warszawa 1998

Wydanie I. **Ark.** druk. 11,25/16

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny SIGNUM

Bydgoszcz, ul. Piękna 13, tel. (052) 345-98-88

Starszym ludziom z Innishannon, od których tak wiele się nauczyłam, a szczególnie Billy 'emu z kuźni, który zmarł, kiedy tę książkę oddawano do druku.

CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ

J

est to opowieść o życiu w miasteczku, a także o niewielkim sklepiu i urzędzie pocztowym. Wówczas, we wczesnych latach sześćdziesiątych, stary świat wyślizgiwał się tylnymi drzwiami, a od frontu wkraczał nowy styl życia. Przekraczając próg małomiasteczkowego sklepu, aby rozpocząć życie kobiety zamężnej, stałam się świadkiem przybycia nowego świata i znikania resztek starego.

Za urzędem pocztowym do stromeoego wzgórza przytulił się rząd małych domków. Mieszkali w nich starsi ludzie, kilkoro w stanie bezzennym. Na głównej ulicy stało sporo dużych domów zamieszkaanych przez samotne kobiety, stare panny. Jedna taka dystyngowana starsza pani pouczyła mnie kiedyś delikatnie: „Najlepszej porcelany nigdy nie zdejmujecie się z półki”. Niektórzy starsi ludzie mieszkali tu od dzieciństwa i przez całe życie codziennie ciężko pracowali. Nie musieli wychodzić z domu, by szukać rozrywki. Znali się doskonale, tak jak mogą się znać tylko ludzie, których rodziny od pokoleń mieszkają obok siebie. Za ich życia nastąpiły wielkie zmiany, ale od tak dawna żyli zgodnie ze starymi obyczajami, że trzymali się ich do końca i zabrali je ze sobą do grobu.

Kiedy przyjechałam, świeżo poślubiona, do sklepiu w miasteczku, przyjęto mnie życzliwie. Żona farmera, która przybyła do tej parafii przed wielu laty, przyniosła

mi jedno ze swych wychowanych na swobodzie kurcząt, a także doniczkę z rośliną obsypaną kwiatkami. Jakiś starszy pan pogładził mnie po głowie i westchnął: „Boże drogi, to teraz dzieci wychodzą za mąż!” Inny popatrzył na mnie z uznaniem i uśmiechając się oświadczył: „Zgodziłbym się jeść raz dziennie, gdybym był twoim mężem”. Ale pewna starsza pani obejrzała mnie krytycznym wzrokiem ze wszystkich stron i orzekła: „Jesteś bardzo chuda i wyglądasz zbyt delikatnie. Nie jestem pewna, czy dasz sobie ze wszystkim radę”.

Były to czasy, kiedy kobiety pracujące jeszcze nie wyrobiły sobie odpowiedniej pozycji w społeczeństwie i przeważnie rzucały pracę, aby całkowicie poświęcić się roli żony i matki. Byłam jedną z takich żon, a moje macierzyństwo zaczęło się w latach sześćdziesiątych, w okresie wyżu demograficznego, kiedy to planowanie rodziny było jeszcze muzyką przyszłości. Jest to więc również opowieść o przeciętnej młodej żonie i matce, która czasem, znużona codzienną, monotonna rutyną pracy domowej i opieki nad dziećmi, próbuje uczynić swe życie bardziej interesującym, przyczyniając się w ten sposób do zmian na małomiasteczkowej scenie.

NA WYSOKICH OBCASACH

N

ie zastanawiałam się długimi godzinami nad wyborem zawodu. W owych czasach nie uważano za konieczne doradzać młodym ludziom, czym powinni się zająć. W ostatnim roku nauki przed uzyskaniem końcowego świadectwa ja i moje koleżanki z klasy przystąpiłyśmy do egzaminów wstępnych w bankach, urzędach państwowych, radach i zarządach rejonowych oraz innych szacownych instytucjach, aby znaleźć pracę pozwalającą związać koniec z końcem. Ja zostałam zaangażowana do służby państwowej: miałam pojechać do Killarney, aby się nauczyć zawodu telefonistki.

Telefon nie był jeszcze wtedy urządzeniem uważanym za niezbędne na irlandzkich farmach, toteż nie stykałam się z nim na co dzień. Łączność ze światem za pośrednictwem telekomunikacji mieli tylko: ksiądz, lekarz, miejscowa mleczarnia i posterunek policji, i to poprzez centralkę w miejscowym urzędzie pocztowym, którą obsługiwał Jim. Poszłam więc do niego na praktykę, by się przyjrzeć, jak też ma wyglądać moje nowe życie. Jim posadził mnie przed tablicą rozdzielczą z rzędami czarnych kłapek, które spadały, kiedy ktoś dzwonił. Włożył mi na głowę słuchawki i podłączył do dziwnej ławy z ciemnego mahoni, przypominającej miniaturowe pianino. Poczułam się, jak gdyby w głowie otworzyły mi się drzwi.

Wyjechałam z domu w październiku, mając na nogach czarne zamszowe pantofle na wysokich obcasach - własność jednej z sióstr, prostą czarną spódnicę - własność drugiej z nich, krótki żakiet z białej wełny, należący

do trzeciej, oraz różowy sweter, mój własny. Wszystkie cztery nosiliśmy odzież mniej więcej tego samego rozmiaru, co pozwalało urozmaicać garderobę każdej z nas. Moje trzy siostry zrobiły, co mogły, abym na pierwszej posadzie zaprezentowała się przyzwoicie. Matka wynajęła miejscową taksówkę i towarzyszyła najmłodszej córce w jej panińskiej podróży w świat. Kiedy przybyliśmy do KiUarney, poprosiła pracującą tam sąsiadkę o radę, gdzie mam zamieszkać. Sąsiadka wskazała nam dom pewnej pani na ulicy Św. Anny.

Prowadziła do niego czarna, skrzypiąca furtka. Po trzech stopniach wchodziło się na wybetonowaną dróżkę wiodącą prościutko do dalszych schodków przed białymi drzwiami frontowymi. Po lewej stronie znajdował się gęsty żywopłot, na prawo niewielki, zielony trawnik. Zastukałyśmy czarną, żelazną kołatką i wyszła nam na spotkanie kobieta, która powitała nas gorąco i zapewniła, że wprawdzie nie przyjmuje lokatorów na stałe, ale mogę u niej mieszkać tak długo, aż znajdę inne lokum. Zaprosiła moją matkę na herbatę, a ja z przebiegu ich rozmowy wywnioskowałam, że matka ze spokojnym sumieniem powierzy jej swoją postrzeloną córkę, wiedząc, że w razie potrzeby Molly potrafi mnie przyhamować.

Z wąskiego korytarza schody po lewej stronie prowadziły do trzech sypialni i łazienki na górze, na prawo wchodziło się do salonu i do kuchni. Dom był ciepły i przytulny, a Molly krzątała się po nim zawsze w dobrym humorze. Czułam się tam prawie jak w domu rodzinnym. Dobrze nam się razem mieszało, więc zostałam aż do momentu, kiedy mnie przeniesiono z KiUarney gdzie indziej. Molly mieszkała sama, ale przyjmowała na noclegi gości, których nie mógł pomieścić miejscowy hotel. Jeśli

przyjezdnych było zbyt wielu jak na pojemność pokoi sypialnych, Molly i ja nocowałyśmy na składanych łózkach polowych w salonie.

W sobotę rano szłyśmy do centrum na cotygodniowe zakupy. Sklepy spożywcze były duże i przewiewne, podłogi w niektórych z nich posypywano białymi, miękkimi trocinami. Molly знаła każdego sprzedawcę i każdego klienta, więc co chwila zatrzymywała się, żeby pogadać o miejscowych nowinkach. W ten sposób dzięki niej i ja poznałam wiele osób. Przyszła już zima, turyści wrócili do siebie, można więc było zobaczyć prawdziwe Killarney. Mieszkańcy byli ludźmi jowialnymi i przyjaznymi; jak się wyraził jeden z nich: „Wszyscy w hrabstwie Kerry są tego samego wzrostu”.

Co sobota wieczór dwaj bracia Molly, kawalerowie, przyjeżdżali z rodzinnej farmy za miastem do Killarney na zakupy, a potem przychodzili do siostry na herbatę. Zawsze uśmiechnięci, zaróżowieni, nosili tweedowe czapki i gabardynowe palta przewiązane paskiem, tryskali zdrowiem i dobrym samopoczuciem. Przysłuchiwałam się z ciekawością, kiedy opowiadali Molly o wydarzeniach tygodnia na farmie. Byli bardzo nieśmiali, ale po paru tygodniach przyzwyczaili się do mego widoku. Cieszyłam się z góry na ich sobotnie wizyty, bo przynosili ze sobą nie tylko swoją zdrową, życzliwą obecność, ale również atmosferę farmy.

Wkrótce po moim przybyciu nieoczekiwanie odwiedził Molly jej wuj Mikey, który całe życie przeżył w Australii. Był to starszy pan, lekko zgarbiony, nosił szary kapelusz, którego nigdy nie zdejmował. Mocno mu dokuczało zimno, więc dreptał w kółko zmarznięty i skurczony albo siadał tuż przy wielkim, czarnym piecu kuchennym, ładując do niego ile się dało

węgla i kłód drewna. Otwierał na oścież wszystkie szyberki, aż ogień buzował z hukiem w kominie, czyniąc z kuchni kotłownię, a resztę domu zamieniając w strefę podzwrotnikową. Molly żyła w ciągłym strachu, że wujek podpali jej dom. Wydawało się to całkiem prawdopodobne, gdyż Mikey był trochę nieprzytomny i roztargniony, na przykład kurki od gazu myliły mu się z kontaktami elektrycznymi. Pewnego dnia wchodząc do kuchni zauważyłam, że wuj Mikey włączył elektryczny czajnik i postawił go na płonącym palniku kuchenki. Sam siedział w kapeluszu o szerokim rondzie, rozparty w wygodnym fotelu przed rozpalonym do czerwoności piecem, i pykał wielką, wygiętą fajkę. W kuchni panował upał i było pełno pary. Wuj Mikey w kłębach dymu z fajki wyglądał jak szary duch i nie zwracał żadnej uwagi na to, co się dokoła niego dzieje. Mógł zatruć się gazem lub zostać porażony prądem, ale na pewno nie dokuczałoby mu zimno.

W owym czasie mieliśmy w Killarney trudności z zaopatrzeniem w wodę, czego wuj Mikey nie mógł absolutnie zrozumieć. Pewnego pięknego dnia ubrał się ciepło i poszedł na spacer. Kiedy wrócił, minę miał bardzo zdziwioną i powiedział do mnie: „Wiesz, ludzie tu w Kerry wcale nie ukrywają swoich problemów zdrowotnych. Słyszałem, jak jakaś kobieta pytała sąsiadkę: «Jak tam dziś u ciebie z siusianiem, Maggie?»*”

Molly była osobą bardzo religijną. Codziennie chodziła na Mszę świętą do katedry o wpół do ósmej rano, a mnie kazała chodzić na ósmą do klasztoru. Ponieważ wracała zbyt późno, aby mnie obudzić, przed wyjściem stawiała mi przy poduszce budzik. Protestowałam przeciwko temu, nie chciało mi się wyłazić z ciepłego łóżka, ale w końcu wstawałam i z przyjemnością szłam ulicą Lewis Road. Smugi dymu z ognisk palących się

wczesnym rankiem na torfowiskach wiły się wśród drzew, napełniając powietrze wspaniałym aromatem. Dojrzałe ogrody wokół starych domów stanowiły wspaniały widok. Kojący spokój, zapach nawoskowanego drewna w klasztornej kaplicy, gdzie bracia zakonnicy w długich brązowych habitach snuli się w ciszy wokół ołtarza, wszystko to stanowiło pogodny początek dnia.

* Ang. *waier* (woda) w pewnych kontekstach może kojarzyć się z moczem (przyp. tłum.).

Po raz pierwszy w życiu miałam teraz własne pieniądze w kieszeni, chociaż, trzeba przyznać, nie było ich zbyt wiele. Płacono mi cztery funty piętnaście szylingów tygodniowo, mieszkanie kosztowało dwa funty dziesięć szylingów, czyli zostawało mi dwa funty pięć szylingów. Wystarczało to zwykle na moje potrzeby, czasem nawet mogłam coś zaoszczędzić. Dzięki temu kupiłam sobie parę butów. Były tanie i twarde, chodziłam w nich jak kaleka, ale w wieku kilkunastu lat bardziej ceni się wygląd niż wygodę. Najwięcej kosztowały mnie bilety do kina i na tańce. Wkrótce przekonałam się, że wydatki są mniejsze, kiedy się chodzi z chłopcem, ale też mniej się ma wtedy swobody, a ja lubiłam chodzić sobie sama, gdzie mi się podoba, nie przywiązana do nikogo żadnymi postronkami. Pewnego razu poplątały mi się te postronki, co doprowadziło do komplikacji.

Wróciłam do Killarney po przerwie bożonarodzeniowej wieczorem w dniu św. Stefana. W drzwiach spotkała mnie wzburzona Molly.

65535 Czy byłaś umówiona na dziś wieczór? - spytała.

65536 Nie - odparłam ze zdziwieniem.

65537No to teraz jesteś - powiedziała z naciskiem. -1 to z dwoma chłopcami naraz. Jeden jest w kuchni, drugi w salonie. Jeden o drugim nic nie wie.

65538O, Boże! - jęknęłam. - Jak to się stało?

65539Być może Sean jest tu z mojej winy - przyznała - bo spotkałam go dzisiaj wmieście i powiedziałam, że wracasz wieczorem. Ale nic niemówił, że chce przyjść. A Pat to już nie przeze mnie.

65540Dobrze, załatwmy najpierw tego w salonie - zdecydowałam. - A kiedy sobie pójdzie, odprawimy drugiego.

Molly się zgodziła, ale zanim zdążyłyśmy przystąpić do dzieła, rozległ się dzwonek do drzwi. Molly spojrzała na mnie z naganą.

- Nie, to niemożliwe - pokręciłam głową.

Ale to było możliwe.

- Powiedziałam mu, że jeszcze nie wróciłaś - oznajmiła wróciwszy od drzwi. - Idź teraz na górę i zamknij się w łazience, a ja skłamię za ciebie jeszcze dwa razy.

Zeszłam na dół, kiedy teren był oczyszczony. Molly uznała, że honorowym wyjściem z sytuacji będzie nigdzie tego wieczoru nie wychodzić, więc zamiast wesołej zabawy, której się spodziewałam, musiałam iść wcześniej do łóżka. Nazajutrz rano Molly oświadczyła uroczyście, że odtąd mam chodzić tylko z jednym chłopcem albo z żadnym. Mój wybór padł na spokojnego młodego człowieka o interesującym umyśle, którego Molly zaakceptowała bez zastrzeżeń. Zaprosił mnie na mój pierwszy oficjalny wieczór taneczny; włożyłam na tę okazję długą, białą suknię pożyczoną od bardziej ode mnie eleganckiej siostry. Wkrótce jednak mego kawalera przeniesiono do Dublina i

zostałam na lodzie.

Byłam najmłodsza w naszym biurze. Wiele koleżanek miało już stałych chłopaków i często zabierały mnie ze sobą na tańce do okolicznych miasteczek. Jeździłyśmy samochodem, zwykle jedna lub dwie dziewczyny towarzyszyły mi na tylnym siedzeniu, chociaż zdarzało się, że siedziałam tam sama. Pewnego wieczoru przysiadł się do mnie spokojny, rudowłosy chłopak. Nie udało mi się nawiązać z nim rozmowy, więc po kilku daremnych wysiłkach dałam za wygraną i gadałam sobie z parą na przednim siedzeniu. Na zabawie spotkałam wielu znajomych z Killarney i bawiłam się świetnie. Wracaliśmy do domu z przyjaciółmi. Rudowłosy, spokojny chłopak znowu siedział w kącie na tylnym siedzeniu. Zrzuciłam pantofle, zwinęłam się w kłębek w drugim kącie i zasnęłam. Nagle obudziłam się czując, że obejmują mnie czyjeś ramiona, a w nos bucha odór piwa. Wymierzyłam rudzielcowi siarczysty policzek i pociągnęłam go mocno za włosy, ale nie ostudziło to jego zapału. Wtedy sięgnęłam ostrożnie po mój pantofel na wysokiej szpilce i uderzyłam chłopaka podbitym żelazem flekiem w kolano. Uderzenie było mocne i dobrze wymierzone. Tak jak przewidziałam, chłopak odskoczył do tyłu, skracając się z bólu. Resztę drogi do Killarney odbył w swoim kącie, a ja w swoim, pilnując mojej cnoty pantoflem na wysokim obcasie.

Po sześciu miesiącach praktyki przy tablicy rozdzielczej w urzędzie pocztowym zostałam przeegzaminowana przez panią inspektor, która znana była z tego, że prawie nigdy się nie uśmiechała. Uznała, że posiadam wystarczające kwalifikacje, aby objąć stałą posadę. Cieszyłam się, że zdałam egzamin, ale było mi smutno, że mam opuścić Killarney, gdzie dom Molly stał się moim drugim domem, a personel urzędu

pocztowego był tak wesoły i przyjazny.

PRACUJĄCA DZIEWCZYNA

Z

innym, szarym marcowym rankiem ciężarówka do transportu bydła przywiozła mnie do Bandon. Nie był to może zbyt dobrze wróżący wstęp do pracy w obcym mieście, ale sąsiad, który wiozł cielęta na nowo zorganizowany targ, zgodził się mnie podrzucić. Tego ranka woda w rzece Bandon była czarna, a most obok urzędu pocztowego błyszczał od szronu. Wysokie domy stały jeden obok drugiego jak żołnierze straży honorowej przy długiej i wąskiej głównej ulicy miasta.

W niewielkim Bandon zgromadziło się tyle rozmaitych wyznań religijnych, że cechą charakterystyczną miasteczka jest różnorodność kościołów. Niektóre z nich wznoszą się dumnie na szczytach okolicznych wzgórz. Pierwszą noc w Bandon spędziłam na poddaszu trzypiętrowego domu na zboczu jednego z tych wzgórz. Długi, wąski pokój pod pochyłym dachem krytym dachówką wchłaniał mroźne nocne powietrze, a twarde

łóżko z wytartymi kocami niezbyt dobrze chroniło przed zimnem. Spędziłam niespokojną noc ze skulonymi nogami, które mi niemal przymarzły do podbródka. Przed piątą rano miałam już całą swoją garderobę na sobie i jeszcze wciągnęłam na łóżko zniszczony dywanik z podłogi. Nazajutrz rano pierwsze kroki skierowałam do sklepu, gdzie kupiłam dwa termofory.

W urzędzie pocztowym w Bandon pracowało sześć dziewczyn i kierowniczką, niezwykle malowniczą postać. Głos miała jak śpiewający ptaszek, a na twarzy, mimo podeszłego wieku, grube warstwy przeraźliwie jaskrawego makijażu. Na głowie nosiła zrobioną na drutach czapkę. Z usposobienia łagodna, starała się uprzyjemniać nam wszystkim życie. Cały niemal dzień spędzała przy dużym stole, licząc śpiewnym głosem kwity telefoniczne i składając je do niewielkiej stojącej obok szafki.

Nie wystarczało linii telefonicznych, aby w godzinach szczytu obsłużyć wszystkich abonentów, musiałyśmy więc łączyć ich po kolei. Czasami jakiś zdenerwowany osobnik żądał rozmowy z kierowniczką i domagał się, aby go bezzwłocznie połączyć, chociaż inni czekali dłużej. Bywało, że kierowniczką łączyła takiego kogoś, jeżeli uznała, że sprawa jest pilna. Bardzo nas to irytowało, ale niemogłyśmy w żaden sposób jej przekonać, żeby tego nie robiła; trzepotała tylko rzęsami i wymachiwała lakierowanymi paznokciami w powietrzu jak egzotyczny motyl. Wygłaszała przy tym górnolotne przemówienia na temat priorytetowych połączeń ważnych osobistości. Nam numery telefonów nic nie mówiły i wszystkich chcieliśmy traktować tak samo. Ale kierowniczką pochodziła stąd i abonenci byli dla niej żywymi ludźmi o zróżnicowanych potrzebach, toteż traktowała ich w odpowiedni sposób. Wierzyła w indywidualne podejście.

Ponieważ byłam najmłodsza, wyznaczano mnie na dyżury świąteczne do urzędów pocztowych po całym West Cork. Zapewniało mi to bardzo pożądany dodatkowy zarobek. W jednym z urzędów kierowniczką często zaglądała do szafki za centralką telefoniczną, myślałam, że trzyma w niej jakieś ważne papiery. Pracował tam też woźny, który zwracał się do nas wszystkich per „dziewczynko”, bo trudno mu było zapamiętać ciągle zmieniające się twarze i imiona telefonistek. Pewnego wieczoru, kiedy pracowałam do późna, zabrał się do sprzątanania.

- Nie jesteś ciekawa, dziewczynko, co sięmieści w szafce za centralką?
Zapytał.

65541 Jakieś rachunki - odparłam, zdziwiona pytaniem.

65542 Tak, różne rachunki, dziewczynko - odpowiedział i otworzył drzwiczki. Za stosem kwitów telefonicznych i rachunków błysnął szereg niewielkich butelek whiskey.

W innym znów urzędzie trzeba było okazać wiele zręczności, aby nie wpaść w łapy lubieżnego kierownika poczty. Jeśli wchodził za tobą po schodach, musiałaś szybko biec albo mocno machać piętami, żeby cię nie złapał tłustymi paluchami za nogę. Kiedy cię wezwał do swego gabinetu, lepiej było uważać, żeby ci nie zastąpił drogi do drzwi. Ciągle omawialiśmy i porównywaliśmy nasze strategie. Miał nad nami pewną przewagę jako szef, ale my - młodsze i zręczniejsze - ruszałyśmy się szybciej i cieszyłyśmy się, słysząc, jak ciężko dyszy przy wspinaczce po schodach, bo wiedziałyśmy, że nie może nas dogonić.

Po paru miesiącach w Bandon ja i dwie koleżanki wynajęłyśmy wspólne mieszkanie. Już od dawna szukałyśmy jakiegoś wspólnego lokalu, pytałyśmy wiele osób, ale jakoś nic się nie trafiało, aż pewnego wieczoru,

spacerując po North Main Street, spojrzaliśmy na wysoki dom po przeciwnej stronie ulicy i zauważyliśmy, że okna na najwyższym piętrze są zasnuwane kurzem i pajęczynami.

65543Może by nam to wynajęli - powiedziałam do Nellie i Eileen.

65544Zapytajmy - zaproponowała Eileen.

Po paru minutach usłyszaliśmy od zdumionej pani w średnim wieku, że nic takiego nie przyszło jej nigdy do głowy, ale żebyśmy się zgłosiły następnego wieczoru, to da nam odpowiedź.

Wprowadziłyśmy się po dwóch tygodniach. Był to duży, zbudowany bez ładu trzypiętrowy dom, zamieszkały przez samotne małżeństwo. Zajęłyśmy dwa z trzech pokoi na najwyższym piętrze. Łazienka z jednym kranem zimnej wody znajdowała się niżej. Pokoje były obszerne, skąpo umeblowane, deski podłogowe skrzypiały, co czyniło późne powroty do domu nieco kłopotliwe. Ale najbardziej podobał nam się kominek. Stary, drew-

niany, z rusztem paleniska osadzonym głęboko i wysoko nad podłogą, którą chroniły zakrzywione żelazne pręty. Dawał dużo ciepła, a na mosiężnej kracie ochronnej mieściły się po obu stronach dwa niewielkie, miękkie, obite skórą siedzenia. Można się tu było grzać w zimne wieczory po powrocie z pracy. Między naszą kuchnią a sypialnią mieścił się jeszcze jeden pokój, który po paru tygodniach zajął młody nauczyciel ze szkoły na tej samej ulicy. Miał dziewczynę, która mieszkała na farmie za miastem i przywoziła mu w prezencie świeże jajka i razowy chleb, z czego my też korzystaliśmy. Podczas weekendów, kiedy on i ja zostawaliśmy sami w mieszkaniu, otwieraliśmy drzwi do naszych sypialni i prowadziliśmy długodystansowe rozmowy przez dwa pokoje.

Stopniowo i reszta domu zapełniła się lokatorami. W jednym skrzydle zamieszkało starsze małżeństwo, które oddało swoją farmę synowi. Mąż wkładał codziennie najlepszy garnitur i szedł na przechadzkę po ulicach miasta. Wyglądał jednak na przygnębionego; kiedy siedział czasem w ogrodzie, przypominał schwytanego do klatki ptaka. Serce mnie bolało, gdy patrzyłam na tego starszego pana, który całe życie spędził na wsi, czując pod nogami ziemię i oddychając otwartą przestrzenią. Pewnego dnia, schodząc po schodach, usłyszałam, że stary farmer pogwizduje wesoło. Zatrzymałam się zdziwiona. „Wracam na stare miejsce”, powiedział z uśmiechem. Okazało się, że syn, któremu rodzice oddali farmę, buduje sobie nowy dom, więc mogą wrócić na stare śmieci. Farmer wyglądał o dwadzieścia lat młodziej, oczy błyszczały mu nowym światłem.

Zagnieździłyśmy się, szczęśliwe, w naszym mieszkaniu, ale musiałyśmy postępować bardzo ostrożnie, bo w niektórych miejscach czas wyłobit swe znamię. Kiedy pewnego ranka, nieświadoma niebezpieczeństwa, otwierałam duże okno w kuchni, zmurszała rama rozpadła się i całe okno znikło mi z oczu, aby rozbić się o bruk trzy piętra niżej. Wychyliłam się ze zdumieniem przez otwór

w ścianie i spojrzałam w dół. Na szczęście nikt akurat nie przechodził.

Chociaż mieszkaliśmy na najwyższym piętrze, sporo czasu spędzałyśmy na parterze, w kuchni, z Danem i panią O'Brien. Chętnie ucinali sobie z nami pogawędkę, a poza tym wyświadczali nam drobne przysługi, na przykład zdejmowali naszą upraną bieliznę ze sznurów w ogrodzie i przynosili do domu. Dan bardzo interesował się polityką. Wieczorem w kuchni zbierali się jego przyjaciele i prowadzili długie polityczne dyskusje,

podczas gdy Dan siedział sobie na krześle z wysokim oparciem, pykał z fajeczki i od czasu do czasu wypowiadał się na tematy dnia. Ponieważ każda z nas osiągnęła już wiek uprawniający do głosowania, Dan przypilnował, żebyśmy się wpisały na listę wyborców. W przeddzień wyborów wezwał nas wszystkie trzy do kuchni i pokazał na próbnej karcie, jak należy prawidłowo oddać głos. Bardzo mu zależało, żebyśmy zakreśliły pierwsze trzy miejsca dla kandydatów z jego ulubionej partii.

Poznałyśmy mieszkańców domów na naszej ulicy; mieściły się tam dwa puby i niewielki sklep spożywczy, w którym wracając z pracy robiłyśmy zakupy. Jeden z właścicieli pubu miał parę innych źródeł zarobkowania, był bowiem również przedsiębiorcą pogrzebowym i roz-nosicielem mleka. Kiedyś, w mroźny poranek, samochód do rozwożenia mleka nie mógł ruszyć z miejsca. Billy wstawił więc bańki z mlekiem do karawanu, zapewniając zaspanym gospodyniom domowym widok tak nieoczekiwany, że obudziły się na dobre. Billy miał pomocnika imieniem Jack, który zajmował się kopaniem grobów. W wolnych chwilach Jack spał w głębi podwórza w starej szopie. Czasami tak się zakopywał w sianie, że pryncypał nie mógł go znaleźć, kiedy chciał mu dać dodatkową robotę. Jeśli Jack długo nie odpowiadał na wołanie, Billy brał widły i kłuł nimi siano, wyganiając go w ten sposób z kryjówki. Po kilku bolesnych spotkaniach z widłami Billy'ego Jack wpadł na lepszy pomysł: włożył do jednej z trumien, które czekały na stałego mieszkańca, i spał zdrowym snem. Ten fortel udał mu się kilka razy, aż wreszcie Billy odkrył jego miejsce spoczynku.

Niekiedy wczesnym rankiem chodziłyśmy na Mszę świętą na drugi koniec miasta. Musiałyśmy starannie obliczyć, kiedy mamy być w

kościół, bo jeden z księży zawsze się spóźniał i był szalenie powolny, a drugi przychodził parę minut wcześniej i odprawiał Mszę bardzo szybko. Kiedy przychodziliśmy do kościoła, a przed ołtarzem nie było nikogo, nie wiedziałyśmy, czy to ten powolny jeszcze nie zaczął, czy ten szybki już skończył. Ów szybki ksiądz regularnie przynosił Komunię świętą pewnemu panu, który nie mógł wychodzić z domu. Wesóły staruszek zwykle mawiał: „Jak tylko słyszę, że zajeżdża jego samochód, wysuwam język”.

Wstąpiłyśmy do Legionu Maryjnego, którego celem było niesienie pomocy starszym ludziom, i z niektórymi z nich się zaprzyjaźniłyśmy. Pewna pani, panna Brown, zrobiła na nas szczególnie wielkie wrażenie. Liczyła sobie ponad osiemdziesiątkę, miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, trzymała się prosto i była tak chuda, że jej długie sukienki wisiały na niej jak na wieszaku. Zwykle nosiła szary żakiet z dzianiny, brązową bluzkę i długą, czarną spódnicę - snuła się po domu jak szary duch. W niedzielę zamiast brązowej bluzki wkładała kremową, atlasową, z kameą przypiętą pod szyją. Była władcza i wymagająca. Zdaje się, że nie miała nikogo bliskiego, gdyż nie wspominała o żadnym krewnym z wyjątkiem „kuzyna, biskupa”, który mieszkał w Australii. Jej zapuszczony ogród pasował jak ulał do przeładowanego wnętrza domu. Meble miała ciemne, wiktoriańskie. Pokój od frontu był cały zastawiony kredensami, zamglonymi lustrami, zapadającymi się kanapami. Na półce nad kominkiem spoczywały pożółkłe od starości twarze w matowych srebrnych ramkach, a zjedzone przez mole zasłony z czerwonego aksamitu utrzymywały pokój w ciągłym półmroku. Ponury, kamienny korytarz prowadził do kuchni, która należała do innej epoki. Wydawało się, że od

długich lat nikt tu niczego nie dotykał. Nikt nigdy nie zapalał ognia w zardzewiałej kuchni, gotowało się na archaicznym prymusie, który stał na stole i kichał czarnym dymem, kiedy ktoś niezręcznie się z nim obchodził. Pod wielkim stołem warczał stary, długowłosy, cuchnący pies; uparcie odmawiał nawiązania przyjaznych stosunków z kimkolwiek, a słuchał się tylko panny Brown.

Krzętałam się w kuchni zawsze zdenerwowana i napięta. Na chwiejących się krzesłach leżały stosy starych gazet. Kiedy ruszyłam cokolwiek, wychodziły z nich zaniepokojone wielkie pająki. Pewnego dnia ze starej kuchni wyskoczył szczur i przebiegł do pudła z gazetami. Zamarłam bez ruchu, ale stary pies zerwał się błyskawicznie z miejsca i przypadł do pudła. Kiedy oprzytomniałam, pobiegłam po znajomego, również członka Legionu Maryjnego, który mieszkał na tej samej ulicy. Szturchnął pudło ze szczurem szczotką, a ja stałam na stole, oglądając wszystko z bezpiecznej odległości. Za każdym razem, kiedy szczur wysuwał głowę, pies zaczynał szczekać, ja wrzeszczeć, a Ted wpychał szczotkę do pudła. Podczas całego tego pandemonium panna Brown, głucha jak pień, siedziała sobie w pokoju od frontu, przyszywając guziki do bluzki. Wreszcie Ted przewrócił pudło na bok i szczurowi prawie udało się wyskoczyć, kiedy pies, raczej przez przypadek niż z rozmysłu, przewrócił go na grzbiet, a Ted dokończył dzieła. Za każdym razem, kiedy później wchodziłam do kuchni, najpierw zaglądałam ostrożnie przez szparę w drzwiach.

Panna Brown dzielnie dawała sobie radę i zachowywała się z wielką godnością, mimo że te ostatnie lata życia nie były dla niej przyjemne. Chciałyśmy doprowadzić jej dom do porządku, ale nie ośmieliłyśmy się jej tego zaproponować; na pewno miałyby nam to za złe. Kiedy nagle się

rozchorowała, na zmianę gotowałyśmy jej posiłki. Klucz do drzwi frontowych wisiał na sznurku wewnątrz skrzynki na listy, więc wyciągaliśmy go i otwieraliśmy sobie same.

Pewnego późnego sobotniego wieczoru, wychodząc od panny Brown, ja i moja przyjaciółka Sheila ustaliłyśmy, że śniadanie nazajutrz przygotuję ja, a ona zajmie się obiadem. Następnego ranka, kiedy otworzyłam drzwi, stary pies skomlał na korytarzu, a w domu panowała dziwna cisza. Wbiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie i pchnęłam drzwi do sypialni panny Brown. Leżała wychylona z łóżka, a w pokoju czuć było ostry zapach wymiocin. Wciągnęłam ją na łóżko i szybko wszystko uprzątnęłam. Oddychała ciężko. Zrozumiałam, że sama nie dam sobie rady. Pobiegłam na drugą stronę ulicy do telefonu, żeby zadzwonić po lekarza i po księdza; byłam tak wstrząśnięta tym, co zastałam, że kiedy nakręcałam numer, ręka mi drżała, a głos się załamywał.

Kiedy wróciłam do domu panny Brown, wchodząc po schodach, słyszałam jej ciężki oddech. Tak mnie to przeraziło, że zatrzymałam się na chwilę przed drzwiami - musiałam zebrać się na odwagę, żeby wejść. Przeszłam przez pokój i stanęłam w nogach żelaznego łóżka; trzymając się mosiężnej poręczy, tylko patrzyłam, bo nie miałam pojęcia, co robić.

Lekarz przyszedł pierwszy. Zastukał obcasami po schodach i wpadł do sypialni. „Jak się mamy, moja panienko?” - zapytał wesoło. Ale panna Brown nie mogła odpowiedzieć na wesołe powitanie. Zbadał ją szybko, spojrzał znacząco i rzekł: „Najwyżej kilka godzin”. Zatrzasnął lekarską walizeczkę i odszedł. Pomyślałam sobie, że mogą się tu znaleźć dwa trupy zamiast jednego, ale wkrótce usłyszałam, jak ktoś wdrapuje się po scho-

dach. Gruby ksiądz udzielił panie Brown ostatniego namaszczenia i już szedł do drzwi, kiedy nagle, jakby dostrzegając coś dziwnego w całej sytuacji, zapytał:

65545 Czy ona ma jakichś krewnych?

65546 Nie - odparłam. - Tylko biskupa w Australii.

65547 Nie na wiele się on teraz zda - westchnął refleksyjnie. Ksiądz też nie, pomyślałam, słysząc tupanie jego butów na schodach i stuk zatrzaskiwanych drzwi wejściowych. Poczułam się jak ktoś pozostawiony na bezludnej wyspie, kiedy odpłynęły już wszystkie łodzie. Byłyśmy zdane na siebie, panna Brown i ja. Jedynym światelkiem w tunelu była świadomość, że w porze obiadowej, czyli gdzieś za dwie godziny, zjawi się Sheila. Były to najdłuższe dwie godziny w moim życiu. Nie umiałam pomóc panie Brown. Zawsze trzymała wszystkich na dystans, więc wydawało mi się, że byłoby naruszeniem jej godności, gdybym jej dotknęła. Nie żebym miała ochotę to zrobić, ale czułam, że powinnam jakoś jej pomóc, tylko nie wiedziałam jak. Z wielką ulgą usłyszałam otwierające się drzwi i lekkie kroki Sheili na schodach. Wyszłam na podest, żeby ją przygotować na to, co zastanie w sypialni.

65548 Boże kochany! Co my teraz zrobimy? - zapytała przerażona.

65549 Chyba musimy poczekać, aż umrze - odparłam niepewnie. Poczułam się jednak lepiej, mając kogoś, kto będzie czekał razem ze mną. Siedziałyśmy przy oknie, patrząc na mokrą, opustoszałą w to niedzielne popołudnie ulicę, gdzie zimowy wiatr gnał tam i z powrotem gazetę. Oddech panny Brown stawał się coraz cięższy. Uklękłyśmy, aby zmówić różaniec i parę znanych modlitw za

umierających. Usłyszałyśmy, jak otwierają się drzwi wejściowe. Przyszła przyjaciółka panny Brown. Ucieszyłyśmy się ogromnie, bo wiedziała lepiej od nas, jak się zachować w takiej sytuacji. Kiedy około czwartej po południu panna Brown zmarła, przyjaciółka wszystkim się zajęła. Posłała Sheilę do przedsiębiorcy pogrzebowego po habit*, a mnie powiedziała, że będę jej potrzebna przy ubieraniu nieboszczki do trumny. Oszołomiona, nie umiałam odmówić, zresztą nie miałam wyjścia, bo przyjaciółka panny Brown, również pani w podeszłym wieku, sama by sobie nie poradziła.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam niczyjej śmierci, tym bardziej nie miałam do czynienia z ubieraniem nieboszczyka. Przez całe tygodnie prześladowało mnie to nowe doświadczenie. Budziłam się w nocy, słysząc chrap-

* Zmarłych chowano w habitach (przyp. tłum.).

liwy oddech panny Brown i czując dotyk jej zimnego, wilgotnego ciała. Stopniowo jednak zatarła się makabra, a zaczęłam żałować, że przyniosłam tej pełnej godności staruszce tak niewielką pociechę, że nie znalazł się nikt, kto by ją trzymał za rękę, kiedy umierała.

Drabina społeczna w Bandon liczyła wiele stopni. Starzy bogacze, nowi bogacze, starzy biedacy, nowi biedacy, a wszystko to dodatkowo komplikowały różne wyznania. Przypominało to komodę z szufladami, w których są poukładane koszule, bielizna, obrusy - niby to całość, ale wszystko posegregowane. Zapytałam Dana, dlaczego tak się dzieje, na co odparł krótko: „To było miasto garnizonowe. Pozostały tego ślady”. W każdym razie przyczyny musiały być interesujące. Początkowo miasto

wydało mi się zimne i surowe, ale stopniowo nauczyłam się lubić stare, wąskie, kręte uliczki na wzgórzach i most przez rzekę dla pieszych. Przypominało mi powściągliwą, nie narzucającą się starszą panią. Gdy raz zajrzałam za fasadę, nauczyłam się doceniać jego zalety. Zdarzało się, że jacyś intruzi naruszali atmosferę przywiedłej dystynkcji. Mieliśmy w naszym mieście ekshibicjonistę, którego przezwano Johnny Walker. Włóczył się po ulicach w gumowych butach po kolana i w długim, czarnym płaszczu. Pomięty beret tkwił mu na czubku głowy jak przerośnięty grzyb. Kiedy natknęłaś się na niego niespodziewanie za rogiem ulicy, otwierał szybko połę płaszcza jak podwójne drzwi, demonstrując swoje wdzięki. Jednakże jego postrzępiona bielizna jak koronkowa firanka raczej zasłaniała widok, tak że całe to przedstawienie miało się z celem.

Nasza centrala łączyła rozmowy telefoniczne zamawiane przez mniejsze urzędy pocztowe. Przekazywano nam tylko numery, nie wymieniając nazwisk, ale pewna drobna starsza pani w jednym z urzędów miała rozkoszny zwyczaj zapowiadać proboszcza swej parafii. Mówiła wtedy głosem pełnym rewerencji: „Proszę zwolnić linię dla ojca O'Hary”. Brzmiało to tak, że powinnyśmy paść na kolana, miałam wrażenie, że zaraz odezwą się fanfary.

W innym znów urzędzie pracował młody człowiek o wesołym głosie. Zawsze był tak miły, że traktowałyśmy go ze specjalną uwagą. Miał na imię Gabriel. Czasami na porannej zmianie dzwoniłam do niego, żeby trochę pogadać, póki centralka była wolna. Poznałam go wkrótce po przybyciu do Bandon w pobliskim miasteczku Innishannon, dokąd pojechałam z przyjaciółmi na tańce.

Tamtejsza salka parafialna była urządzona w dość niezwykły sposób. Brakowało w niej miejsca do tańców, więc poradzono sobie, dobudowując parkiet na zewnątrz budynku. Nazwano go „platformą”. Na początku tańczono na zewnątrz, a kiedy wieczorem robiło się chłodniej, pary przechodziły do wnętrza, chociaż wielkie, drewniane drzwi stały otworem przez całą noc i każdy mógł tańczyć, gdzie mu się podobało. Kiedy na platformie panował tłok, te pary, których taneczno-gimnastyczne figury wymagały większej przestrzeni, przechodziły nie przerywając tańca do środka, gdzie było jeszcze pustawo.

Sala taneczna znajdowała się przy szosie, więc często zatrzymywały się tu przejeżdżające samochody i w miarę upływu czasu tłum tańczących gęstniał. Sporo ludzi przysiadało na kamiennym murku po drugiej stronie drogi, słuchając muzyki i przyglądając się tańczącym. Muzyka z płyt płynęła przez głośniki wzmacniające dźwięk. Za wejście się nie płaciło, ale sprzedawano bilety na loterię, jeśli ktoś chciał spróbować szczęścia. Na sali panowała wesoła, karnawałowa atmosfera i byłam zachwycona, że znalazłam takie świetne miejsce rozrywki. A wszystko to było dziełem Gabriela, który z dzieciennym zapałem, wspomagany przez fundusze parafialne, sam organizował zabawy, dostarczał płyty, nastawiał je, sprzedawał bilety, rozsyłał zawiadomienia i nie przepuszczał żadnego tańca. Od razu pierwszego wieczoru zakochałam się w nim po uszy.

Mierzę metr sześćdziesiąt osiem, więc często musiałam nosić pantofle na niskich obcasach, aby nie być wyższa od partnerów. Ale po drugiej randce z Gabrielem, który miał metr osiemdziesiąt wzrostu, kupiłam sobie pantofle na najwyższych obcasach, jakie mogłam znaleźć w Bandon. Był to akt

instynktownej wiary w naszą przyszłość, musiałam przeczuwać, że tańcząc z nim zedrę przynajmniej jedną parę pantofli. Od dnia, kiedy poszłam tam pierwszy raz na tańce, Innishannon stało się bardzo ważnym miejscem w moim życiu.

DZIEJE MIASTECZKA

I

Innishannon leży na obu brzegach rzeki Bandon, płynącej głęboką doliną między lesistymi wzgórzami i wpadającej do morza w porcie Kinsale. Za domami po rzece tam i z powrotem krążą łabędzie, a nad nimi trzepoczą skrzydłami gołębie, sfruwające z gotyckich okien starej wieży kościelnej. Koleje losu kościoła były zmienne, przechodził z rąk do rąk, stawał się własnością to jednego wyznania, to drugiego, ale teraz katolicy, protestanci i francuscy hugonoci śpią obok siebie spokojnie snem wiecznym pośród ruin. O świcie wyśpiewuje im serenady poranny chór ptasi, a wieczorem wrony wracające na nocleg do lasu za rzeką.

Wzgórze za kuźnią wzięło nazwę od hugonotów, natomiast główna ulica

w środku miasta prowadzi zakrętami do kościoła katolickiego z szarobiałą, strzelistą wieżą spoglądającą ze wzgórza na miasteczko. Na zachodnim krańcu pozdrawiają się dwie inne wieże: tu znajduje się dom Boży należący do Kościoła irlandzkiego. Sąsiaduje z nim stara budowla na planie kwadratu, gdzie również kiedyś modlili się wierni. W ciche letnie wieczory iglice wszystkich świątyń odbijają się w spokojnych wodach rzeki.

W średniowieczu obok starej wieży istniał jeszcze starszy bród; można tu było przeprować przez rzekę bydło i wozy i punkt ten stał się z czasem główną drogą

handlową, łącząc West Cork z resztą kraju. Innishannon rozwijało się dokoła brodu, aż stało się sporym miastem otoczonym murami, dokoła którego powstało wiele zamków. Ale kiedy w 1610 roku na rzece Bandon zbudowano most, straciło znaczenie dla miejscowego handlu, a wkrótce potem żołnierze garnizonu w Bandon zniszczyli część zamków. Wówczas Cromwell podarował Innishannon Anglikowi o nazwisku Thomas Adderley, a ten w 1752 roku wybudował miasteczko takie, jakim jest dzisiaj. Adderley sprowadził tu przemysł lniany i podarował francuskim hugonotom wolne domy. Wprowadził też jedwabnictwo, sadząc na wzgórzu Colony drzewa morwowe. Pobliski dworek nosił nawet nazwę „Morwowy Domek”. Adderley był posłem do parlamentu z tego rejonu, a także członkiem Komisji Planowania Szerokich Ulic, która miała sporządzić nowy plan zabudowy Dublina. Tym się pewnie tłumaczy szerokość i charakter głównej ulicy Innishannon. Adderley jednak zbankrutował, a jego posiadłości przeszły w ręce rodziny Frewenów. Domostwo Adderleyów, zwane Innishannon House, znajdowało się nad rzeką, natomiast Frewenowie zbudowali sobie nową siedzibę na wzgórzu

naprzeciw kościoła katolickiego. Mieli stamtąd piękny widok na miasteczko i na lesistą dolinę rzeczną. Morton Frewen zasiadał w Westminsterze jako przedstawiciel irlandzkich nacjonalistów. Ożenił się z Clarą Jerome z Nowego Jorku, ciotką Winstona Churchilla, który jako chłopiec przyjeżdżał do Innishannon na wakacje.

Posiadłości Frewenów zapewniały pracę wielu ludziom z miasteczka. Dziewczyny uczyły się tu dobrze prowadzić dom i gotować, a chłopcy nabywali wprawy w obchodzeniu się z końmi i w ogrodnictwie. W ogrodach pracowali między innymi Różowy Jerry i Tim. Pewnego dnia Timowi zachciało się spać, zaszył się więc w jakimś cichym kącie i spokojnie zasnął. I tak znalazł go niespodzianie Morton Frewen. „Tim, co ty tu robisz?” - zapytał. Tim nie miał wyjścia, musiał przyznać: „Nic nie fobię, proszę pana”. Spacerując dalej po ogrodzie Frewen napotkał Różowego Jerry'ego, który stał oparty o szpadel i podziwiał widok na rzekę. „A ty, co tu robisz, Jerry?” - spytał. „Pomagam Timowi” - padła odpowiedź.

Oprócz posiadłości Frewenów było w okolicy sporo innych imponujących budowli. Dom wzniesiony obok mostu na zachodnim krańcu miasteczka miał własny kort tenisowy, a na stromym wzgórzu po drugiej stronie rzeki stał zamek gotycki, przed którym ciągnęły się tereny do gry w kokieta. W letnie wieczory powozy ciągnęły po starym kamiennym moście w górę, i gdy arystokracja zabawiała się na swój sposób w cieniu drzew nad brzegiem rzeki, miejscowe dzieciaki zarabiałały po sześć brązowych pensów za opiekę nad końmi.

Po powstaniu niepodległościowym 1916 roku wielu ludzi z miasteczka pracujących u Frewenów musiało wybierać między lojalnością w stosunku

do nich a wiernością własnym przekonaniom. Spalono pięć wielkich domów miejscowych notabli, w tym również dom Frewenów. Kiedy życie wróciło do normy, niektórzy robotnicy znaleźli pracę w fabrykach w Cork i Band on, a wielu ruszyło statkami do Anglii i Ameryki.

Miasteczko działało jak samowystarczalny ul. Głównym punktem Innishannon był młyn, do którego przyjeżdżali farmerzy na skrzypiących drewnianych furmankach naładowanych workami z pszenicą, jęczmieniem i owsem. Pszenicę zmieloną na mąkę zabierali do domu, aby piec z niej razowy, pełnoziarnisty chleb, zwany *wanway*, który stanowił ich podstawowe pożywienie. Rozkruszonym owsem karmiono konie i kury, a jęczmieniem świnie, aby dawały delikatny bekon. Dwóch mężczyzn wciągało worki do młyna za pomocą bloku; jednego z nich nazywano Jerry Młynarz, a drugi zyskał sobie przydomek „Wypróbuj mnie”, bo kiedy go pytano, czy potrafi zrobić to czy owo, odpowiadał zawsze: „Wypróbuj mnie”.

Sześć domów nad brzegiem rzeki miało duże ogrody, które schodziły do samej wody. Ogrody przy domach po drugiej stronie drogi rozpościerały się na wzgórzu i sięgały aż do granicy posiadłości Frewenów.

Konie kuto w dwóch kuźniach na przeciwległych końcach miasteczka, a rymarz, Szczęśliwy Mickey, wyrabiał dla nich uprząże i skórzane pasy. Wyrobami ze skóry zajmował się również szewc Robin, który musiał ciągle zszywać dzieciom *sliotars**. Dwa warsztaty stolarskie zaspokajały potrzeby domowe i produkowały wiejskie furmanki o wielkich kołach ze szprychami. Stolarze towarzyszyli człowiekowi od narodzin do grobu, jako że z ich rąk wychodziły także kołyski i trumny. Niejaki Burly dostarczał gwoździ o płaskich, szerokich łebkach, łatwo je było rozpoznać.

Usługami pralniczymi zajmowała się pracowita kobieta, która prała, krochmaliła i pięknie prasowała miasteczkową odzież. Na wzgórzu mieszkała siostra Robina, Lizzy, która cerowała i łątała wszelkie ciuchy, a krawiec Tommy, z nogą założoną na nogę, przy wielkim drewnianym stole szył ubrania dla mężczyzn. Umiał też zastąpić wytarte siedzenie spodni nowym i przenieć płaszcz, bo odzieży nie wyrzucało się, dopóki nie groziła jej ostateczna zagłada.

Chleba do czterech sklepików w Innishannon dostarczał miejscowy piekarz. Drób kupowało się lub sprzedawało u handlarza, który trzymał w szopie kury, kurczęta, kaczki i króliki. Na polu nad rzeką pewien człowiek miał krowy -jego żona sprzedawała mleko. Brało się ze sobą bańkę lub dzbanek, a kobieta nalewała doń mleko, odmierzając je blaszaną kwartą. Jej mąż sprzedawał też kartofle i warzywa, chociaż przeważnie ludzie w miasteczku sami uprawiali ogródki warzywne. Dwa razy do roku, na wiosnę i jesienią, odbywał się targ na bydło przywożone z okolicznych wsi. Wieśniaczki miały też masło domowej roboty i jaja zapakowane w drewnianych, wysłanych sianem skrzynkach. Niektóre gospodynie produkowały masło lepsze niż inne, sprzedawano je w sklepikach, zawsze podając, od kogo pochodzi.

* Piłki do irlandzkiej narodowej gry, zwanej *hurling* (przyp. tłum.).

Wszystkie cztery puby w miasteczku miały na tyłach brukowane podwórza przeznaczone dla koni. Przywiązywano je tam, a właściciele szli na zakupy, do młyna lub do kościoła, albo popijali w pubie. O ład i porządek dbał sierżant i trzech członków straży, którzy urzędowali w koszarach na krańcach miasteczka. Dzieci należące do dwóch wyznań

uczyły się w dwóch szkołach przykościelnych.

Ryby łowiono z łodzi pływających regularnie po rzece. W niedzielne popołudnia mieszkańcy miasteczka korzystali z łodzi dla przyjemności. Wiosłowali wzdłuż nadbrzeża Colliers w dół rzeki, gdzie w pubie, tuż nad wodą, mogli ugasić pragnienie. Można też było popłynąć dalej, aż do Kilmacsimon, niewielkiej wsi nad rzeką. Większe łodzie służyły do przewozu węgla z portu do wielkiego, kamiennego składu na brzegu.

Na nadrzecznym polu naprzeciw świątyni należącej do Kościoła irlandzkiego prawie co wieczór odbywały się wyścigi chartów, które gnały za sztucznym zającem; miasteczkowe dzieci biegły razem z psami, żeby przynieść zająca do następnego wyścigu. Pole nazywało się „Bielenie”, gdyż za czasów Adderleya bielono tu płótno.

Po śmierci szewca Robina i rymarza Szczęśliwego Mickeya nikt nie poszedł w ich ślady; tajemnice swoich zawodów zabrali ze sobą do grobu. Kiedy zmarł krawiec Tommy, także nikt nie przejął po nim warsztatu i miasteczko straciło jeszcze jeden rodzaj usług. Rynek zalały produkowane masowo meble i nikt nie zastąpił Jera, jednego z miasteczkowych stolarzy, kiedy poszedł na emeryturę; właściciel drugiego warsztatu stolarskiego wyemigrował. Coraz rzadziej przy pracy w polu korzystano z koni, wystarczyła więc jedna kuźnia, a w miarę zmian w rolnictwie przestał być potrzebny młyn.

Tylko puby i sklepy prosperowały. Najstarszy sklep w miasteczku znajdował się przy urzędzie pocztowym. Należał do pięciu pokoleń tej samej rodziny. Znany był po prostu jako sklep „U Jacky'ego”.

„U JACKY'EGO”

J

Jacky wychodził z założenia, że większości ludzi niewiele brakuje do doskonałości, ale Peg, jego żona, zawsze wołała poczekać, aż sami dowiodą swojej wartości. Jacky odziedziczył sklep po ojcu, który zostawił mu w spadku same długi. Aby je spłacić, pracował po nocach w zakładach Forda w Cork, a także, zatrudniony przez Radę Hrabstwa, tłukł kamienie na szosie. Kiedy jego siostra Molly wyszła za mąż i wraz ze szwagrem Jacky'ego otworzyli warsztat samochodowy na skraju miasteczka, on ożenił się z Peg.

Peg, kobieta o dobrym sercu, opiekowała się dziećmi swego brata, któremu zmarła młoda żona, a po wyjściu za mąż za Jacky'ego, wzięła do siebie do domu najmłodszego bratanka. Gabriel chodził do szkoły podstawowej w miasteczku, potem jeździł piętnaście mil na rowerze do szkoły średniej w Cork, często z książką przywiązaną do kierownicy, ucząc się po drodze wierszy. Wieczory spędzał, pomagając w sklepie, gdzie też odrabiał lekcje. Nauczył się mówić płynnie po irlandzku, częściowo od klientów, a głównie od nauczyciela, który dawał lekcje w sali gminnej w miasteczku. Po ukończeniu szkoły pomagał Jacky'emu i Peg w sklepie i zajmował się usługami pocztowymi, obsługując w nocy centralkę telefoniczną. Poczta przybywała o szóstej rano, a telefon trzeba było obsługiwać przez całą dobę. Chociaż godziny pracy były

długie, Gabriel i Jacky po przyjacielsku dzielili się obowiązkami i w razie potrzeby nawzajem się zastępowali. Kiedy wystawiono na sprzedaż sąsiedni dom, kupili go i powiększyli sklep.

Lokal sklepowy, długi i niski, rozciągał się między szczytowymi ścianami obydwu domów. Na piętrze były cztery okna, a pod nimi dwie kwadratowe witryny sklepowe wychodzące na ulicę. Na jednej wisiały afisze reklamujące herbatę i tytoń, a w drugiej znajdowała się skrzynka na listy i rozmaite zawiadomienia pocztowe na blankietach z zielonymi obwódkami. Na prawo od wystaw znajdowały się jaskrawoczerwone podwójne drzwi, oszklone, z miedzianymi sztabami i z miedzianą, mocno stukającą klamką, która pozwalała się naciskać tylko tym, którzy wiedzieli, jak to się robi. Miejscowi obchodzili się delikatnie ze starą klamką, która łatwo ustępowała pod ich umiejętnym dotknięciem. Gdy jednak traktowano ją grubiańsko lub stosowano brutalną siłę, odmawiała posłuszeństwa. Nieraz zdarzało się, że uparty, obcy klient pchał gwałtownie oba skrzydła drzwi jednocześnie, a wtedy czekała go niespodzianka, gdyż tuż za drzwiami był stopień w dół i jeśli klient o tym nie wiedział, padał nosem na podłogę.

Wnętrze sklepu było pomalowane na ciemnozielono. Okna białe, podłoga kamienna. Pod jednym oknem stała długa, drewniana ława, na której klienci siadali, dyskutując o piłce nożnej czy też o *hurlingu*, albo zwyczajnie „spędzając czas”, jak Jacky nazywał przyjacielską pogawędkę. W ciepłe dni wystawiał ławę na ulicę, a ludzie czekający na autobus siadali na niej, aby pogwarzyć.

Drzwi w prawej części sklepu prowadziły do frontowego pokoju Peg. Obok nich wisiała oszklona szafka z mnóstwem półeczek. Była to

miejscowa apteczka z lekami na wszelkie dolegliwości. Jeśli dokuczala ci wątroba, zażywałeś Małe Pigułki Cartera Na Wątrobę, a jeśli bolały cię palce u nóg, przykładałeś cieliste plastry na odciski. Woda Gripe (na kolkę) uspokajała niemowlę w ciągu dnia, a puder Steedmana usypiał je w nocy.

Skaleczenia posmarowane jodyną z czarnych butelek wyglądały okropnie, ale mazidło było cudownym lekiem dla ludzi i koni. Jeszcze jedna mikstura miała podwójne zastosowanie: sól Glaubera gwarantowała tobie i twoim latoroślom dobre zdrowie. Cuchnące strączki senesu miały smak tak obrzydliwy, że musiały być zbawienne. Otwarta rana polana wodą utlenioną, która wyglądała jak zwykła woda, pokrywała się pianą jak kufel piwa. Ta sama woda utleniona, jeśli miałaś taki kaprys, mogła uczynić cię blondynką. Duży wybór środków na żołądek, jak kora kruszyny czy sole Epsom, zapewniał miasteczkowym ludziom regularne wypróżnienie, a skrzypiące stawy odzyskiwały możliwość ruchu, gdy je posmarowano maścią Sloana.

Opiekę w tym kącie znajdowało nie tylko ciało, ale i umysł, czemu służyła wypożyczalnia książek. Jeśli zaś zapragnąłeś dalekich wypraw, mogłeś tu również kupić rower: męski za cztery funty, damski za trzy i dziesięć szylingów. Obok rowerów stała pusta skrzynka po herbacie, którą Jacky wystawiał co wieczór przed sklep, aby wczesnym wilgotnym rankiem roznosiciel gazet miał gdzie wrzucić pliki „Cork Examiner”.

Obok szafki z lekami znajdował się urząd pocztowy. Z przodu miał ladę z drewnianych listew, na której stała czarna żelazna waga z ciężkimi funtowymi odważnikami do ważenia paczek, i druga - mała, miedziana, z drobnymi miedzianymi ciężarkami do ważenia listów. W połowie lady na

hojność mieszkańców czekały skarbonki, na których napisano prośby o różne datki na cele dobroczynne, a także błogosławieństwa dla ofiarodawców. Co tydzień Jacky wrzucał do każdej z nich półkoronówkę. Skarbonki stały na czymś w rodzaju niskiej ławy, na której często przysiadali ludzie w oczekiwaniu na telefon, autobus lub żeby przeczytać gazetę. Obok obrotowe drzwiczki prowadziły za ladę; zawsze były otwarte, chyba że miejscowe dzieciaki robiły sobie z nich huśtawkę. Na poczcie znajdowała się mała centralka telefoniczna z czarnymi klapkami i zwisającymi kablami. Miniatur-

we okienko z koronkową firaneczką wychodziło na salon Peg, z którego mogła obserwować wszystko, co się działo na zewnątrz.

Na lewo od drzwi do pokoju Peg prowadziły na górę schody, pod którymi zainstalowano półki. W głębi stały worki z mąką i cukrem, które co tydzień rozważało się do torebek. Cukier przywożono w brązowych papierowych torbach. Po opróżnieniu Jacky ciął je na kawałki i zawijał w nie chleb, a dzieci robiły z papieru okładki na książki szkolne. W kącie sklepu niewielki mebel, coś jakby mównica, stanowił „biuro” Jacky’ego; tu prowadził na stojąco księgowość, otoczony stosami czarnych i czerwonych notesów - w miękkich okładkach do rachunków tygodniowych i w twardych do rachunków miesięcznych. Rejestry dotyczące dłuższych okresów zapisywał w brązowej księdze. Drewniane półki dookoła „biura” były zastawione słoikami, puszkami i butelkami. Z niskiego sufitu zwisały banany, na kontuarze z czerwonego plastiku stały skrzynki z pomidorami, jabłkami i pomarańczami, a pod nim - długa drewniana skrzynia z bochenkami różnego rodzaju i kształtu białego, chrupiącego chleba. Tuż obok stary kufer mieścił mnóstwo papierowych torebek rozmaitych rozmiarów

do ważenia herbatników, słodyczy, mąki, cukru i herbaty.. Wprost na podłodze stały stosy kartonów proszków do prania Lux, Persil i Rinso, a także drewniane skrzynki z czerwonym mydłem Lifebuoy i żółtym Sunlight.

Obok „biura” Jacky’ego były zawsze otwarte drzwi do olejarni. Z wielkiego zbiornika na podwórzu pompowano olej parafinowy do kanistrów dla tych klientów, a było ich wielu, którzy używali pieców olejowych, kuchenek i prymusów. Na półce, ponad kurkiem do zbiornika z olejem, stał pojemnik denaturatu. Tutaj też magazynowano torby z pokarmem dla kur, a na wyższych półkach Jacky ustawiał płaskie skrzynie z sadzeniakami, które miały wcześniej zakiełkować.

Sklep był też przystankiem dla pasażerów jeżdżących do Cork i Bandon. W oczekiwaniu na autobus ludzie rozmawiali ze sobą i dzielili się nowościami, sprawdzając przy okazji na zegarze w urzędzie pocztowym, która godzina. Zegar Jacky i Peg otrzymali w prezencie ślubnym od miejscowego Irlandzkiego Klubu Sportowego The Yalley Rovers.

MIASTECZKOWA ZONA

K

iedy byłam wrażliwą i lekkomyślną nastolatką, marzyło mi się, że będę miała siedmioro dzieci. Nigdy nie zapomniałam ciepła naszej dużej rodziny, czerpałam z niego zawsze wielką radość, więc już w bardzo młodym wieku myślałam, a z wiekiem myśl ta się ugruntowała, że dobrze

by było mieć siedmioro dzieci. Jednocześnie z tym planem rosło we mnie inne postanowienie - że nie wyjdę za mąż przed trzydziestym piątym rokiem życia. Nie przyszło mi nawet do głowy, że gdybym chciała wprowadzić w życie obydwaj plany, to średnie lata miałabym wypełnione gorączkową pracą.

Jednakże sprawy sercowe pokrzyżowały mi przynajmniej jeden z zamiarów. Miałam dwadzieścia lat, gdy w moim życiu pojawił się Gabriel i nadał mu nowego blasku. Uznałam, że gdybym miała czekać piętnaście lat, blask ten mógłby nieco osłabnąć, machnęłam więc ręką na Plan Trzydziestopięcioletni i wyszłam za mąż. Myśl o siedmiorgu dzieciach nadal jednak tkwiła mi w głowie. O planowaniu rodziny czy też o jakiejś strategii finansowej w swojej naiwności nawet nie pomyślałam, widziałam tylko w marzeniach dziewczyneczki w sukienkach z falbankami i nadzwyczaj grzecznych chłopczyków. Miały to być idealne dzieci, a ja miałam być idealną matką.

W dzieciństwie lubiliśmy bawić się w zagajniku za domem w sklep, więc kiedy wyszłam za Gabriela i przeprowadziłam się do prawdziwego sklepu miasteczkowego z prawdziwym urzędem pocztowym, było to tak, jak gdybym przeniosła dziecięce zabawy do prawdziwego świata. W oczach swojego wujostwa Gabriel był uosobieniem doskonałości i wkrótce zdałam sobie sprawę, że ciocia Peg uważa, że ja jestem u niej tylko „na próbę”. Tak się mówiło w sklepach z konfekcją, gdy klientka, która nie mogła się zdecydować na miejscu, czy ma kupić jakąś rzecz, zabierała ją do domu, aby zasięgnąć rady rodziny. Pewna modystka opowiadała mi, że kiedyś w sobotę wieczór dała klientce kapelusz właśnie „na próbę”. Nazajutrz w czasie Mszy świętej, kiedy wierni wstawali na Ewangelię,

owa pani miała nowy kapelusz na głowie, a w poniedziałek zwróciła go mówiąc, że się jej nie podoba. Nie sądzę, by ciocia Peg mogła zastosować wobec mnie równie drastyczne środki, ale wkrótce zrozumiałam, że w jej oczach Gabriel nie jest zwykłym śmiertelnikiem i że choćbym była o sobie nie wiem jak wysokiego mniemania, muszę na taką opinię zasłużyć, a może nawet wznieść się jeszcze wyżej.

Ciocia Peg, którą wszyscy w miasteczku tak nazywali, była kobietą mocno zbudowaną i pewną siebie. Przez całe życie mieszkała w tej parafii, wiedziała, co sądzić prawie o każdym mieszkańcu, i nigdy nie wahała się szczerze i otwarcie wyrazić swojego zdania. Kochała psy, stroje i ogród, i świetnie gotowała. Przed zamążpójściem mieszkałam w miejscu, gdzie regularnym pożywieniem była fasola na grzankach, ale w niedzielę bywałam często na obiedzie u cioci Peg, co dodawało mi sił przez cały tydzień. Lubiła gotować. Prawie wszystkie warzywa hodowała u siebie w ogrodzie. Jej szarlotka była ucztą z soczystych jabłek w słodkim cieście.

Przez pierwsze miesiące po ślubie bacznie obserwowała, jak sobie radzę w kuchni; jej głęboka wiedza kulinarna mnie onieśmiałała.

Dom Peg przypominał królikarnię. Składał się z małych pokoików oddzielonych od siebie starymi, grubymi prawie na metr ścianami. Strome, kręte schody prowadziły do trzech sypialni, ale korytarza nie było, więc żeby dotrzeć do ostatniej, przechodziło się przez dwie pozostałe. Do środkowego pokoju, gdzie spali Jacky i Peg, prowadziły stopnie. Na ścianach wisiało tu tyle świętych obrazów, że czasami wydawało mi się, że powinnam mówić szeptem, bo czułam się jak w klasztorze. Peg, ze swym rubasznym językiem i upodobaniem do ekstrawaganckich kapeluszy, w niczym nie przypominała wielebnej matki, ale Jacky czułby

się w klasztorze jak u siebie w domu. Cioci Peg podobały się dywany z różnym deseniem i koronkowe firanki w różowe kwiatki, więc sypialnie wyglądały jak miniaturowe ogródki, tyle że unosił się w nich zapach gałek kamforowych.

Schody zaczynały się w pomieszczeniu o kamiennej podłodze, które służyło jako pokój-chłodnia. W rogu stała wielka maszyna do krajania bekonu, na zimnej podłodze ustawiano skrzynki z masłem z Bandon. Tuż obok mieściła się budka telefoniczna oraz, z tyłu, ubikacja, z której mogły korzystać kobiety przyciśnięte po wyjściu z autobusu nagłą potrzebą.

Sufit głównego salonu Peg był częściowo oszklony, co zapewniało dobre oświetlenie. Tu stała jej trójkątna sosnowa szafa i duży mahoniowy kredens, pełen porcelany i pamiątek rodzinnych. Peg wszystko przechowywała, codziennie odkurzając i czyszcząc swoje zbiory.

Od frontu był jeszcze jeden maleńki pokoik, bez okien, gdzie w upalny dzień można było wyciągnąć się na długiej skórzanej kanapie i czuć się jak w króliczej norce, bo panował tu przyjemny chłód i cisza. W drugim pokoju frontowym podejmowało się osoby, na których należało zrobić wrażenie, ale niekoniecznie traktować ciepło i rodzinnie. Wiedziałam, że goście, których ciocia Peg zaprasza do salonu, są podejmowani z wielkim szacunkiem, ale niezupełnie akceptowani. Tutaj trzymała najpiękniejszą porcelanę, a cały ten nieduży pokój był zastawiony wyściełanymi sofami i fotelami. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie. We wgłębieniu pod oknem można było usiąść i przez koronkową firankę oglądać wszystko, co się działo na ulicy.

Na tyłach domu, za głównym salonem, ciągnęła się długa, wąska kuchnia z niskimi oknami wychodzącymi na ogród. Róże Jacky'ego

podchodziły pod same okna, tak że wyglądało, jakby rosły w kuchni. Peg kochała kwiaty i po całym domu rozstawiała wazon. W dzień swojego ślubu wyszła rankiem do ogrodu przy domu, narwała sobie kwiatów na ślubny bukiet, a stół weselny przybrała polnymi kwiatami.

Gabriel i ja korzystaliśmy z dużego, położonego na pagórkach ogrodu Peg i Jacky'ego. Lubiłam wychodzić tam i przyglądać się wujkowi przy pracy. Ogród to była jego chluba; uczynił z niego tchnące spokojem miejsce wypoczynku, gdzie kury grzebały ziemię pod starymi jabłoniemi, a pnące róże wiły się po drewnianych łukowatych bramkach. Uprawiał truskawki, czarne porzeczki i agrest, a ciocia Peg smażyła konfitury w wielkim, specjalnie do tego przeznaczonym garnku. Gdy przeholowała z przetworami, sprzedawała je w sklepie lub rozdawała przyjaciółkom. Ogród nie miał określonego planu; wypełniały go kwiaty, krzaki i drzewa, a tu i ówdzie zdarzały się ukryte, zasłonięte zakątki. Jacky poddzielał poszczególne części ogrodu płótkami własnej roboty; niektóre z nich zupełnie nieoczekiwanie wypuściły pędy i wyrosły z nich drzewka. Rośliny pnące przeciskały się przez drucianą siatkę i oplatały pnie drzew. Ogród Jacky'ego to był jego romans z naturą, jego miłość. Zawsze znajdował chwilę, aby się oprzeć o grabie lub przysiąść na kamieniu i pogadać. Lubił też sklep i cieszył się, kiedy mógł dać klientom lub sąsiadom coś, co sam wyhodował. Ciocia Peg była ogromnie dumna z ogrodu i prowadziła zwykle zaprzyjaźnione osoby po stromej ścieżce, aby naciąć dla nich kwiatów. Im bardziej kogoś lubiła, tym większy bukiet dostawał.

Stanowili dobraną parę. Jacky był pogodny i dobrotliwy, o łagodnym usposobieniu, i pewnie nie potrafiłby utrzymać sklepu, gdyby nie zmysł

handlowy i przebiegłość cioci Peg. Kiedyś kupił u miejscowej handlarki jajka zbyt drogo i sprzedawał je potem w sklepie po niższej cenie. Takie praktyki nie sprzyjały zdrowemu bilansowi płatniczemu, ale cioci Peg przeważnie udawało się równoważyć naiwność męża własnym realizmem. Jak się przekonałam, ciocia Peg wychowała mego świeżo poślubionego męża na człowieka całkowicie samowystarczalnego w domu. Ponieważ pochodziłam z rodziny, gdzie ojciec nigdy w życiu nie nalał sobie sam filiżanki herbaty, była to dla mnie rewelacja.

Wchodziło się do nas z ulicy przez osobne drzwi wejściowe, prowadzące do długiego, wąskiego korytarza, z którego, po lewej stronie, schody wiodły prosto do łazienki i trzech niedużych pokoi sypialnych nad sklepem. Na dole, w końcu korytarza, były drzwi prowadzące do sklepu i drugie do salonu. Z salonu przez oszklone drzwi wchodziło się do kuchni, a z kuchni drzwi otwierały się na ogród.

Gabriel działał we wszystkich organizacjach w naszej parafii, co oznaczało, że wieczorami przeważnie nie było go w domu. Miałam mu to z początku za złe, bo on znał wszystkich, a ja prawie nikogo, ale znalazłam wyjście: szłam do sklepu, do Jacky'ego, i poznawałam tam jego starych przyjaciół, którzy wpadali późnym wieczorem na pogawędkę. Przychodził George, który miał zawsze w zanadrzu zabawne historyjki, i Paddy, sąsiad mieszkający za rogiem, człowiek prawie zupełnie pozbawiony tolerancji, i Jimmy, który mieszkał po drugiej stronie drogi, i Peter, który handlował bydłem, i Jim, który mieszkał w oborze. Łączyła ich długoletnia przyjaźń, a słuchając ich opowieści i żartów na temat miasteczka o tak ciekawej historii, nabrałam przekonania, że i ja z czasem pokocham Innishannon.

W każdym razie kiedy znalazłam się w mojej nowej rodzinie, przez kilka miesięcy stapałam bardzo ostrożnie, aby nie uczynić nic, co mogłoby naruszyć jej spokój. Mimo to ciocia Peg dawała mi czasem do zrozumienia, że daleko mi do doskonałości. Początkowo mnie to peszyło, dopiero wujek Jacky objaśnił mi spokojnie, że czasami Peg ma zły dzień, a wtedy każdy, kto się znajdzie w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, ma pecha. Pamiętając o tym, starałam się w takie dni trzymać z daleka od Peg. Ten system inni stosowali z powodzeniem już wcześniej, a i w moim przypadku zdawał egzamin. Kiedy zbierały się chmury burzowe, trzymaliśmy nisko pochylone głowy aż do czasu, gdy niebo się wypogodziło. Peg odzyskiwała dobry humor i robiła, co mogła, żeby naprawić przykrości, jakie nam sprawiała.

Nasz urząd pocztowy zapewniał usługi telefoniczne przez całą noc, więc ktoś musiał być zawsze w pogotowiu. Oznaczało to, że trzeba było w środku nocy wyskakiwać z łóżka, aby połączyć abonentów. Ponieważ niewiele osób w okolicy miało telefony, w ciągu dnia nasz urząd pocztowy stanowił coś w rodzaju skrzynki kontaktowej. Przyjmowaliśmy polecenia od farmerów dla stacji hodowli bydła; ustne wiadomości, dotyczące oczywiście sztucznego zapłodnienia, odbierał przedstawiciel stacji w czasie objazdu miasteczka. Czasami farmer stawał po prostu przed drzwiami sklepu i wykrzykiwał treść swojego komunikatu: „Hereford: pierwszy raz, zauważono dziś rano” (co oznaczało, że krowę tej rasy można zapłodnić). Pewien emerytowany angielski pułkownik, który osiedlił się w Irlandii, aby hodować bydło, miał swoisty sposób dostarczania poleceń. Rozkazującym, wojskowym tonem wrzeszczał przez kontuar: „Przyślijcie

faceta w twardym kapeluszu". Kiedy usłyszałam po raz pierwszy takie dziwne żądanie, spojrzałam zdziwiona na pułkownika, ale Gabriel rozszyfrował ten kod i odtąd nie potrzebowałam już tłumacza. Pewna starsza pani w męskim kapeluszu wciśniętym na uszy była o wiele bardziej prostolinijna. Krzyczała do mnie: „Przyślijcie byka!”

Zostawiano u nas wezwania dla lekarza, jeśli nie było go w domu, bo odwiedzał chorych; doktor dzwonił do nas albo przychodził się dowiedzieć, czy ktoś go nie potrzebuje. Pewnego razu, spodziewając się, że lada moment zostanie wezwany do porodu, lekarz zadzwonił akurat w momencie, kiedy jego ciężarna pacjentka robiła zakupy w sklepie, mogliśmy go więc zapewnić, że wszystko w porządku. Odbieraliśmy też wiadomości dla wikarego, ojca Micka, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do matki. Był to bardzo wesoły człowiek. Wsuwał głowę przez drzwi i wyśpiewywał: „Alicjo, odbieraj moje telefony”. Potem mówił Gabrielowi, Jacky'emu i chyba wszystkim w miasteczku, kiedy wyjeżdża, przez co każdy myślał, że to właśnie on ma informować pozostałych mieszkańców o planach wikarego.

Kiedy ktoś chciał się skontaktować z kimś z miasteczka lub z okolicy w promieniu kilku mil, dzwonił do urzędu pocztowego, a my przekazywaliśmy wszelkiego rodzaju wiadomości, wesołe i smutne. Tutaj też działał punkt skupu różnego rodzaju artykułów - od jednodniowych kurcząt do worków z nasionami traw.

Największe zakupy ludzie robili w niedzielę. Wieśniaczki po drodze do kościoła przynosiły do sklepu torby na sprawunki i spisy zakupów, a Jacky pakował wszystko, tak by było gotowe do odbioru w drodze powrotnej.

W piątki starsi ludzie odbierali u nas emerytury. Wychowali się w

ciężkich czasach, kiedy nie istniały żadne świadczenia socjalne. Bardzo dbali o swoje książeczki emerytalne, trzymali je schowane głęboko w wewnętrznej kieszeni lub na dnie torebki. Kiedyś jakaś pogodna i zadowolona emerytka stwierdziła: „Nigdy w życiu nie miałam tyle pieniędzy”. Inna znów, która wychowała dużo dzieci i przez całe życie ciężko pracowała, dostawszy sporą zaległą sumę, wybuchnęła płaczem. „Co ja takiego zrobiłam, żeby sobie zasłużyć na tyle pieniędzy” - lamentowała, a łzy płynęły jej po policzkach. Podziwiałam stosunek do życia większości tych starych ludzi; smutno mi było tylko, gdy patrzyłam na tych, którzy na stare lata zgorzkniali.

Przez jakiś czas interesowała mnie pewna starsza pani. Przychodziła po zakupy raz na tydzień. Wręczała przez kontuar torbę i zaczynała długą rozmowę z Jackym, ani słowem nie wspominając, co chce kupić. Jacky napełniał jej torbę, wpisywał listę zakupów - co tydzień tę samą - do książeczki, a ona płaciła rachunek za poprzedni tydzień, również zawsze tę samą sumę. Obydwoje przestrzegali tego rytuału. Kiedy zapytałam wujka, czy musi koniecznie wpisywać zakupy tej pani do książeczki, odparł z uśmiechem: „Robimy tak od lat, ona tak lubi”. Jego klienci mieli zawsze rację, dobrze ich znał i świetnie rozumiał.

Jako osoba nowo przybyła cieszyłam się, poznając ludzi z miasteczka; sklep i urząd pocztowy były idealnym miejscem po temu, bo "w końcu każdy musiał tu przyjść. Ale specjalny klimat tworzyli starzy ludzie. Mieli zawsze w pogotowiu historyjki i nieoczekiwane komentarze. Pewna miła pani nawiązywała zwykle delikatnie do „czasów, kiedy było tu-ziemiaństwo”. Kiedyś zapytałam ją, dlaczego jej rodzina się tu osiedliła, a ona uśmiechnęła się łagodnie, ale rzekła z przekąsem: „Bo tu można było

się obłowić, moja droga". Pewien starszy pan przychodził codziennie rano, brał gazetę, ale jej nie kupował, tylko czytał dwie godziny, nie odzywając się ani słowem, po czym rzucał dziennik na ladę i wychodził, mruczając pod nosem: „Jak zwykle nic ma w tej cholernej gazecie nic do czytania". Ale najbardziej lubiłam towarzystwo Geor-ge'a, który mieszkał w sąsiednim domu i był obdarzony ogromnym poczuciem humoru.

ZADOWOLENIE Z PRACY

G

George był naszym miasteczkowym malarzem i dekoratorem. Kochał swoją pracę, i to tak bardzo, że często zapraszał kolegów, aby razem z nimi cieszyć się ze swych dokonań. Kiedy na zamówienie właściciela jednego z pubów pomalował mu lokal, okazało się, że jest mu winien za drinki więcej, niż zleceniodawca jemu za całą robotę. Życie było dla George'a uczłą barw. Wykonywał wywieszki i szyldy, i robił to niesłychanie starannie. Spędzał nad literami długie godziny, pięknie je ozdabiając. Pewnego dnia, kiedy właśnie kończył kolejny napis, zajrzał do niego miejscowy lekarz, z którym się przyjaźnił.

65550Cóż to, George - zażartował - zamalowujesz swoje błędy?

65551Trafiłeś w sedno - odrzekł George. -Ale moje błędy dadzą się zamalować pędzlem, natomiast twoje tylko za pomocą łopaty.

Pędzel służył George'owi do malowania barwnych wyrazów, i do tego samego celu wykorzystywał język. Lubił wymieniać z przyjacielem sarkastyczne uwagi i komentarze.

Umysł miał żywy jak srebro, ale wyglądał na ekscent-ryka,

roztargnionego bałaganiarza z błogim zamętem w głowie. Chodził inaczej niż wszyscy, powłóczył nogami, nosił grube, wełniane domowe kapcie, długi, luźny sweter sięgający mu prawie do kolan, a na nosie binokle bez oprawek. W rozmowie uśmiechał się do ciebie ujmująco, ilustrując to, co mówił, wymachiwaniem w powietrzu rękami i pochylając się w twoim kierunku, jakby ci udzielał błogosławieństwa.

Niezależnie od wysokości, na jakiej wykonywał swoją robotę, George zawsze znajdował chwilkę, aby rozejrzeć się z podziwem po okolicy. Pewnego dnia, malując górną część szczytowej ściany sąsiedniego, narożnego domu, usiadł sobie na najwyższym szczeblu drabiny, podziwiając widok na starą wieżę i rzekę. Obok niego tkwił w ścianie zardzewiały, żelazny hak, na którym powiesił wiadro z farbą. Dzień był ciepły, słoneczny, białe chmurki ciągnęły po rozświetlonym niebieskim niebie. Ulicą przechodził właśnie lekarz.

- Co tam robisz, George? - zawołał.

George machnął pędzlem nad głową i oświadczył teatralnym tonem:

65552Maluję chmury promieniami słonecznymi.

65553A jak spadniesz, to ja ci pomaluję dupę jodyną. Tego samego dnia

pod wieczór George wciąż jeszcze

stał na górnym szczeblu drabiny, malując z rozkoszą, kiedy ostrzeżenie lekarza niemal się sprawdziło.

Za miasteczkiem mieszkał małego wzrostu mężczyzna o przezwisku Mór*. Już w starszym wieku kupił sobie samochód marki Ford (Baby Ford) i prowadził go tak, jakby powoził furmanką zaprzęzoną w osła. Kiedy drogą obok kościoła zjeżdżał ze wzgórza do miasteczka i docierał do skrzyżowania z szosą, zatrzymywał samochód, wysiadał, szedł do

przodu i patrzył w lewo i w prawo, żeby sprawdzić, czy coś nie jedzie. Upewniwszy się, że droga wolna, wracał do samochodu, wdrapywał się do środka i jechał dalej. Często zanim zdążył wrócić do auta i odważył się ruszyć, inne samochody zajeżdżały mu drogę, ale jakimś cudem nigdy nie doszło do wypadku, chociaż niewiele brakowało, w każdym razie przyprawiał

* W. Duży.

kierowców niemal o zawał. A że Mór był głuchawy, miał odporność na przekleństwa rozwścieczonych automobili-stów.

Tego dnia jego samochód zjechał sapiąc ze wzgórza. Jak zwykle staruszek sprawdził szosę, wrócił do samochodu i ruszył. Jednakże coś mu się pokręciło i zamiast pojechać do przodu, wrzucił tylny bieg, tak że cofnął się i wjechał na drabinę George'a. Na szczęście malarz obserwował z góry manewry Mora, zauważył, że ten włączył tylny bieg, i natychmiast dostrzegł grożącą katastrofę. Dokładnie w chwili, kiedy samochód dotknął drabiny, George uchwycił się haka i zawisł na nim razem z wiadrem farby. Mór włączył jakoś przedni bieg, pozostawiając go wiszącego w powietrzu, i przetoczył się przez szosę, prawie ocierając się o ciężarówkę z mleczarni w Bandon. Odjechał, nie mając pojęcia, że George wisi na haku - na wysokości sześciu metrów nad ziemią - jak Tarzan na gałęzi. Paddy, który mieszkał w małym domku na rogu po drugiej stronie drogi, siedział na parapecie okna, czytając wieczorną gazetę, ale oderwał od niej na moment oczy, żeby popatrzeć na bardziej aktualne wydarzenie.

65554 Co ty tam robisz, George? - spytał niewinnie.

65555 Trenuję do występów w cyrku - odparł George - ale na dzisiaj

trening skończony. Przestań grać klowna i podstaw mi tę cholerną drabinę. Pomóż mi stąd zejść!

KOMORNIK

D

rzwi do sklepu Sama otwierały się z trudem, a jednocześnie brzęk żelaznego dzwonka zawiadamiał, że ktoś wchodzi. Czasami Sam osobiście witał klienta, przeciskając się przez ciasny otwór w głębi sklepu, jak strzyżyk wylatujący z gniazda. Na ogół wysuwał tylko głowę między szklanymi słojami zastawiającymi kontuar, ku zaskoczeniu klienta, który myślał, że nikogo tu nie ma. Stapiał się z otoczeniem do tego stopnia, że

często trudno było zauważyć jego obecność.

Sklep Sama bardziej niż inne w miasteczku można było nazwać tekstylnym, ale Sam nie ograniczał się do tekstyliów. Pod ścianami przed i za kontuarem zalegały najrozmaitsze towary, pozostawało tylko wąskie przejście dla klientów między pudłami i ciasny kąt za ladą dla właściciela. Okulary słoneczne walczyły o miejsce z termoforami, a z haczyków wbitych w półki z towarami zwisały ściereczki z irlandzkiego płótna i żółte szmatki do kurzu.

Sam miał zwyczaj w czasie rozmowy mierzyć palcem prosto w twóją twarz, aby podkreślić jakiś szczegół; musiałeś się cofnąć, aby nie trafił ci w oko. Pewnego razu ciocia Peg rozpoczęła rozmowę z nim tuż przy drzwiach wewnątrz naszego sklepu, a że za każdym wysunięciem palca przez Sama cofała się o krok, w rezultacie toczyli rozmowę, okrążając cały sklep, aż znowu doszli do drzwi.

Sam był najlepiej ubranym mężczyzną w miasteczku. Nosił wspaniale uszyte garnitury z samodiałowego tweedu i czapkę z tego samego materiału. Krawat powtarzał jeden z kolorów na deseni tweedu, a koszula tworzyła dyskretne tło harmonijnej całości. Jasny kwiatek w butonierce ożywiał ubranie, a spod spodni o nieskazitelnie zaprasowanym kancie wyglądały brązowe, skórzane półbuty, wyczyszczone do połysku, dobrze dobrane do ubrania. Sam był już niemłody, ale cerę miał jasną, jakby przezroczystą; żadna plamka nie szpeciła jego delikatnych dłoni o wysmukłych palcach. Był nieduży i drobnokościsty, miał piwne oczy o głębokim spojrzeniu, a kiedy coś mówił, wyraz twarzy zmieniał mu się zależnie od nastroju. Był tak harmonijnie zbudowany, że jak się zdawało, mógłby zrobić wielką karierę w balecie.

W miejscowych sklepach stali klienci kupowali na kredyt. Na ogół rachunki regulowano uczciwie, ale zdarzało się, że ktoś nadużył zaufania i naraził sklepikarza na straty. Czasami klient znajdował się w ciężkiej sytuacji finansowej, wówczas sklepikarz szedł mu na rękę i znajdowano wyjście kompromisowe. Jednakże w wypadku pani Harding nie było mowy o braku pieniędzy; próbowała po prostu wyciągnąć z tego systemu jak najwięcej korzyści dla siebie. Kupiła duży dom pod miasteczkiem, na zakupy chodziła bogato ubrana i obwieszona biżuterią. Ale kiedy nakupiła tyle, że na rachunku widniała pokaźna suma, odmawiała zapłaty. Ani Jacky, ani Sam nie mogli sobie z nią poradzić.

Jeździła regularnie autobusem. Pewnego razu wsiadła na przystanku przed naszym domem, kiedy Sam rozmawiał ze mną w kącie sklepu.

- Widzisz tę babę? - zapytał. - Nosi moje różowe majtki, za które nigdy mi nie zapłaciła.

Normalna cena tej dyskretnej części bielizny wynosiła w owych czasach dziesięć szylingów, ale tu chodziło o luksusowe majtki za siedemnaście szylingów i sześć pensów.

65556No coż - odrzekłam - co możesz na to poradzić? Przecież nie zedrzesz ich z pani Harding.

65557Tu nie ma żartów. Ona wybrała sobie najdroższą parę w całym sklepie. Ja jej jeszcze pokażę.

Po tygodniu, kiedy pani Harding znów jechała autobusem, Sam przystąpił do działania. Siedziała na tylnym siedzeniu w zatłoczonym wozie, a on stanął obok kierowcy.

- Pani Harding! - zawołał. - Czy nie zechciałaby pani wracając wstąpić do mojego sklepu i zapłacić za majtki?

Tego samego wieczoru wszystkie jej rachunki zostały uregulowane. Pani Harding przekonała się, że sposób egzekucji długów w naszym miasteczku działa równie skutecznie jak instytucja komornika.

ANIOŁ NA DACHU

K

iedy zaszłam w ciążę, uważałam, że to cud. Tańczyłam w zachwycie po salonie i byłam skłonna uwierzyć, że coś takiego przydarzyło się tylko mnie, nikomu innemu na świecie. Euforia trwała kilka tygodni, aż pewnego ranka, kiedy wyskoczyłam z łóżka, poczułam mdłości i sypialnia zawirowała wokół mnie. Usiadłam pośpiesznie i zaczęłam się zastanawiać, co się ze mną dzieje. Powiedziałam o tym doktorowi, kiedy tego wieczoru przyszedł do sklepu.

65558Mdłości poranne - oznajmił radośnie.

65559Ale ja czułam się okropnie przez cały dzień.

65560To się zdarza niektórym kobietom.

65561A jak długo to potrwa?

65562Jakieś sześć do ośmiu tygodni.

65563Osiem tygodni!

Nie mogłam uwierzyć, że taki stan może trwać aż osiem tygodni. Był to koniec października i wiadomość, że będę znosiła te męki aż do Bożego Narodzenia, przyjęłam jak ciężki wyrok.

- Im mniej będziesz zwracała na to uwagi, tym lepiej
- pocieszył mnie doktor.

Ale łatwo mu było radzić. W niedzielę rano w połowie Mszy świętej poczułam skurcze w żołądku i oblał mnie zimny pot. Ojciec Mick zaczął tańczyć wokół ołtarza, a potem uniósł się w obłokach wirującej mgły jak Chrystus wstępujący do nieba. Wisiał w powietrzu wysoko nad stropem kościoła, przed witrażami. Trzymałam się kurczowo ławki, aby nie zatonać w mgłach. Stopniowo wszystko wracało na miejsce. Powinnam była zaczerpnąć świeżego powietrza, ale tak kręciło mi się w głowie, że wolałam pozostać na miejscu. Poza tym gdybym wyszła z kościoła, byłoby to równoznaczne z publicznym oznajmieniem, że test na brzemienność wypadł pozytywnie. Równie dobrze mogłam to obwieścić razem z ogłoszeniami o zgonach. Po Mszy zamiast jak zwykle pomagać w sklepie, poszłam do łazienki i przyjrzałam się uważnie mojej popielatej twarzy. Jeśli ciąża jest stanem naturalnym, to dlaczego ja się tak nienaturalnie czuję? - pomyślałam.

Zdecydowałam, że do podróży ku macierzyństwu muszę się przygotować wszelkimi dostępnymi środkami. Kupiłam stos książek i

czasopism na temat ciąży, ale poranne mdłości zasługiwały w nich ledwie na krótkie, lekceważące wzmianki. Jeżeli w oczach specjalistów moje męki uchodzą za taki drobiazg, to jak mogę wierzyć w to, co piszą na temat dalszego przebiegu ciąży?

Byłam bliska zatonięcia w falach porannych mdłości. Jedyne wiośłami, pozwalającymi mi utrzymać się na powierzchni, były pastylki Rennie, które ssałam bez przerwy, i ocet jabłeczny, który popijałam szklankami: jego kwaśny smak przynosił mi chwilową ulgę. Czułam wstręt do szminki i do perfum, natomiast namiętnie łaknęłam truskawek. „Mdłości poranne” - to było za słabe określenie tych oparów jak z waty, które mnie otaczały przez cały dzień. Ale właśnie wtedy, kiedy moja ocena ciąży osiągnęła najniższą notę, mgły się rozeszły, a ja znów znalazłam się w normalnym świecie. Mogłam jeść, pić i cieszyć się życiem.

W ciągu następnych kilku miesięcy czułam się znakomicie i rozpierała mnie energia. Zaczęłam myśleć, że ciąża to okres szczęścia, kiedy otacza mnie złocista aureola. Wtedy spadł na mnie straszliwy świąd, typowy dla tego stanu, lecz tym bardziej uciążliwy, że lato było upalne, a ja w zaawansowanej ciąży nosiłam dodatkowe kilogramy. Byłam prawie unieruchomiona. Pojęłam wtedy, że najlepiej jest rodzić dzieci na wiosnę i że nie darmo Matka Natura każe pisklątom i jagniętom przychodzić na świat na wiosnę. Zanotowałam to sobie w pamięci na przyszłość.

W ostatnich tygodniach ciąży chodziłam, kołysząc się jak kaczka, a czułam się tak, jakbym miała urodzić słońiatko. Pewnego razu poskarżyłam się cioci Peg, że jestem taka ociężała.

65564A ile ty ważysz, dziecko? - spytała.

65565Prawie siedemdziesiąt kilo.

65566Na miłość boską, na co ty narzekasz. Ja ważę ponad osiemdziesiąt kilo, a nie noszę dziecka. O wiele łatwiej stracisz te swoje dodatkowe kilogramy niż ja swoją nadwagę.

Później, kiedy w szpitalu w Cork przechodziłam męki bólów porodowych, nie byłam wcale pewna, czy zgadzam się z ciocią Peg. W upokarzającej pozycji, jaką należy przyjąć do porodu, czułam ból mało przypominający ową lekką dolegliwość i parcie, o których tak delikatnie wspominały moje podręczniki i czasopisma. Były to naprawdę straszne bóle. Postacie w białych fartuchach kręciły się dokoła mnie w antyseptycznej „hali produkcyjnej”, traktując górną część mojego ciała jak przedmiot, który znalazł się tu przypadkowo i nie zasługuje na uwagę. Nie mogłam uwierzyć, że wykonują coś więcej niż ćwiczenie, w którym liczy się czas i ruch. Czas należał do nich, a o utrzymanie ruchu musiałam dbać ja. Horyzont rozjaśniał mi tylko widok moich paznokci u nóg, które przed wyjściem z domu pomalowałam jaskrawoczer-wonym lakierem.

Bóle porodowe ciągnęły się długo, a że nie wiedziałam nic o technikach relaksacyjnych i oddechu, cały proces rodzenia był od początku do końca koszmarem. Zimne i wilgotne gumowe rękawiczki penetrowały moje dolne części ciała, umysł miałam zamroczony zastrzykami. Poród przyjąłam jak wyjście z długiego, ciemnego tunelu, a jedyne, co poczułam, był przeszywający ból, kiedy ginekolog zrobił nacięcie, które uznał za konieczne, aby ułatwić jego przebieg.

Kiedy wróciłam do normalnego świata, znajdowałam się w łóżku na sali szpitalnej, ale z jakichś powodów nadal jęczałam z bólu. Zakonnica spojrzała na mnie z irytacją.

65567Co pani jest? - spytała.

65568Boli mnie - wyszeptałam z trudem, nie będąc pewna, czy rzeczywiście mnie boli, czy też już straciłam władze umysłowe.

65569Nie ma co boleć - oświadczyła. - Dziecko już się urodziło.

Zbyt wielki miałam zamęt w głowie, żeby zaprotestować i wyjaśnić, że przecież nie czuję bólu z jakichś perwersyjnych powodów. Zakonnica sprawdziła jednak, jak się sprawy mają, i zaniepokojona, przywołała drugą siostrę.

- Ta tutaj ma skrzepy, zabierz ją z powrotem na górę
- powiedziała.

Wtoczyły mnie więc jak worek mąki znów na wózek i zawiozły do izby tortur, którą dopiero co opuściłam. Tym razem mój brzuch stał się ciastem ugniatanym przez wiele rąk, które usiłowały go spłaszczyć, ale na szczęście mój umysł odpłynął długim, mglistym korytarzem do krainy zapomnienia.

Gdy przyszłam do siebie, leżałam w cichej salce z przepięknym widokiem. Różowe palce letniej zorzy porannej rozciągały się nad miastem, a oszklona ściana tuż pod dachem dawała mi poczucie, że znajduję się wysoko ponad światem. Nad rzeką wisiała lekka mgiełka. Wschodzące słońce oświetlało strzeliste wieże z szarego i kremowego kamienia, które wznosiły się nad domami na zboczu wzgórza. Miałam dziwne uczucie, że mogłabym prze-frunąć nad tym niebiańskim widokiem, ale zobaczyłam, że jedną rękę mam przywiązaną do kroplówki, a drugą do butelki z krwią. Obok mnie stała bez ruchu bardzo młoda, śliczna zakonnica w śnieżnobiałym habicie. Była tak chłodna i odległa, że wydawała się posągami z białego marmuru, ale kiedy się odwróciła i spojrzała na mnie, twarz miała pełną zatroskania.

65570Już wszystko w porządku - zapewniła mnie łagodnie.

65571Jak tu spokojnie - powiedziałam.

65572Właśnie - uśmiechnęła się zakonnica - lubię to miejsce wczesnym rankiem.

Znów odpływając w zapomnienie widziałam jej sylwetkę na tle miasta wylaniającego się z porannej mgły. Wyglądała jak anioł na dachu.

Kiedy po raz pierwszy miano mi podać mego nowo narodzonego syna, spodziewałam się, że zaleje mnie fala macierzyńskiego szczęścia. Nic takiego się nie stało. Niemowlę, z lekka zezując, patrzyło na mnie nieufnie, i słusznie, bo wcale nie byłam wtedy pewna, czy się nadaję do wypełnienia misji macierzyństwa. Wkrótce zaczęłam też powątpiewać, czy jedna z zakonnice ma powołanie do opiekowania się położnicami. Przeważałam ją Siostra Tarka.

Niełatwo przyszło mnie i dziecku osiągnąć harmonijne stosunki. Nie było głodne, kiedy powinno być głodne, nie odbijało mu się, kiedy powinno mu się odbijać, i nie spało, kiedy powinno spać. W ogóle nie miało pojęcia o rozkładzie dnia i o tym, jak się powinno zachowywać niemowlę. Siostra Tarka postanowiła jednak, że zrobi z nas skoordynowany zespół. Ani ono, ani ja nie wiedzieliśmy, czego od nas oczekuje. Mnie w dodatku męczyła myśl, że nie dorosłam do nowej roli, i lęk przed ciężarem odpowiedzialności, którą miałam teraz ponosić, jak zapewniała mnie Tarka - sama.

Pewnego popołudnia, kiedy mój syn powinien był zajmować się napełnianiem brzuszka, postanowił, że woli drzemkę, i zasnął. Wtedy Siostra Tarka mi wygarnęła:

- Wiesz, co ci powiem, jak się za niego nie weźmiesz, to

umrze ci z głodu, kiedy wrócicie do domu.

Ale mnie się wtedy wydawało, że to ja najpierw umrę. Za każdym razem pod koniec karmienia byłam oblana potem i całkowicie wyczerpana. Czułam się, jakbym dopiero co przebiegła maraton, a już zaczynał się następ-

ny. Z powodu licznych szwów w delikatnych miejscach wchodzenie i schodzenie z łóżka było wyczynem, a utrzymanie równowagi wymagało najwyższej ostrożności. Na szczęście siedzenia w niektórych krzesłach można było usuwać, i tylko dzięki temu mogłam na nich siadać. Wkrótce zresztą opanowałam umiejętność dobierania właściwej pozycji.

Dzieliłam pokój szpitalny z przystojną, krzepką kobietą, która sprawiała, że czułam się nic niewarta. Wskakiwała i wyskakiwała z łóżka jak zawodnik w biegu z przeszkodami. Jej dziecko miało solidne prawie pięć kilogramów wagi, pożerało pokarm, bekało jak stary i spało jak kamień. Gdyby na śniadanie dano mu jajka na bekonie, toby pewnie wylizało do czysta talerz. Kobieta była najwidoczniej przeznaczona do rodzenia i wychowywania dzieci, a ja nie nadawałam się ani do jednego, ani do drugiego.

Kiedy nadeszła chwila powrotu do domu, byłam szczęśliwa, bo wydawało mi się, że u siebie, przy moralnym wsparciu Gabriela, łatwiej się uporam z nowymi obowiązkami. Ale czy w szpitalu, czy w domu, dzieciak był zawsze bombą zegarową. To się dławił, to się dusił, to przestawał oddychać. Liczba możliwych katastrof była nieograniczona. Wydawało mi się, że jeżeli oboje przeżyjemy, to będzie cud. Pierwszego dnia po powrocie do domu słańiałam się na nogach i co chwila przeżywałam kryzys. Zaraz po pierwszym karmieniu dzieciak wszystko na

mnie zwymiotował. Musiałam zmienić mu kaftanik i sama założyć czyste ubranie. Wtedy po raz pierwszy przebierałam takie maleństwo. Kości miał drobniutkie, cieniutkie jak gałązki, i strasznie się bałam, że je złamię, więc ubierałam go długo i niezgrabnie. Przez cały czas mały wrzeszczał, aż posiniał na twarzy, i wymachiwał z wściekłością tymi cienkimi jak zapałki kończynami. Kiedy płakał dalej, uznałam, że trzeba mu zmienić pieluszkę. Była to operacja poważna, rozłożyłam więc na łóżku książkę z pouczającymi ilustracjami. Zdumiało mnie, że coś, co wydaje się takie proste, w rzeczywistości

jest tak skomplikowane, ale w końcu go przewinęłam. Co prawda mimo moich wysiłków nie wyglądało to tak porządnie i ładnie jak na ilustracjach w podręczniku, ale mały miał jednak czystą pieluszkę. Co z tego, kiedy płakał dalej. Położyłam go na łóżku. Wzięłam go na ręce. Chodziłam z nim po pokoju. Wszystko na nic. Płacz osiągnął crescendo, jak orkiestra w pełnym składzie. Nappełnił pokój, cały dom i nappełnił mi głowę, aż czułam, że mi zaraz pęknie. Tarka miała rację, mały umrze. Będę pierwszą matką na świecie, której dziecko zmarło, bo nie umiała zrobić tego, co potrafi każda normalna kobieta, każda samica. Gdy oddałam się tym psychoanalitycznym rozmyślaniom, zabręczał telefon. Dzwoniła moja siostra.

65573 Jak ci idzie? - spytała pogodnym głosem.

65574 Okropnie! - Zniosłam się płaczem jak dzieciak. - Nakarmiłam go, to zwymiotował, przewinęłam i chodziłam z nim po pokoju, a on od dwóch godzin nie przestaje płakać. Chyba dostanę rozstroju nerwowego.

65575 Nie masz teraz czasu na żadne rozstroje - zapowiedziała siostra. -

Poczekaj, zaraz zaśnie. Nakarmiłaś go drugi raz?

65576Nie.

65577No to zrób to, pewnie jest głodny.

Zrobiłam, jak mi radziła, i właśnie w chwili, kiedy mi się wydawało, że już nigdy nie zaznam ciszy, spłynął na mnie błogi, cudowny spokój.

W ciągu następnych tygodni dziecko zajmowało nam każdą godzinę z wyjątkiem chwil, kiedy spało. Poruszałam się w stanie odrętwienia wywołanego wyczerpaniem. Pokłady zmęczenia rosły, a moim nieosiągalnym marzeniem stało się przespanie jednej całej nocy. Wczesnym rankiem, siedząc na starej kanapie w pokoju dziecka, kiedy ciszę z rzadka tylko przerywał przejeżdżający samochód, zastanawiałam się często, czy jest jeszcze ktoś w miasteczku, kto nie śpi. Zaczęło mi się wydawać, że już nigdy nie będę miała własnego życia.

Stopniowo jednak w moim pierwszym macierzyństwie porządek zaczął panować nad chaosem. Zameżne siostry udzielały mi przez telefon praktycznych rad. Najcenniejsza brzmiała: „Wsadź dzieciaka do wózka i wychodź codziennie na spacer. Nie dla niego, dla siebie”. Próbując wszystkiego, żeby jakoś sobie pomóc, postąpiłam zgodnie z tą złotą myślą. Na jednym z pierwszych spacerów spotkałam Lizzy May, która kiedyś, tuż po moim przybyciu do miasteczka, zapewniała mnie, że jestem taka chuda i delikatna, że nic ze mnie nie będzie. Teraz zmierzyła mnie znowu wzrokiem i oświadczyła z największą satysfakcją: „No, no, to dziecko zrobi z ciebie kobietę”.

O parę domów dalej na naszej ulicy mieszkała osoba znana wszystkim jako Pielęgniarka. Przychodziła często, aby mi pomóc i służyć radą, ale - co dla mnie miało największe znaczenie - przekonywała mnie też, że

wszystko, co mi się przydarza, jest zupełnie normalne, a także, że niemowlęta są o wiele bardziej wytrzymałe, niż nam się wydaje.

Powoli budziło się we mnie zaufanie do własnych sił. Przestałam co chwila sprawdzać, czy dziecko oddycha. Zaczęło mi świtać w głowie, że oboje wyżyjemy. Po jakichś trzech miesiącach dzieciak sypiał okrągłą dobę, a że mnie przeszło wyczerpanie, zaczęłam się nim cieszyć. Gabriel okazał się zdolnym ojcem, i łatwo sobie radził z opieką nad dzieckiem. Wujek Jacky ubóstwiał naszego synka; wchodząc do pokoju dziecinnego, często zastawałam go wpatzonego z zachwytem w małego. W jego domu nigdy przedtem nie było żadnego maleństwa, toteż był nim tak całkowicie zafascynowany jak i ja, kiedy przestałam się o wszystko martwić. Wkrótce posunęłam się w swoich zachwytach za daleko. Pewnego dnia jedna z moich sióstr spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

- Dziecko jest prześliczne i wydaje ci się niezwykle interesujące. Ale pamiętaj, że wszystkim innym nie wydaje się ono ani tak piękne, ani interesujące. Więc na miłość boską przestań mnie zanudzać nieskończonym gadaniem o nim. Nie ma nic tak nudnego jak kobieta, która nie potrafi mówić o niczym innym, tylko o swoich dzieciach.

Tylko od siostry można wysłuchać czegoś podobnego i nie przestać się z nią przyjaźnić. Od tej chwili starałam się nie zapominać o tej cierpkiej uwadze.

Kiedy urodził się nasz drugi syn, ze zdziwieniem przekonałam się, że teraz bez trudu radzę sobie w sytuacjach, które trzy lata wcześniej niszczyły mi życie. Pierwsze macierzyństwo przeżywa się, na szczęście, tylko raz w życiu.

WIĘC TO TAK?

P

ewnego dżdżystego poniedziałku późnym latem siedziałam przy stole w naszej maleńkiej kuchni, otoczona obierkami z kartofli i brudnymi naczyniami. Gabriel wrócił do pracy, nasz starszy synek paćkał sobie buzię rozgniecionymi kartoflami, a młodszy, siedząc na wysokim krześle, uderzał łyżką o tacę. Okna należałoby umyć, podłoga aż krzyczała, aby ją

wyszorować, kosz z brudną bielizną na piętrze był pełen po brzegi. Ogród za oknem zalewały strumienie deszczu, strugi wody spływały po zasnutych parą szybach. Siedziałam zamknięta w czterech ścianach kuchni, a w głowie pulsowało mi w takt łyżki walącej o tacę. Pławiłam się w morzu litości nad sobą. Myślałam: Więc to tak ma być? Tak to wygląda? Widziałam przed sobą nie kończące się dni obierania kartofli, prania brudnej bielizny i pilnowania hałasujących dzieci.

Parę tygodni później na szczytowej ścianie sąsiedniego, narożnego domu pojawił się napis: „Na sprzedaż”. George doszedł do wniosku, że jest już za stary, żeby biegać w dół i w górę po drabinach, postanowił wycofać się z interesu i zamieszkać z rodziną.

Był to duży, trzypiętrowy dom z wielkim podwórzem i ogrodem na tyłach. Coś dla nas - pomyślałam. Kupimy ten dom i zaczniemy coś nowego. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co właściwie mielibyśmy zacząć. Któraś ze

złośliwych przyjaciółek zaproponowała, abyśmy otworzyli dom publiczny.

„Świetny interes - zapewniała mnie

- nie mielibyście u nas konkurencji." Bez konkretnych planów zebraliśmy grosz do grosza i przy pomocy obu naszych rodzin kupiliśmy ten narożny dom. Teraz trzeba było zdecydować, co chcemy z nim zrobić.

Nie mieliśmy funduszy na remont, więc zasięgnęliśmy języka, skąd można by uzyskać subwencje, i dowiedzieliśmy się, że jedyną szansą dla nas jest Rada do spraw Turystyki, Bord Failte. Napisaliśmy tam na wszelki wypadek i czekaliśmy na odpowiedź. Po kilku tygodniach, w chłodny, mokry, ponury wieczór zimowy, akurat kiedy zabierałam się do kąpieli

obydwu moich brudnych, zmęczonych, kapryszących synków, żeby ich położyć do łóżka, usłyszałam dzwonek do drzwi. Poszłam otworzyć, mając nadzieję, że nie jest to ktoś, kogo trzeba będzie ugościć i zabawić. Za drzwiami stało dwóch przyzwoicie wyglądających młodych ludzi. Powiedzieli, że są z Bord Failte i przyjechali obejrzeć lokal, o którym do nich pisałam. Wzięłam jednego dzieciaka pod pachę, drugiego za rączkę i poszłam oprowadzić urzędników. Żaden stary, od dłuższego czasu pusty, pozbawiony mebli dom nie może wyglądać atrakcyjnie; w dodatku w dicken-sowskiej kuchni suszyły się na sznurze pieluszki, które w półmroku powiewały jak duchy. Prowadząc elegancko ubranych panów po zakurzonych pokojach i skrzypiących schodach aż na ciemny strych, spojrzałam na to domiszcze ich oczami. Wydało mi się nędzne. Starszy z panów, jeśli mogłam sądzić z wyrazu jego twarzy, dziwił się, co ta pomyłona kobieta, obarczona dwojgiem nieznośnych dzieci, zamierza zrobić z tak zaniedbanym domem. Położył teczkę z wypolerowanej skóry na zakurzonym parapecie, otworzył z trzaskiem zamek i zaczął przeglądać jakieś oficjalne dokumenty.

- No cóż, żeby doprowadzić ten dom do jakiego takiego stanu i myśleć o urządzeniu w nim pensjonatu, musi pani zainwestować około dwudziestu tysięcy funtów

- powiedział.

Dwadzieścia tysięcy, powtórzyłam jak papuga, starając się nie ujawniać wstrząsu, jaki wywołały we mnie te słowa. Zresztą jeśli chodzi o moje możliwości, równie dobrze mógł powiedzieć: dwieście milionów.

Potem dodał, wbijając ostatni gwóźdź do trumny moich marzeń:

- Planuje pani przebudowę w bardzo trudnej sytuacji, gdyż banki

odmawiają teraz udzielania kredytu. Nie chcą dawać pożyczek nawet na niezbędne cele, a co dopiero mówić o czymś takim. Spojrzał z pogardą na obdarte tapety i machnął ręką, tupnął piętą w uginającą się deskę podłogową, która zaskrzypiała na znak protestu, a potem poinformował mnie, że jeśli mają w ogóle zacząć ze mną gadać na temat subwencji, muszę zaangażować jednego z architektów z jego listy. Następnie obaj eleganccy panowie wsiedli do samochodu i szybko opuścili miasteczko.

Po tygodniu nadszedł pocztą spis architektów. Zabrałam się do telefonowania, próbując znaleźć kogoś wyrozumiałego, z kim by się przyjemnie pracowało. Było to zadanie niemal tak trudne jak wybór męża, bo od tego człowieka miała zależeć cała nasza przyszłość. Architekt przyszedł już następnego dnia, aby obejrzeć budynek. Był to uroczy pan w średnim wieku. Okazał się tak pomocny i pełen optymizmu, że otworzenie pensjonatu wydało mi się mniej niemożliwe. Kiedy wymieniłam sumę dwudziestu tysięcy funtów, uśmiechnął się z sympatią. „Chyba połowa wystarczy” - orzekł. Ale była to nadal suma wysoka, więc następnym mężczyzną w moim życiu miał się stać dyrektor banku.

Dotychczas nie znałam żadnego dyrektora banku. Dość romantycznie wyobrażałam sobie przedstawicieli tego gatunku jako korpulentnych dżentelmenów ze złotym łańcuszkiem od kieszonkowego zegarka na kamizelce, którzy całe życie spędzali za wielkimi, mahoniowymi biurkami gdzieś w zacisznych wnętrzach banku. Zasiadali tam w brązowych skórzanych fotelach i studiowali ciężkie księgi finansowe. Nigdy nie miałam z nimi do czynienia, bo moje środki pieniężne nie wymagały usług instytucji finansowych. Ponieważ nie odznaczałam się oszczędnością, zasoby gotówki znajdowały

u mnie w kieszeni tylko tymczasowe schronienie. Ale wszystko to miało się zmienić.

Moja wyobraźnia dopisała tylko, jeśli chodzi o mahoniowe biurko w gabinecie dyrektora. Natomiast on sam wyglądał jak piłkarz, i to jeszcze w złym humorze. Nie bacząc na ponure przepowiednie panów z Bord Failte, poszłam do banku pełna entuzjazmu, ale dyrektor oblał mnie zimną wodą.

65578 Czy zdaje sobie pani sprawę, że mamy kryzys? - spytał.

65579 Tak, słyszeliśmy o tym - odrzekłam - ale potrzebujemy pieniędzy niezależnie od tego, czy jest kryzys, czy go nie ma.

Gabriel, człowiek podchodzący do życia bardziej realistycznie niż ja, przygotował pełne strony cyfr. Dyrektor zajął się ich studiowaniem, a tymczasem cisnął w nas jeszcze jedną strzałą.

- Skąd wiecie, że będziecie mogli utrzymać taki duży pensjonat w takim małym miasteczku?

Zapewniłam go, że turystyka rozwija się szybko, ale spoglądał na mnie zza szerokiego biurka z niedowierzaniem. Poczułam, jak kurczy się we mnie wiara w nasze siły, a twarda, zimna gruda odmowy usadawia się w głębiach mojego żołądka. Stwierdziłam, że dyrektorzy banków mają zły wpływ na nastrój. Wynik naszej jałowej rozmowy był taki, że dyrektor miał się zwrócić o pożyczkę dla nas do centrali; ale nie ukrywał dużych wątpliwości co do naszych szans. Powiedział, żebyśmy porozumieli się z nim telefonicznie za parę dni.

Zadzwoił do niego Gabriel, a ja stałam obok modląc się. Ale widocznie tego dnia Pan Bóg wyłączył u siebie telefony, bo nasze podanie zostało załatwione odmownie. Stałam wstrząśnięta, dosłownie wrosłam w podłogę. Wprawdzie dyrektor banku ostrzegł nas, że szanse mamy

niewielkie, ja jednak wierzyłam, że dostaniemy pożyczkę.

Całe nasze nadzieje i całe z trudem uzbierane pieniądze utopiliśmy w narożnym domu, więc teraz już nie było wyjścia, musieliśmy zacząć przebudowę, bo bez tego wszystkie nasze projekty pozostałyby na zawsze tylko w sferze marzeń.

Wróciliśmy do banku następnego dnia i po długich rokowaniach otrzymaliśmy pożyczkę w wysokości kilkuset, a nie kilku tysięcy funtów. Było tego o wiele za mało, ale wystarczyło, żeby zacząć. Architekt kreślił tymczasem plany i stopniowo nasz pensjonat zaczął nabierać kształtów. Przewidzieliśmy siedemnaście pokoi, musiało być ich bowiem ileś tam, żeby można było uzyskać subwencję. Plan miał być wykonany w dwóch etapach. Pierwszego roku zamierzaliśmy przygotować osiem pokoi, a pozostałe później.

Wysłaliśmy projekt do Bord Failte i czekaliśmy na decyzję. W odpowiedzi napisano, że biuro projektów nie aprobuje naszego planu i zaleca wiele zmian. Wprowadziliśmy te korekty i wysłaliśmy im poprawione plany. W odpowiedzi zalecono dokonanie dalszych poprawek, co też zrobiliśmy, ale mimo to biuro zwracało nam projekt jeszcze kilka razy. Ciągnęła się ta zabawa w ping--ponga całymi tygodniami. Gabriel zabrał się już do pracy, usuwając przezarte przez robactwo ścianki działowe. Wracał późnym wieczorem, pokryty kurzem i pajęczynami. Bez zgody Bord Failte nie mogliśmy jednak przystąpić do gruntownej przebudowy, bo utracilibyśmy subwencję i w ogóle byśmy sobie nie poradzili. Nadeszły święta Bożego Narodzenia, a decyzji wciąż nie było. A przecież sezon turystyczny się zbliżał i musieliśmy być gotowi na czas.

Tymczasem wyłonił się jeszcze jeden problem. Znajomy mieszkający w

hrabstwie Kent zawiadomił nas, że Anglicy wybierający się na wakacje zamawiają pokoje w hotelach już w styczniu, lutym. Ponieważ turystyka w Irlandii opierała się głównie na Anglikach, trzeba było, żeby się dowiedzieli o naszym istnieniu. Co było robić. Absolutnie przekonana, że wbrew wszelkim przeszkodom

zdażymy na czas, zamieściłam ogłoszenia w „Observerze”, „The Lady” oraz w kilku angielskich czasopismach. Przyjmowałam zamówienia na całkowicie umeblowane pokoje, istniejące tylko w mojej wyobraźni. Tak więc gości mieliśmy już zapewnionych, teraz potrzebny był jeszcze pensjonat.

Bord Failte ciągle zwlekała z odpowiedzią, więc zdecydowaliśmy, że sprawę można ruszyć, tylko jadąc do Dublina z planami w rękę i załatwiając wszystko na miejscu.

BOSKI MECHANIK

B

było jeszcze ciemno, kiedy pewnego styczniowego poranka obudził nas szum deszczu bębniącego o dach. Chcieliśmy przed piątą rano wyruszyć

samochodem do Dublina. O drugiej po południu byliśmy umówieni w biurze Bord Failte, a całą resztę dnia mieliśmy zaplanowaną co do minuty. W domu towarowym Clery trwała styczniowa wyprzedaż, więc chcieliśmy skorzystać z tej okazji i kupić bieliznę pościelową, ręczniki i koce. Obliczyliśmy, ile materiału wyjdzie na firanki, i stwierdziliśmy, że być może i na to starczy nam pieniędzy. W wyobraźni widziałam już zestawienia kolorystyczne dla całego wnętrza pensjonatu. Wszystko dokładnie skalkulowaliśmy i mimo że nasz miniaturowy budżet był napięty do maksimum, przy odrobinie szczęścia i ostrożności w wydatkach powinno nam było starczyć pieniędzy na najniezbędniejsze rzeczy.

Ulewa, która nas powitała, gdy otworzyliśmy drzwi frontowe, nie była zachęcającym początkiem dnia. Ulicę zalewały strumienie wody, ostry podmuch wiatru z deszczem cofnął nas z powrotem do domu. Wzięliśmy płaszcze deszczowe i parasole, a ja poszukałam pod schodami starych czerwonych butów gumowych, które wkładałam zwykle, idąc do ogrodu nakarmić kury Jacky'ego. W ulewie przeszłam w tych butach do samochodu, a pantofle rzuciłam na tylne siedzenie.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z miasteczka, wartkie potoki spływały ze wzgórza na ulice; po drodze do Cork masy wody lały się na pagórki. Samochód warczał zdeterminowany, jakoś pokonując zatopioną drogę, ale za zakrętem nagle mnie zatkało. Przed nami, jak okiem sięgnąć, wszędzie była woda. Tak jakbyśmy mieli przed sobą rzekę. I właśnie kiedy postanowiliśmy mimo wszystko przejechać, samochód czknął, zadrżał i stanął.

Siedzieliśmy otoczeni wodą. Przepływała między kołami, spływała strugami po szybach. Przedtem wydawało się, że nasze problemy

ograniczają się wyłącznie do finansów, teraz nawet pogoda sprzysięgła się przeciwko nam. Nie przyszło nam do głowy, że możemy nie dojechać do Dublina. Uprosililiśmy naszą przyjaciółkę Margaret, mieszkającą po drugiej stronie ulicy, żeby zaopiekowała się dziećmi, znaleźliśmy kogoś, kto miał pomagać Ja-cky'emu w sklepie. Trzeba było wielu, bardzo wielu rozmów telefonicznych i mnóstwa cierpliwości, żeby umówić się na spotkanie z ważnymi osobistościami w Bord Failte. Po prostu musieliśmy dotrzeć do Dublina. Ale tylko pomoc nieba mogła nam to ułatwić, siedzieliśmy więc w ciemnościach w samochodzie i odmawialiśmy różaniec. Zdecydowałam, że odmówimy tajemnice chwalebne, rozpoczynając od Zmartwychwstania, gdyż potrzebna nam była jakaś siła, która mogłaby nas popchnąć. Nie mam pojęcia, jakie wykształcenie posiada Duch Święty w dziedzinie mechaniki, ale przy trzeciej tajemnicy chwalebnej silnik znów zawarczał i samochód ruszył z miejsca.

Komunikaty meteorologiczne nadawane przez radio w naszym samochodzie donosiły, że warunki drogowe są okropne w całym kraju, postanowiliśmy więc zostawić samochód na dworcu Glanmire w Cork i pojechać do Dublina pociągiem. Z ulgą zjechaliśmy z szosy, mając pewność, że teraz już bez przygód dojedziemy na miejsce. Ale kiedy siedziałam sobie wygodnie przy oknie w ciepłym przedziale, poczułam nagle, że coś jest nie w porządku. Spojrzałam na nogi i ku mojemu przerażeniu stwier-

dziłam, że zapomniałam zmienić buty. Pantofle leżały na tylnym siedzeniu samochodu, a ja jechałam do Dublina w czerwonych gumowcach.

W domu towarowym Clery poszło nam jak po maśle. Kupiliśmy koce, bieliznę pościelową i ręczniki po cenie mieszczącej się w naszym budżecie.

Duży wybór materiałów, i to po przystępnych cenach, pozwolił nam zaopatrzyć się w firanki do wszystkich pokoi hotelowych. Te do hallu miały ciepły, brązowy odcień i kosztowały po jedenaście szylingów za jard, ale zanim je kupiliśmy, poszliśmy na górę, żeby znaleźć odpowiedni dywan. Mieliśmy w notesiku długą listę wymiarów i rozmaitych szczegółów; wykreślałam po kolei każdy zakup i czułam, że wreszcie nasze sprawy ruszyły. Gdy wszystkie rzeczy z listy zostały kupione, uznaliśmy, że to wielki krok naprzód.

Ale po przyjeździe do biura Bord Failte zrobiliśmy znów dwa kroki wstecz. Skierowano nas na piętro, gdzie za dużym biurkiem siedziała pani wyglądająca na osobę wysoce kompetentną. Chodziłam po wielkich dywanach i myślałam sobie, że po długich godzinach spędzonych w domu towarowym Clery, mogę ocenić ich koszt co do centa. Zauważyłam z przykrością, że dama za biurkiem patrzy na moje nogi; po raz drugi tego dnia gumowce zepsuły mi nastrój. Do pani za biurkiem przyłączyło się dwóch panów i wszyscy troje przepytali nas znowu, podkreślając trudności, jakich możemy się spodziewać. Stwierdzili wreszcie, że gdyby nawet zaaprobowali nasze plany, i tak nie starczy nam środków na ich realizację. Ale myśmy nie po to przyjechali. Przywieźliśmy im nasze plany hotelu, żeby nam wskazali, co jeszcze trzeba zmienić. Myśleliśmy, że uda się razem wszystko omówić, nanieść ostatecznie poprawki, i w końcu dadzą nam zgodę. W domu wydawało nam się, że przy wspólnym wysiłku problem się rozwiąże, ale im dłużej trwała nasza rozmowa, tym mniej stawało się to prawdopodobne. Duch Święty, którego zadaniem jest oświecanie umysłów, zaraz po tym, jak uruchomił nasz samochód, wziął sobie

widocznie wolny dzień. Wyszliśmy z Bord Failte po prostu załamani i zrozpaczeni. Trzęśliśmy się z zimna, byliśmy zmęczeni i głodni. Miałam ochotę usiąść na ulicy i rozplakać się. Pobiegliśmy do autobusu jadącego na dworzec. Autobus był pełen przemokniętych ludzi, z których kapłała woda; niektórzy mieli wygląd równie nieszczęśliwy jak my. W pociągu byliśmy zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Gabriel zasnął szybko, a w mojej głowie kłębiły się wydarzenia dnia. Może ten cały pensjonat, to szalony pomysł? Dyrektor banku odradzał nam takie przedsięwzięcie, może miał rację? Ludzie z Bord Failte uważali, że mamy głowy w chmurach. Może mieli rację?

Przyjechaliśmy na dworzec w Cork, gdzie podmuchy zimnego wiatru zmroziły nas do kości. Trudno było uwierzyć, że tego samego dnia rano wsiadaliśmy do pociągu pełni nadziei. Dzień ciągnie się długo, kiedy wiatr wieje ci w oczy. Przeskakując kałuże, dotarliśmy do naszego samochodu. Moje pantofle stały samotnie na tylnym siedzeniu.

Byliśmy szczęśliwi, że wróciliśmy do domu. Zaparzyliśmy herbatę i usiedliśmy przy kominku, żeby omówić wszystko, co zaszło. W miarę, jak ogarniało nas ciepło przytulnego, wygodnego mieszkania, nastrój zaczął mi się poprawiać i jeszcze długo tej nocy dyskutowaliśmy z Gabrielem, co robić. Jakkolwiek byśmy spojrzeli na naszą sytuację, idealne wyjście nie istniało; trzeba było pójść na kompromis. Ale klienci pozamawiali już pokoje, mieliśmy bieliznę pościelową i gorące pragnienie, by jak najszybciej przystąpić do dzieła, doszliśmy więc do wniosku, że warto zaryzykować i rozpocząć przebudowę domu. Bord Failte i tak nie udzieliłaby nam subwencji przed zakończeniem realizacji obu części projektu, a do tego jeszcze daleka droga, więc im szybciej na nią

wstąpimy, tym lepiej.

Zaczęliśmy przebudowę narożnego domu w połowie lutego. Nastąpiły trzy miesiące kurzu, błota i zorganizowanego chaosu. Ale przez cały ten rozgardiasz przebijał się jasny promień nadziei, że z zamętu wyłoni się przy-

zwoity pensjonat, który otworzy podwoje na początku lata. Cel uświęcał środki, a jedynymi środkami, jakimi dysponowaliśmy, była ciężka praca i długie godziny oczekiwania. Cały budynek został wypatroszony i częściowo przebudowany. Założono instalację elektryczną i kanalizację. Przedtem w budynku był tylko jeden kran z zimną wodą, w kuchni; ubikacja znajdowała się na zewnątrz. Teraz zakładaliśmy umywalki w każdym pokoju, a prysznice i toalety, gdzie się tylko dało. Pokazaliśmy plan pensjonatu Lizzy May i wyjaśniliśmy jej, do czego służy każde pomieszczenie. Policzyła, ile jest toalet, pokiwała z podziwem głową i rzekła:

- Jeśli ktoś będzie musiał wziąć na przeczyszczenie, może być zupełnie spokojny.

Roboty prowadził miejscowy mistrz budowlany Jerry i jego kuzyn Davey. Jerry był mały, szczupły i naładowany energią jak akumulator. Pracował tak szybko, że dostawało się zawrotu głowy, patrząc, jak biega w dół i w górę po drabinach lub pędzi po chwiejących się rusztowaniach. Przeważnie trzymał się planów przygotowanych przez architekta, ale kiedy coś mu się w nich nie podobało, robił po swojemu. W długim korytarzu plan przewidywał trzy okna. Nalegałam, żeby tak właśnie było, a Jerry twierdził z uporem, że dwa okna wystarczą, trzy osłabią dach. Dyskutując ze mną na ten temat, przypominał sobie, że zabraknie mu

cementu, i wysłał mnie do Bandon po parę worków, które pozwolą mi prowadzić roboty aż do przyjazdu ciężarówki z większym transportem. Kiedy wróciłam, ściana korytarza była skończona. Z dwoma oknami. Jerry uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

- Alicjo, kiedy będziesz majstrem budowlanym tak długo jak ja, przekonasz się, że miałem rację.

Istotnie miał rację.

Davey, kuzyn Jerry'ego, wysoki i spokojny młody człowiek, poruszał się tak niepewnie, że wydawał się kimś innym, gdy grając w *hurling* czy w irlandzką piłkę nożną, biegał po boisku jak zając i rzucał się na piłkę jak

T1

jaskółka. Miejscowa drużyna Valley Rovers wygrała dzięki niemu niejeden mecz.

Pracując razem, szybko i w milczeniu wybudowali domy, zajazdy i obory w całej parafii. Za pomocnika mieli Charliego, który rano roznosił pocztę, a po południu chwycił się zawsze jakiejś innej roboty. Ten wysoki, mocno zbudowany mężczyzna potrafił mieszać cement równie dobrze jak betoniarka, a bloki betonowe rzucał, jakby to były piłki tenisowe. Mimo wysokiego wzrostu świetnie tańczył. Lubiłam, gdy na wieczorach w sali parafialnej prosił mnie do tańca, bo miałam uczucie, że przy nim fruwać w powietrzu. Czasami przychodził również do pomocy Paddy - drobny, porywczy i niecierpliwy. Zaczynał pracę rano, ale zdarzało się, że gdy go coś zirytowało, w ciągu dnia rzucał robotę i szedł do domu, a mieszkał za rogiem. Kiedy już ochłonał, zawsze jednak wracał. Na budowie pracował też Mike, który mieszkał na tej samej ulicy. Był to wesoły, dowcipny nastolatek, tryskający radością życia, bardzo zdolny i nieoceniony w

różnego rodzaju przeróbkach; można mu było powierzyć każdą robotę. Instalacją hydrauliczną zajmował się Kevin, znakomity gawędziarz; miał pomocnika, który bez przerwy śpiewał, a że Mikę też miał ładny głos, cała budowa rozbrzmiewała piosenkami.

Codziennie gotowałam dla nich obiad w naszej kuchni. Wypełniali ją całkowicie, a wchodząc do domu, zostawiali po drodze, w przedpokoju i salonie, błotniste ślady. Codzienne mycie wszystkich podłóg nie miało sensu, więc dopiero w sobotę wieczór braliśmy się do ich szorowania. Po południu przynosiłam robotnikom herbatę i kanapki, a czasem piekłam nawet dla nich szarlotkę. Siadali na betonowych blokach i workach z cementem i jedząc omawiali ze mną postępy w budowie. Dom mieścił się w centrum miasteczka, więc sąsiedzi często zaglądali do środka, a i klienci kupujący w sklepie uważali, że mają prawo zajrzeć na budowę i zaofiarować swoje uwagi i dobre rady. Do koszyka, w którym zanosłam robotnikom podwieczorek, wkładałam więc zawsze kilka dodatkowych filiżanek.

Nasi dwaj synkowie mieli doskonałą zabawę, wędrując po budowie i taplając się w błocie. Szczególnie starszy. Robotnicy zbudowali system bloków, aby dostarczać worki z cementem na górę, a on wdrapywał się po drabinie, a potem zjeżdżał w pustym wiadrze. Młodszy synek siedział w swoim krzeselku przymocowanym do jakiegoś bezpiecznego urządzenia; zaczynał dzień czyściutki i różowiutki, a pod wieczór był pokryty kurzem i brudem. Ale znajdował się w samym centrum działalności i był szczęśliwy jak prosiak nurzający się w błocie.

Ja pełniłam rolę kierownika robót. Zamawiałam potrzebne materiały, koordynowałam dostawy. Nauczyłam się sporo o budownictwie, ale o wiele

więcej o dostawcach materiałów budowlanych, a także o dostawcach w ogóle. Nikt nie dostarczał zamówionych materiałów na czas. Wszyscy stale zapewniali: „Przywieziemy jutro”. Ale nie przywozili ani jutro, ani czasem przez wiele następnych dni. Spędzałam długie godziny przy telefonie, dowiadując się, skarżąc, a czasem tracąc panowanie nad sobą. Nauczyłam się, że jeśli się chce czegoś dokonać, trzeba mieć wizję swego celu; moją wizją był pensjonat całkowicie gotowy na przyjęcie gości, gdy zjawią się na początku lata.

Przez cały czas trwania robót mieliśmy głowy pełne cyfr, cen, szczegółów urządzeń oświetleniowych, umywalek, szaf, mebli do kuchni i jadalni. Kieszenie miałam wypchane spisami, a umysł zajęty myślami, jak wykonać wszystkie punkty z naszego planu. Jedliśmy, mając koło talerzy próbki chodników i palety kolorystyczne; kładliśmy je na łóżku, idąc spać. Ja zajmowałam się zestawieniem barw, Gabriel pracował nad instalacją elektryczną. Pomagał zakładać kable w budynku, harował codziennie do późna w nocy, kiedy ja obsługiwałam centralkę telefoniczną na nocnej zmianie. Nad ranem padaliśmy na łóżko wyczerpani. Nie mieliśmy czasu zamartwiać się naszą sytuacją finansową, bynajmniej niewesołą.

Pewnego dnia jeden z dostawców, przyglądając się robotom, powiedział do mnie:

65580 To wszystko musi kosztować majątek.

65581 Istotnie - odparłam.

65582 Albo macie kupę forsy, albo znacie jakiś sekret. Jedno jest równie dobre jak drugie.

Nie objaśniłam mu, że jedyne, co mamy, to przekonanie, że się nam uda.

Że jeżeli zdołamy otworzyć frontowe drzwi dla gości, to zarobimy tyle, żeby spłacić długi i zamknąć usta dyrektorowi banku. Rósł budynek, rosły też długi, ale dzień otwarcia również się zbliżał. Postępowi robót akompaniował głos dyrektora banku. Błogosławiłam soboty i niedziele, kiedy nie mógł do nas dzwonić.

OTWARTE DRZWI

N

areszcie firanki zostały powieszone, dywany rozłożone, jadalnia przygotowana na przyjęcie gości. Moje siostry pośpieszyły mi na ratunek i razem szyłyśmy firanki i sprzątałyśmy po robotnikach. Niektóre sąsiadki wpadały pomóc nam przy szorowaniu i czyszczeniu. Jedna z nich przyszła nie tyle, żeby pomóc, ile żeby wszystko obejrzeć, myszkować w każdym kącie. Zachwycała się najmniejszymi szczegółami, ale wychodząc spotkała we frontowych drzwiach Mike'a i podniósłszy wzrok rzekła: „Te drzwi mają kolor kociego gówna!” Później przez długie miesiące, za każdym razem, kiedy spojrzałam na te drzwi, uśmiechałam się, przypominając sobie, jak owa sąsiadka oceniła moje wyczucie koloru. Drzwi były właściwie żółte jak słońce, ponieważ jednak Gabriel wołał, żeby były nieco ciemniejsze, rozbawiła go uwaga sąsiadki.

Nasza ekipa budowlańców była wyjątkowo szczęśliwie dobrana. Nie bacząc na błoto zawsze byli weseli i koleżeńscy. Ostatniego dnia, kończąc malowanie, Mikę roześmiał się i powiedział do mnie: „Wcale bym się nie

zdziwił, gdyby po przekręceniu kontaktu z żarówek zamiast światła trysnęła woda".

Tego wieczoru obeszałam nasz pensjonat i przyglądałam się wszystkiemu z ogromną satysfakcją. Drzwi z podwójną szybą prowadziły do korytarza, z którego wchodziło

się na lewo do świetlicy dla gości, a na prawo do jadalni. Na końcu korytarza znajdowało się zawsze otwarte biuro z oknem na podwórze i ogród. Obok mieściła się kuchnia z oknami na ulicę. Na pierwszym piętrze było sześć pokoi, a na poddaszu jeszcze dwa. Wszystko było gotowe na przyjęcie gości. Mieliśmy zamiar skończyć przed rozpoczęciem letniego sezonu i tak się też stało. Ale zaciągnęliśmy takie długi, że strach było pomyśleć. Z zadowoleniem łączyła się więc obawa, czy wszystko pójdzie, jak należy. Stałam, rozmyślając o naszej przyszłości, kiedy odezwał się telefon. Dzwoniła pani Matchette, żona miejscowego pastora.

- Chciałam pogratulować tobie i Gabrielowi i życzyć wam powodzenia - powiedziała. - Czuję, że czeka was sukces ponad wszelkie oczekiwania.

Zrobiło mi się lżej na duszy. Oboje państwo Matchette należeli do najbardziej lubianych osób w miasteczku, i kiedy po latach probostwo anglikańskie sprzedano, a kościół powierzono opiece sąsiedniej parafii, miasteczko straciło coś cennego. Pastorowa zadzwoniła w najbardziej odpowiednim momencie, jej słowa podniosły mnie na duchu i nigdy ich nie zapomniałam.

Margaret, która mieszkała po drugiej stronie ulicy, przychodziła mi pomagać w prowadzeniu pensjonatu, a jej siostra objęła centralkę

telefoniczną na poczcie. Musieliśmy wykorzystać każdą możliwość zwiększenia dochodu. Zaczęliśmy wydawać obiady nie tylko gościom hotelowym. Była to ciężka praca, ale przynosiła czasem zabawne chwile. Codziennie przychodził do nas na obiad pewien stary kawaler mieszkający samotnie na farmie na wzgórzu, gdzie zresztą spędzał niewiele czasu, bo wolał życie w knajpie. Pewnego dnia, kiedy Margaret podawała do stołu, zapytał:

65583 To ty gotowałaś?

65584 Tak, ja.

65585 Szukam teraz żony - stwierdził. - Może cię to interesuje? -

Przynajmniej nie robił jej żadnych złudzeń co do powodu oświadczyn.

- Bardzo nam się dobrze razem pracowało. Miewaliśmy napady paniki i śmiechu. Obie nie umiałyśmy piec razowego chleba, więc matka Margaret przychodziła co dzień rano, aby przewracać w piecu rzędy brązowych bochenków o chrupiącej skórce. Margaret pracowała już przedtem w hotelu, a ja starałam się wykorzystać całą wiedzę z dziedziny gospodarstwa domowego, jakiej nauczyły mnie zakonnice w Drishane. Wieczorem kładłyśmy się do łóżek śmiertelnie zmęczone, jeśli w ogóle było łóżko, do którego można się było położyć. Sypiałyśmy w pensjonacie, na wypadek gdyby któryś z gości życzył sobie czegoś w nocy. Zajmowałyśmy pokój, który akurat był wolny, ale często się zdarzało, że wszystkie były zajęte i wtedy spałyśmy na kanapach w świetlicy.

Najczęściej gościliśmy Anglików, przyjeżdżali też Francuzi i Niemcy, trafiali się Amerykanie. Wiedzieliśmy o hotelarstwie tyle co nic, ale braki w wiedzy nadrabialiśmy poświęceniem i entuzjazmem. Tak się cieszyliśmy

na widok zajeżdżających do nas gości, że traktowaliśmy wszystkich jak członków rodziny królewskiej. Zależało mi, żeby mieli udane wakacje, więc czułam się niemal odpowiedzialna również za pogodę. Staraliśmy się spełniać wszystkie ich życzenia. Rozmawialiśmy z nimi do późnej nocy, proponowaliśmy im trasy wycieczkowe, szykowaliśmy sprzęt rybacki, kopaliśmy z nimi w ogrodzie robaki na przynętę.

Pewnego ranka przystojny Niemiec wyjął z bagażnika samochodowego jakiś dziwnie wyglądający przyrząd i wbił go w nasz trawnik. Natychmiast wypęzło na powierzchnię mnóstwo robaków. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby w ten sposób wyganiać robaki z ziemi, więc gorąco zaprotestowałam, bo nawet tym stworzeniom należy się jakaś szansa.

Pierwszy raz w życiu zetknęłam się z angielskim zwyczajem picia herbaty o świcie. Nie mogłam pojąć, jak można się budzić o tak wczesnej godzinie, aby wypić filiżankę herbaty, kiedy do śniadania zostawała jeszcze przynajmniej godzina. Ja zawsze wstawałam tak zmęczona, że wychodziłam z łóżka z zamkniętymi oczami. Któregoś dnia rozmawiałam na ten temat z czarującym angielskim dżentelmenem, który powiedział melodyjnym głosem: „Jest to jeden z naszych bardziej cywilizowanych zwyczajów”. Powstrzymałam się od uwagi, że moim zdaniem jest to zwyczaj barbarzyński. Ale poranna herbata dostarczała nam i zabawnych momentów. Pewien figlarny starszy pan udawał, że śpi, kiedy któraś z nas przynosiła mu tackę z herbatą, a potem nagle próbował wciągnąć nas do łóżka. Nauczyliśmy się oceniać naszych gości na oko i z góry odgadywać, jakie możemy mieć z nimi problemy. Mnie szczególnie interesowali goście, którzy zamówili pokoje już w styczniu i lutym, zachęcając nas w ten sposób do działania. Nie wiedzieli, że zamawiają

pokoje, które jeszcze nie istniały. Wielu gości jeździło do Kinsale łowić ryby na otwartym morzu. Przywozili stamtąd niekiedy okazy o niesamowitym wyglądzie. Kiedyś olbrzymi brzydki dorsz z wielkim rozwartym pyskiem przez cały wieczór szklistym okiem wyglądał z kosza na bieliznę w rogu kuchni, podczas gdy jego właściciel co chwila tam pielgrzymował, aby go podziwiać i upewnić się, że rzeczywiście go złowił. Pewne małżeństwo w średnim wieku przyjechało na jedną noc, a zostało cały tydzień. On w pięknie skrojonym twee-dowym ubraniu prezentował się bardzo elegancko. Miał ze sobą błyszczący nowością sprzęt rybacki. Codziennie szedł nad rzekę próbować szczęścia, podczas gdy żona czytała sobie w ogrodzie. Ostatniego dnia nareszcie złowił pstrąga. Wpadł w nieopisany zachwyty. Pstrąg był maleńki, ale naszemu gościowi wydawał się wielki jak wieloryb. Wieczorem jego cierpliwa małżonka przyniosła rybę do kuchni. Trzymając ją w dwóch uniesionych do góry palcach, oświadczyła z pogardą: „Niech pani tylko na to popatrzy. Jeśli obliczyć koszt całego sprzętu, który mój mąż uznał za konieczne kupić, aby pojechać na wakacje, to ta oto szprotka kosztuje nas ni mniej, ni więcej, tylko pięćset funtów. Trzymam w ręku najdroższego pstrąga w historii rybołówstwa”. Wieczorem poda-

łam na kolację pstrąga wartości pięćset funtów. Wszyscy zebrali się wokół stołu, żeby podziwiać to чудо. Pan zjadł swojego pstrąga z wyrazem rozkoszy na twarzy; widać było, że dzięki tej rybie wakacje uznał za udane.

Niektórzy goście zadowalali się spacerami w pobliskich lasach albo łowieniem ryb w rzece, inni traktowali Innishannon jako bazę wypadową dla wycieczek do hrabstw West Cork i Kerry. Wracali

późnym wieczorem zachwyceni pustymi drogami i otwartością miejscowych ludzi, zawsze gotowych poświęcić swój czas, by nawiązać rozmowę.

Mieliśmy więc osiem pokoiów gościnnych, z których dwa, te na poddaszu, miały obniżony sufit. Pewnego dnia, kiedy wprowadziłam tam niskiego, szybko mówiącego mężczyznę, spojrzał na sufit i spytał: „Czy nie należy mi się zniżka, moja droga, za brak miejsca na głowę?”

W sześciu pokojach na pierwszym piętrze stały łóżka

I

podwójne. W razie potrzeby rozsuwaliśmy je i ślaliśmy osobno. Wiele razy taszczyliśmy łóżka w dół i w górę po schodach i korytarzami; nauczyliśmy się zręcznie omijać zakręty. Gdy para w młodym wieku zamówiła pokój z dwoma łózkami, wiedzieliśmy, że nie łączy ich namiętne uczucie. Co innego pary spędzające u nas miodowy miesiąc. Gdy przez niedopatrzenie młodzi małżonkowie dostali pokój z mocno skrzypiącym łóżkiem, na drugi dzień bardzo poważnie prosili mnie o inne.

Przez dwa tygodnie gościło u nas dwóch nieco ekscentrycznych panów. Jeden z nich nosił przewieszoną przez ramię czarną torbę ze zdumiewającym asortymentem gratów, które nakupił w sklepach ze starociami. Kiedy wieczorem wносиłam do świetlicy wielki czajnik z herbatą, ów pan zabierał go ode mnie i oznajmiał uroczyście: „Pozwolisz, kochanie, że to ja będę nalewał w charakterze mamusi”. Potem szedł do kuchni i nalegał, że będzie zmywał. Żałowaliśmy, kiedy odjeżdżali, bo przypadli nam do serca.

Oprócz noclegu i śniadania goście mieli u nas gorącą kolację i drugie

śniadanie w postaci suchego prowiantu.

Dzień zaczynał się od porannej herbaty około wpół do ósmej, a kończył późną kolacją w świetlicy, gdzie wszyscy się zbierali, aby sobie opowiedzieć, co robili przez cały dzień, i wymienić wrażenia. Rozmawiali, jak długo chcieli, i często kładliśmy się spać dopiero nad ranem. Bieliznę hotelową praliśmy sami. Długie godziny zajmowało nam prasowanie, tylko krótko wyręczała nas w tym pewna przemiła Angielka. Zakochała się w Innishannon i została u nas sześć tygodni. Przyjechały z nią dwie wnuczki, nastolatki, które włączyły się całkowicie w życie naszego miasteczka. Obdarzyły je, a zwłaszcza dwóch miejscowych chłopców, tak gorącym uczuciem, że kiedy nadeszła chwila powrotu do domu, przepłakały cały ranek. Ja i Margaret płakałyśmy również, żegnając się z nimi. Tonąc we łzach, pani Wigmore powiedziała: „Ależ moja droga Alicjo, nie powinnaś płakać z powodu wyjazdu gości”. Jednakże była więcej niż gościem. Przyjeżdżała później każdego lata, przywożąc po kolei wszystkich członków rodziny, dzieci i wnuki. Jeden z dużych domów za miasteczkiem należał kiedyś, zanim przed laty przeszedł w inne ręce, do jej przodków, więc w pewnym sensie pani Wigmore wracała tu do swoich korzeni.

Owego pierwszego lata przekonaliśmy się, że turystyka się rozwija i że nawet w małym miasteczku jest potrzebny spory pensjonat. Wiele razy musieliśmy odsyłać gości z niczym, bo wszystkie pokoje były zajęte. Zezwolenie na budowę od Bord Failte otrzymaliśmy w miesiąc po przyjęciu pierwszych gości.

Nasz pensjonat żywo interesował mieszkańców Innishannon. Pewnego dnia, kiedy stałam we frontowych drzwiach, gadając o tym i owym ze

znajomym staruszkiem, przeszła obok nas młoda dziewczyna w króciutkich szortach. Staruszek wodził za nią oczami.

- Przy takiej tobym odmłodniał o całe lata - powiedział z uśmiechem.

Inaczej zapatrywała się na te sprawy Lizzy May.

- Od czasu, kiedy otworzyliście ten swój hotel, nigdy nie wiadomo, kogo się spotka na ulicy - powiedziała mi kiedyś.

Ale nie tylko pensjonat przyczyniał się do zmian w miasteczku. Pojawiła się telewizja, która natychmiast poszerzyła nasze horyzonty. Powracali też emigranci z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych, przywożąc ze sobą inne myślenie, inny sposób życia.

Mieszkańcy zaczęli częściej wyjeżdżać na wakacje za granicę, a po powrocie porównywali życie tam i tu i oceniali różne nowinki. Wszystko to sprzyjało krytycznemu spojrzeniu na siebie samych i musiało doprowadzić do jeszcze innych zmian w miasteczku.

W MĘSKIM GRONIE

M

ężczyźni znajdowali w pubach ucieczkę od pracy, trosk życiowych i od kobiet. Siadali dokoła kominka na beczkach po porterze i długich, drewnianych ławach, od czasu do czasu spluwając na odległość wprost na rozżarzone grudy torfu. Kłęby dymu z papierosów Woodbine i z fajkowego tytoniu unosiły się w górę i wtapiały się w przyćmione, pełne żółtych kłębów wnętrze, nadając mu coraz ciemniejszy odcień.

W pubach kupowano i sprzedawano ziemię, swatano małżeństwa. Stetryczali kawalerowie szukali pociechy w towarzystwie żonatych kolegów, mając nadzieję, że może zmienią swój stan cywilny, jeśli któryś z kompanów ma córkę lub siostrę na wydaniu. Tutaj dogadywano się w sprawie wynajmu robotników rolnych, tutaj po zawziętych targach psy i konie przechodziły z rąk do rąk. Czasami ktoś, kto uważał się za bardziej oświeconego niż inni, czytał na głos gazetę, chcąc doinformować resztę, jednak w miarę, jak się zbliżał wieczór, szło mu to coraz trudniej, bo w pubie robiło się coraz weselej. Przypominano sobie dawno zapomniane wiersze szkolne i deklamowano je na głos. Skandowanie takich wierszy jak *Niebezpieczny Dan McGrew* lub *Zielone oko żółtego bożka* witano ogólnym aplauzem. Śpiewacy siadali na kontuarze, aby zapanować nad publicznością, i intonowali żałobne wersje pieśni *Matka Machree*, a słuchaczom

z i tak już zaczerwienionych oczu leciały łzy. Podkute buty waliły w kamienną podłogę do taktu wykonywanych w rytmie marsza wojskowych piosenek: *O'Donnell Abu* czy *Kelly, chłopiec z Killane*.

Wędrowni rycerze szos snuli przy kominku opowieści o swoich przygodach, a czasami grali na rozstrojonych skrzypcach wzruszające melodie. Zdarzały się wieczory, kiedy przy złej pogodzie, a dobrym humorze właściciela pubu, znużeni wędrowcy mogli przenocować przy kominku - ale tylko ci, którzy cieszyli się dobrą opinią i obiecali, że będą się przyzwoicie zachowywać. Tacy mogli też zamawiać trunki „na rachunek”, ale jeśli przez dłuższy czas nie regulowali należności, więcej kredytu nie otrzymywali.

W cichym kącie grano ze śmiertelną powagą w karty. Niekiedy dochodziło do sporów, które rozstrzygano walką na pięści między ławami albo na ulicy, zawsze przy zagrzewających okrzykach zwolenników obu walczących stron. Oficjalnie po niedzielnej Mszy świętej puby były zamknięte, ale nie stanowiło to przeszkody dla stałych bywalców, którzy dostawali się do środka, zawiadomiwszy specjalnym pukaniem właściciela, że pod drzwiami czeka spragniony klient.

Stałym gościem w pubie był Andy, który żył nie wiadomo z czego. W każdej sytuacji dzielił radość z wygrywającymi i smutek z przegrywającymi. Pragnienie miał ogromne; nauczył się je zaspokajać, zdobywając potrzebne środki każdym dostępnym sposobem. Pewnego wieczoru wsiadłam do autobusu w Cork. Obok mnie usiadł Batt, zamożny konserwatysta z miasteczka, całkowity abstynent. W ostatniej chwili do autobusu wpadł Andy i zdyszany zawołał do Batta:

65586Nie mam pieniędzy na bilet!

65587Na trunek bym ci nie dał - rzekł Batt, sięgając do kieszeni, ale na bilet autobusowy, to co innego.

65588Dziękuję ci, stary! -krzyknął Andy i jak tylko poczuł pieniądze w ręku, wyskoczył z autobusu.

Batt uśmiechnął się do mnie krzywo.

- Zdawałoby się, że po tylu latach doświadczenia nie powinienem dać się nabierać na takie sztuczki - powiedział.

W drodze do domu mówiliśmy o Andym.

- Chodziłem z nim do szkoły - opowiadał Batt. - Andy umiał zawsze wyjść cało z każdej opresji. Pamiętam, któregoś dnia staliśmy rzędem, a nauczyciel wymierzał nam po kolei „łapy”. Kiedy przyszła kolej na Andy'ego, ktoś zapukał do drzwi. Nauczyciel odszedł, a kiedy wrócił, Andy machał rękami, rozcierał je sobie i dmuchał, pokazując, jak go boli. Miał przy tym wyraz twarzy męczennika. Nauczyciel uznał, że Andy dostał już swoją porcję, i zajął się następnym uczniem.

Batt uśmiechał się na to wspomnienie. Zrozumiałam, że nie ma pretensji do Andy'ego za jego podstęp. Przypuszczalnie w ciągu lat zebrało się niemało takich zdarzeń.

Kiedy Andy był doprowadzony do ostateczności, brał się do każdej pracy, jaka mu się nawinęła. Raz dostał zajęcie od Jacky'ego: miał zbierać od farmerów pisemne zamówienia. Kiedyś farmer dopisał do swojej listy: „pięć szylingów gotówką dla Andy'ego”. Jacky wypłacił mu pieniądze. Następnego tygodnia w drodze po zamówienia Andy wstąpił do Jima i

poprosił o pióro. Była to prośba tak niezwykła w jego ustach, że Jim zapytał, po co mu pióro. „Nie twój interes” - odparł Andy. Kiedy pod koniec miesiąca farmer przyjechał uregulować rachunki, stwierdził, że na końcu każdej listy było dopisane: „Gotówka dla Andy'ego”. Jacky naiwnie za każdym razem mu wypłacał.

Pomysły Andy'ego świadczyły o niewyczerpanej wyobraźni. Jego siostra, mieszkająca w Ameryce, umówiła się z przedsiębiorcą pogrzebowym, który był jednocześnie właścicielem pubu w miasteczku, że w razie śmierci starego ojca, ona pokryje koszty pogrzebu. Któregoś dnia Andy wpadł do pubu i oznajmił, że ojciec nie żyje. Okazano mu współczucie, poczęstowano kilkoma kieliszkami na pocieszenie i obdarowano sporym zapasem alkoholu na stypę. Tego samego wieczoru, wychodząc z pubu, aby zorganizować pogrzeb, właściciel spotkał staruszkę w dobrym zdrowiu na ulicy.

Czasami Andy próbował naprawić swoje winy, proponując, że będzie pomagał w domu lub w obejściu, ale jego dobre chęci rzadko dawały dobre wyniki. Pewnego razu pomagał Jeremiaszowi wstawiać kurek do beczułki, ale uderzał młotkiem ciągle nie tam, gdzie trzeba. Jeremiasz zniecierpliwiał się, położył kciuk na właściwym miejscu i zawołał ze złością: „Tu wal, bałwanie jeden”. Nim zdążył cofnąć palec, Andy walnął młotkiem prosto w jego paznokiec.

W tym, że właściciel pubu zajmuje się także innymi sprawami, nie było nic dziwnego. Mógł być przedsiębiorcą pogrzebowym, handlować towarami żelaznymi itp. W jednym z miejscowych pubów kupowało się wyroby jubilerskie; taca z obrączkami i pierścionkami zaręczynowymi stała na widoku, co miało stanowić zachętę do wstępowania w stan

małżeński. Pewna starsza pani pokazała mi kiedyś swoją obrączkę i pierścionek zaręczynowy, które sama sobie kupiła przed wieloma laty. Pierścionek zaręczynowy kosztował funta, a obrączka dziesięć szylingów.

- Sama je sobie kupiłam - powiedziała - bo jemu, gdy siedział w pubie, ręce zawsze wyciągały się po co innego. A przysłużyły się nam nie gorzej, niż gdyby kosztowały majątek.

Na ogół mało która kobieta wstępowała do pubu. Tylko te, które wiek osłaniał nieprzepuszczalnym płaszczem powszechnego poważania, mogły przestąpić jego próg. Zbierały się w oddzielnym, prywatnym pomieszczeniu, wachając tabakę albo plotkując nad szklaneczką portwajnu lub whiskey. Nigdy się nie przyznawały, że chodzą do pubu, czyniły to bardzo dyskretnie. Pewnego sobotniego wieczoru Madge przyszła do sklepu Jacky'ego, odwiedziwszy najpierw pobliski pub. Była już pod dobrą datą i robiąc zakupy zapomniała, że pod szalem trzyma butelkę porteru, którą kupiła na zapas. Butelka wyslizgnęła się jej z rąk i stłukła, a na podłodze utworzyła

się czarna, wolno wsiąkająca w szpary między kamieniami kałuża z białą pianą po brzegach. Przez ułamek sekundy panowała niezręczna cisza. Wreszcie sąsiad Madge, któremu jej zakłopotanie sprawiło satysfakcję, schylił się, podniósł korek i wręczył go oniemiałej kobiecie mówiąc: „Weź ten korek, Madge, może choć zapach ci wystarczy”.

Większość pubów miała oddzielne pomieszczenia, w których mogły się spotykać grupki przyjaciół. Uprzejmy właściciel dla lepszych gości otwierał nawet kuchnię, mogli tam niekiedy zasiąść do posiłku wraz z jego rodziną. W jednym z pubów, zanim napłynęli stali bywalcy, rodzina właściciela odmawiała co wieczór różaniec. Klękali dookoła kuchni przy

otwartych drzwiach, a dzieci z miasteczka zbierały się przed domem, aby się przysłuchiwać. Nie powodował nimi bynajmniej zapach religijny. Dziadek, senior rodziny, odmawiał różaniec gromkim, dudniącym głosem, wtrącając do modlitwy zdania, które nie figurują w kościelnej liturgii: „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...Saro, ktoś przyszedł do pubu... Pan z Tobą... Tommy, wyprostuj się... Błogosławionaś Ty między niewiastami.... Bridie, przestań gadać... I błogosławiony owoc żywota Twego... Jak się mam modlić, skoro wszyscy mi przeszkadzają ... Jezus”.

Mężczyźni z miasteczka co wieczór zbierali się na jednym z rogów przy głównej ulicy, a „po krowach” przyłączali się do nich także farmerzy. Kiedy robiło się chłodno, szli do pubu, aby tam ciągnąć dalej rozpoczętą dyskusję. Nie musieli iść daleko, bo wszystkie puby były o krok od siebie.

Z upływem czasu znikły zamknięte pomieszczenia, wyprzątnięto ciemne, zadymione kąty, a stare puby zmieniły się w czyste, pachnące świeżością, jasno oświetlone sale barowe z chodnikami na podłodze. W takich miejscach mężczyźni palący fajki i rozsiewający naturalne zapachy farmy, a także żywiołowi młodzi ludzie szukający rozrywki, musieli zachowywać się przyzwoicie. Przychodziły tu teraz młode pary i samotne kobiety. Zasiadały na wyściełanych miękkich taboretach przy stołach z drzewa tekowego, kufle pełne piwa stawiały na podstawkach, w które wsiąkały krople napoju, nie plamiąc blatu. Zamiast ubikacji na zewnątrz, w których dyndały żelazne łańcuszki, były teraz toalety dla pań i dla panów obok sali jadalnej i baru. Nowej klienteli przygrywali płatni muzykanci, a ludzie, idąc do pubu, zaczęli się nawet ubierać odświętnie.

Andy, który w swoim życiu podpierał niejedną bar, skarżył się u nas w sklepie: „Nie mogę umieścić wygodnie tyłka na tych przeklętych

malutkich stołkach. Jestem przyzwyczajony do beczek po porterze. I kłać tam teraz nie można, i pluć nie wolno. A jeśli nawet to jest zabronione, to co nam zostało w życiu?"

Ale nawet przy największych zmianach zawsze zostaje coś, co jest takie jak dawniej. W naszym miasteczku był to pub należący do Kate, pulchnej niewiasty o okrągłej twarzy. W jej pubie atmosfera i podłoga były zawsze czyste, bo nikt tam nie ośmielił się zakłać czy splunąć. Nie było u Kate chodnika na kamiennej podłodze, a kojącego nastroju nie zakłócało zbyt jaskrawe oświetlenie. Kto chciał sobie spokojnie wychylić drinka, szedł do Kate, gdzie nikomu nie pozwalano popadać w nadmierną wesołość, bo właścicielka bacznie uważała, aby goście nie nadużywali trunków. Zbierały się u niej nastolatki, które zachowywały się nieskazitelnie, bo Kate zarządzała swoim pubem jak zakrystią. O szóstej wieczorem piła herbatę, a potem nastawiała budzik, żeby wiedzieć, kiedy zamknąć lokal. Kiedy rozległ się głos dzwonka, nie było mowy o wychyleniu „strzemiennego”, cała klientela spokojnie i posłusznie opuszczała lokal.

Wnętrza pubów w miasteczku zmieniły się, ale ich właściciele pozostali tacy sami. Nadal traktowali swoich klientów szczerze i życzliwie, często na przykład po zamknięciu odwozili jakiegoś staruszka do domu. Niektórzy starsi ludzie mieszkali samotnie w ciężkich warunkach, pub był dla nich miejscem, gdzie mogli się rozgrzać i odpocząć. Jednym z tych, którym pub dostarczał ciepłego schronienia, był Jim, mieszkający w pobliskiej oborze.

OBORA

W

Innishannon były trzy farmy, których pastwiska leżały poza miasteczkiem, trzeba więc było dwa razy dziennie przyprowadzać krowy do dojenia. Lubiłam patrzeć, jak kroczą powoli przez miasteczko, ale kiedy na drogach wzmógł się ruch samochodowy, farmerzy zbudowali obory na pastwiskach, albo też sprzedawali bydło, w każdym razie obory w miasteczku znalazły inne zastosowanie. W jednej z nich zamieszkał pewien starszy człowiek, który przez całe życie miał się najrozmaitszych zajęć, ale nie miał własnego dachu nad głową. Obora była niewielkim kamiennym budynkiem. Miała podłogę z kamieni brukowych, dach i drzwi z żelaza. Stały tam tylko łóżko i stół, brakowało kanalizacji i elektryczności.

Mimo że żył w trudnych warunkach, Jim był zawsze w dobrym humorze, a codzienny tryb życia zorganizował sobie bardzo wygodnie. Wstawał bardzo późno i szedł do zaprzyjaźnionej sąsiadki na tej samej ulicy, gdzie zjadał obiad. Sąsiadka dawała mu też dwie butle herbaty i dwie paczki kanapek; jedną Jim miał zjeść na kolację, drugą następnego dnia na śniadanie. Po obiedzie szedł do pubu, gdzie zostawał aż do zamknięcia, rozkoszując się towarzystwem i kuflami piwa.

Wieczorami i w niedzielę po Mszy świętej mężczyźni spotykali się przeważnie na jednym z rogów ulic. Stali rzędem, opierając się o ścianę, i rozmawiali, zwracając

głowę na boki do sąsiadów. Mogli tak spędzać całe godziny, nie zmieniając pozycji, a ja się zastanawiałam, czy cały szereg prowadzi tę samą rozmowę, czy też w jakimś punkcie zaczyna się inny temat. To byli nasi filozofowie; obserwowali i komentowali życie, stanowiąc dla miasteczka źródło informacji. Jim stał zawsze pośrodku; jeśli chciałeś wiedzieć, czy autobus już przyjechał, o której będzie czyjś pogrzeb albo jaki jest wynik meczu, jeśli w ogóle chciałeś o cokolwiek zapytać, mogłeś być pewien, że Jim będzie wiedział.

Krępy, niskiego wzrostu, nosił długie, gabardynowe palto, które objęło mu się o pięty. Przeważnie nie sznurował dużych, ciężkich butów, więc wydawało się, że zaraz je zrzuci. Sznurowadła wlokły się po ziemi, podkowki stukały o trotuar. Jim lekko utykał, chodził więc z laską, która również stukała. Niezależnie od pogody zawsze miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, a na głowie czapkę, starą przyjaciółkę, spod której wyglądały siwe, kręcone włosy. Na zawsze czysto wymytej twarzy gościł uśmiech. Jim był sympatyczny, jowialny, lubił pożartować i posłuchać, co inni opowiadają.

Chociaż nigdy się nie skarżył, wszyscy w miasteczku zgodnie uznawali, że mieszka w okropnych warunkach. Kiedy nastąpiła surowa, mroźna zima i śnieg pokrył ziemię, postanowiono, że powinien przenieść się do domu starców w Cork, gdzie będzie mu ciepło i wygodnie. Jim, zachwycony tym pomysłem, zebrał do kupy parę swoich gratów, a miejscowy wikary, ojciec Mick, dał mu pieniądze na niezbędne zakupy. Jim poprosił, żebym mu kupiła między innymi nową bieliznę. Pojechałam do Bandon. W dziale tekstylnym Jimmy Desmond, stary przyjaciel Jima i Jacky'ego, kładł wybrane przeze mnie rzeczy na ladzie. Rozmawialiśmy o tym i o owym,

jak to dobrze, że Jim znajdzie wreszcie schronienie przed zimnem. Sprzedawca rozłożył parę długich kalesonów.

- To są bardzo ciepłe kalesony - powiedział. - Jim zawsze takie nosi. Czysta wełna.

65589A po co mają kieszeń z przodu? - zapytałam z roztargnieniem.

Jimmy wybuchnął śmiechem.

65590Zapytaj Jima.

Kiedy pakowałam jego walizkę, opowiedziałam mu, jakie pytanie wyrwało mi się w sklepie. Okropnie się śmiał.

Ojciec Mick zawiózł go do domu starców i wszyscy się cieszyli, że jest już urządzony.

W niedzielę pojechałam odwiedzić Jima. Pchnęłam ciężkie, dębowe drzwi wejściowe i owionął mnie rozkoszny zapach pasty do podłogi. Zapytałam, gdzie jest Jim. Skierowano mnie do pokoju na pierwszym piętrze. Weszłam po sfatygowanych schodach, z przyjemnością rozglądając się dokoła i myśląc sobie, jak tu wygodnie i ciepło w porównaniu z zimną kamienną oborą, w której Jim mieszkał do tej pory. Wskazano mi przestronny pokój, podzielony zasłonami o barwnym, kwiecistym deseniu na cztery części. W każdej przegrodzie było łóżko, komódka, krzesło umywalka i szafa. Ale jasny i wesoły pokój był pusty, więc wyszłam szukać Jima. Zobaczyłam go za zakrętem korytarza. Stał, wyglądając przez okno.

- Dzień dobry, Jim! - zawołałam. - Jak się miewasz?

Odwrócił się w moją stronę. Nie wierzyłam własnym oczom. Spojrzenie miał przygaszone, z wesołej miny i zadowolenia nie zostało śladu, w twarzy zgasło całe światło. Jak gdyby ktoś ugasił

płomień, który zawsze w nim płonął.

Ucieszył się na mój widok. Rozmawialiśmy o miasteczku i przyjaciółach, tylko to go interesowało. Ciałem był tu, w domu starców, ale umysłem i sercem pozostał w miasteczku. Nie skarżył się, nie narzekał na samotność, ale oczy mówiły, co czuje. Całe życie spędził w miasteczku, znał tam wszystkich, zawsze był otoczony przyjaciółmi i sąsiadami, których interesowało to samo co jego. Tu był oderwany od wszystkiego, co bliskie, i tęsknił do znanych miejsc, do starych przyjaciół.

Wkrótce zmarł, ale tak naprawdę coś w nim umarło, już kiedy opuścił oborę. Na pogrzebie ojciec Mick powiedział mi: „Jim był jak stare drzewo, za późno było go przesadzać. Wyrwaliśmy mu korzenie”.

BOŻY CZŁOWIEK W MIASTECZKU

K

sięza kojarzyli mi się zawsze z figurami ustawionymi wysoko na ołtarzu. Wygłaszali kazania mające mało wspólnego z życiem codziennym i udzielali rozgrzeszenia w mrocznych, pachnących stęchlizną konfesjonałach. Ale ojciec Mick był zupełnie inny. Zjednał sobie naszą sympatię, miał dużo zrozumienia dla słabości ludzkiej natury i zręczność polityka.

Kiedy sala parafialna zaczęła nam się walić na głowy, postanowiliśmy zbudować nową. W latach sześćdziesiątych duże zespoły orkiestrowe ściągały tłumy do sal tanecznych po całym kraju, ale w naszej starej sali przygrywali bezpłatnie na pianinie i na akordeonie dwaj miejscowi grajkowie. Jeden z nich grywał także na organach w kościele, więc tańczące pary kręciły się niekiedy w walcu na melodię *Witaj Królowo Niebios*, bo roztrzepany grajek zapomniał, że nie jest w kościele.

Fundusze parafialne były jednak skąpe, więc ojciec Mick postanowił, że sala zostanie zbudowana siłami ochotników, i zabrał się do ich organizowania. Tajemnica powodzenia jego taktyki, którą stosował także co roku przy porządkowaniu cmentarza, polegała na tym, że nie szczędził pochwał i każdemu ciągle mówił, jaki jest wspaniały. Co niedziela stawał przed ołtarzem i odczytywał listę osób, przeważnie miejscowych farmerów, których pomocy potrzebował w następnym tygodniu.

Wywoływał nie tylko ich nazwiska, ale i wymieniał sprzęt, który mają zabrać ze sobą. Wołał na przykład: „Czy może Bill Finn przyjechać na swoim traktorze, Batty Lynch przynieść szpadel, a Tom Lynch przyprowadzić taczki?!”

I tak co tydzień wzywał na pomoc farmerów z kolejnych wiosek parafii. Stanowiło to dodatkową zachętę dla wiernych chodzących do kościoła, a nasi goście byli niekiedy po prostu zafascynowani tymi nieoczekiwanymi uzupełnieniami niedzielnej Mszy świętej. Jeśli ktoś z wywołanych się nie stawił, ksiądz wzywał go ponownie następnej niedzieli, snując w łagodnej formie domysły na temat przyczyny jego nieobecności i wyrażając nadzieję, że wszelkie przeszkody już znikły.

Kierownictwo akcji objęli Jerry i Davey. Każdy mężczyzna z parafii

pracował po kilka dni, a ludzie z doświadczeniem budowlanym albo posiadający pożyteczny fach mieli udzielać dodatkowej pomocy. Ojciec Mick organizował dla nich posiłki w naszej kuchni i brał ich co wieczór do pubu na drinka. Czasami korzystał z naszego telefonu, aby zamówić materiały na budowę, a kiedy nie dostarczono ich na czas, wykrzykiwał przez telefon soczyste przekleństwa pod adresem dostawców. Współczułam mu z całego serca, bo pamiętałam jeszcze własne niedawne doświadczenia.

Powoli sala nabierała kształtu. Jej wykończeniem zajęły się kółka amatorskie w parafii; kółko teatralne wzięło na siebie urządzenie sceny i zebrało fundusze na wspaniałą kurtynę z czerwonego aksamitu. Premiera stała się wielkim wydarzeniem. Nie obeszło się oczywiście bez zwykłych parafialnych kłótni, ale ogólnie rzecz biorąc dominowało poczucie dumy z dobrze wykonanej roboty. Wieczorem w dniu spektaklu stanęłam przy drzwiach naszej nowej sali, która robiła na mnie ogromne wrażenie. Drewniana posadzka nawoskowana do żółtawego połysku, lśniące kremowe ściany kontrastowały z czerwoną kurtyną. Światła były łagodnie przytłumione, czuło się miły zapach świeżo wykonanej stolarki. Mogliśmy naprawdę cieszyć się wspaniałym sukcesem całej parafii.

Stanął przy mnie znajomy farmer i wspólnie podziwialiśmy salę.

- Piękna, prawda? - powiedziałam, dając mu możliwość wyrażenia własnego zachwyty. - Jak myślisz, Jack?

Wciągnął głęboko oddech, zanim się odezwał.

- Wiesz co, uważam, że sala jest za mała, scena za duża, a okna za wysoko.

Wpakował ręce do kieszeni i poszedł. Ech, Mick - pomyślałam - nigdy

nie można ci było zarzucić, że płyniesz z prądem.

Ojciec Mick był zachwycony nową salą. I słusznie, chociaż okres jej dzieciństwa nie minął całkiem bezproblemowo. Pewna dystyngowana samotna pani, mieszkająca w pobliżu, przychodziła do księdza regularnie, aby się poskarżyć na młodą parę, która po tańcach czuliła się pod jej drzwiami. Wreszcie zniecierpliwiony ksiądz spróbował obudzić w niej wspomnienia młodości: „Na litość boską, Mary, nigdy ci się nie zdarzyło, żeby ktoś przyciskał cię z miłości do drzwi?” Bardzo urażona, poskarżyła się na niego proboszczowi.

Wikary przychodził do nowej sali na każdy wieczór tańców, znał dzieje każdego romansu, czasem nie wahał się nawet popchnąć ociągającego się młodzieńca, jeśli zaloty toczyły się zbyt ospale. Pewnego razu jednak sprawy posuwały się naprzód szybciej, niż oczekiwał, chociaż nie był całkiem pewien, w jakim są stadium. Pewna para w dojrzałym wieku zamieszkała razem za miasteczkiem. Nie było zupełnie jasne, czy zrobili to ze względów finansowych, czy też z jakichś innych. Ojciec Mick też nie wiedział, ale chcąc, jak to nazwał, „uporządkować sprawy”, udał się do Dicka i zapytał go w sposób możliwie taktowny:

65591 Czy ty i Kitty macie zamiar wybrać się do mnie?

65592 Wie ojciec, właśnie wczoraj w nocy rozmawialiśmy o tym w łóżku
- powiedział Dick.

Sytuacja się wyjaśniła, ale ojciec Mick nie zdołał skłonić owej pary do „uporządkowania swoich spraw”. Kitty utrzymywała, że Dick jest w łóżku całkowicie

nieszkodliwy, więc ich stosunki nie wymagają ceremonii zaślubin. Sypia z nim tylko dlatego, że ją grzeje w plecy.

Ksiądz odwiedzał regularnie każde domostwo w parafii, znał więc wszystkich. Jednym z jego przyjaciół był starszy człowiek mieszkający na wsi, który ożenił się w późnym wieku. Jego także niezbyt młoda małżonka, z powodów znanych tylko jej samej, uznała, że mąż jest ciężko chory, i wkrótce po ślubie wpakowała go do łóżka, nie pozwalając wstawać. Traktowała go jak ulubioną papugę: przynosiła posiłki na tacy i rozpaliała duży ogień na kominku w sypialni, żeby mu było ciepło. Pewnego dnia wydało się jej, że mąż umiera, wezwała więc księdza, aby mu udzielił ostatniego namaszczenia. Kiedy ojciec Mick odsunął pościel w nogach łóżka, aby móc namaścić stopy starszego pana, rzucił się na niego terier, który tam spał w najlepsze. W żaden sposób nie chciał opuścić swego posterunku, aż rzekomo umierający Johnny chwycił go za kark i wyrzucił przez okno.

Ojciec Mick odwiedzał również dwóch braci, starych kawalerów mieszkających na odległej farmie, którzy często mieli kłopoty ze szczurami. Rozwiązywali te problemy za pomocą żelaznych pułapek zwanych „łamaczami karku”, które z głośnym trzaskiem gruchotały kości ofiar. Pewnego razu ksiądz Mick słuchał spowiedzi jednego z braci, który źle się czuł i leżał w łóżku na piętze. W czasie spowiedzi skruszony grzesznik usłyszał głośny trzask i natychmiast przerwał wyznanie win, wołając na dół do brata: „Dan, mamy sukinsyna”! Potem spowiadał się dalej. Nawet w kościele spowiedź przybierała czasem niezwykle obrót. Kiedyś po wyznaniu wszystkich grzechów pewien stary parafianin dodał: „Ojczy, przyniosłem ojcu rzepe”. Wstał z klęczek, otworzył drzwiczki konfesjonału i położył księdzu Mickowi wielką fioletową rzepe na kolanach. Czarne błoto lało się z niej na księżą sutannę.

Refren popularnej w owych czasach piosenki brzmiał: „Tak długo trwa, nim się powie: żegnaj, pożegnanie trwa tak długo”. Zawsze mi się wydawało, że autor napisał te słowa z myślą o księdzu Micku. Od chwili, kiedy skończył wizytę i podniósł się z krzesła, do momentu, kiedy zamykał za sobą drzwi, upływało co najmniej pół godziny. Najpierw stał, bo właśnie przypomniało mu się coś, o czym ci jeszcze nie powiedział, potem robił kilka kroków i znowu mu się coś przypomniało, po paru dalszych krokach nasuwało mu się coś innego, aż wreszcie docierał do drzwi. Rozmawiał jakieś pięć minut, zanim nacisnął klamkę, potem stał jeszcze kilka minut w otwartych drzwiach, co w mroźny wieczór nie było przyjemnością. Słowem, rzeczywiście długo trwało, zanim powiedział „żegnaj”.

Pewnego wieczoru siedział u nas w kuchni, kiedy przygotowywałam tace na jutrzejsze śniadanie. Jeden z gości zapukał do drzwi kuchennych i zażądał wody. Wyjaśniłam mu, że woda z kranu umywalki w jego pokoju jest dokładnie taka sama jak w kuchni i że w całym domu mamy wodę zdatną do picia. Gość nie był jednak zadowolony, a ponieważ „klient ma zawsze rację”, chociaż niektórzy mają mniej racji niż inni, obiecałam mu przynieść karafkę do pokoju. Gość odszedł, a ojciec Mick siedział zadumany.

- Wiesz, Alicjo, ta karafka przypomniała mi, jak moja matka stawiała kurczakom na spodeczku odwrócony do góry dnem słoik po dżemie napełniony wodą.

Wkrótce poznałam inną stronę charakteru księdza Micka. Pojechaliśmy raz z Margaret do Cork kupić dla niej wyprawę ślubną. Spędziłyśmy dzień wspaniale i wróciłyśmy do domu w świetnych humorach. Wypiłyśmy

herbatę u niej, a ojciec Margaret, Jimmy, siedział przy kominku gawędząc z nami. Późnym wieczorem zastukano mocno do naszych drzwi. Była to Margaret. Stała ze zbielełą twarzą, w stanie szoku. Jimmy dostał ataku serca. Pobiegliśmy do jej domu i znaleźliśmy go bliskiego śmierci. Przyszedł ksiądz Mick i lekarz, ale po kilku minutach nastąpił koniec. Byliśmy wstrząśnięci tą nagłą śmiercią. Wybiła pierwsza, czekała nas długa, smutna

noc. Ksiądz Mick pozostał z nami, pocieszając rodzinę, jak mógł. Poszedł dopiero, kiedy musiał odprawić poranną Mszę świętą. Był dla nas opoką, kiedy najbardziej potrzebowaliśmy opoki.

Ksiądz Mick przyznawał wprawdzie, że niektórzy mężczyźni to łobuzy, ale jego zdaniem, samolubna kobieta to dopiero prawdziwa katastrofa. Na szczęście rzadko się taka zdarzała. Ksiądz Mick dobrze rozumiał mężczyzn, jednak tak naprawdę kochał kobiety. Jedno tylko miał im za złe: że wychodzą za mąż za byle kogo. Twierdził, że przez wszystkie lata kapłaństwa nie przestawało go zdumiewać, dlaczego niektóre wspaniałe kobiety biorą sobie tak beznadziejnych mężów. Powiedział mi kiedyś: „Nie byłbym zdziwiony, gdyby któregoś dnia przyszła do ołtarza dziewczyna z kopą siana w charakterze narzeczonego”.

DRUGI KROK

T

ego pierwszego roku zarobiliśmy na naszym pensjonacie tyle, że mogliśmy zapłacić Jerry'emu, który zresztą aż do końca sezonu nawet nie zapytał o pieniądze. Spłaciliśmy też dostawców, i nawet dyrektor banku wreszcie ucichł. Ale było to tylko chwilowe wytchnienie. Czekał nas następny krok. Zimą wróciliśmy więc do żółtego błota i bałaganu.

Pierwszy sezon przeżyliśmy w kuchni, gdzie sufit dotykał niemal naszych głów, i niemal piekliśmy się od gorąca. Teraz miało się to zmienić, bo sufit zerwano. Zostaliśmy więc właściwie bez kuchni, choć ciągle jeszcze mieliśmy gości. Tymczasowo przygotowywaliśmy posiłki w jadalni. Duże okna wychodziły na samo centrum miasteczka, tak że Margaret i ja czułyśmy się, jakbyśmy pracowały na ulicy. Przez całą zimę mogłyśmy obserwować, czym się kto zajmuje o każdej porze dnia. Przystanek autobusu był tuż pod oknem, dzięki czemu dowiedziałyśmy się, kiedy kto wsiada i wysiada; po kilku tygodniach znałyśmy rozkład dnia każdego mieszkańca miasteczka podróżującego autobusem. Był to widok tak zajmujący, że postanowiłam sobie, że na stare lata będę mieszkać w pokoju z oknem na ulicę, aby zamiast oglądać telewizję, patrzeć na żywych ludzi.

Drugi sezon turystyczny zaczęliśmy, mając siedemnaście pokoiów dla gości. Oprócz poprzednich, na parterze,

za kuchnią, znajdowały się dodatkowe cztery pokoje z własnym, bocznym wejściem, przeznaczone dla osób, którym trudno było wchodzić po schodach. Nad nimi i nad kuchnią dobudowaliśmy jeszcze pięć pokoiów. Aby zakupić z naszego skromnego budżetu bieliznę pościelową i ręczniki do wszystkich dziewięciu nowych pokoiów, należałoby powtórzyć cud z bochenkami chleba i rybami. Pojechałyśmy z siostrą na wyprzedaż do Cork, gdzie spędziłyśmy męczący dzień, kupując prześcieradła i ręczniki. Późnym popołudniem byłam strasznie głodna i postanowiłam coś zjeść. W restauracji przestudiowałam, oblizując się, jadłospis i wybrałam danie, na które miałam apetyt. Siostra spojrzała na mnie wzrokiem pełnym potępienia.

- Czy wiesz, że za chwilę przejesz dwa ręczniki? - spytała.

Straciłam natychmiast apetyt. Wyszłyśmy z restauracji, kupiłyśmy jeszcze dwa potrzebne ręczniki i pojechałyśmy do domu, gdzie zjadłyśmy kolację za cenę, jak mnie zapewniła siostra, małej myjki do twarzy.

Nadszedł jeszcze jeden udany sezon turystyczny; szczególnie wielu Anglików napłynęło do naszego kraju. Co wieczór siadało do kolacji trzydziestu do czterdziestu gości, a chociaż pracowaliśmy bardzo ciężko, bawiło nas to ogromnie. Byliśmy młodzi, nie dostrzegaliśmy problemów i może dlatego udawało nam się je pokonywać.

W pewien bardzo upalny weekend w miasteczku zabrakło wody. Musieliśmy poprosić gości, aby przez kilka dni nie brali kąpieli. Ze studni na krańcu miasteczka pompowaliśmy wodę do wiader i napełnialiśmy wannę na piętrze, aby mieć rezerwę do ubikacji. Pomagała nam wtedy młoda dziewczyna, która nie bardzo miała pojęcie, co się wokół niej dzieje. Idąc korytarzem usłyszałam w pewnym momencie bulgotanie;

wbiegłam do łazienki i ujrzałam resztki wody spływające do otworu w wannie. Betty stała z zatyczką w ręku i poinformowała mnie spokojnie: „Ktoś zapomniał spuścić wodę po kąpieli”. Z przyjemnością bym ją wtedy utopiła w tych resztkach

naszego zapasu, gdybym tylko była zdolna do morderstwa.

Innym razem mieliśmy kłopot z powodu nadmiaru wody. Pewnego ranka Margaret pitrasiała coś w kuchni, a ja rozkładałam powidła i masło na talerzyki, kiedy zauważyłam przestraszona, że dokoła stóp chlupie mi woda. Skąd się tu wzięła? Powiodłam wzrokiem wzdłuż strugi i niemal zemdlałam z przerażenia: woda płynęła do kuchni z tylnego korytarza. Poprzedniego wieczoru umieściłam na parterze chorą na serce starszą panią. Pobiegnęłam do jej pokoju, a i mnie serce waliło z niepokoju; zastałam ją siedzącą w łóżku z wielce zdziwioną miną. Ze ścian spływała woda. Dywanik, na którym stanęłam, był nasiąknięty i miękki jak galareta. Woda tryskała zewsząd jak z ogrodowej polewaczki. Pierwszą moją myślą było: O Boże, ona dostanie ataku serca. Ale w rzeczywistości groziło to raczej mnie niż jej. Młoda, łatwo wpadałam w panikę, więc zareagowałam zbyt gwałtownie, podczas gdy starsza pani, podchodząca do życia z większym dystansem, nie przejęła się zbytnio.

- Robi się tu trochę wilgotno, moja droga - zauważyła spokojnie.

Było to bardzo delikatne stwierdzenie faktu. Rura pękła nad sufitem jej pokoju i jak Mikę przepowiadał, woda ciekła przez żarówkę. Zdarza się często, że żart zamienia się w rzeczywistość, ale tego ranka nie było mi do śmiechu. Woda zatopiła cały tylny korytarz, cztery pokoje i magazyn. Goście schodzili już na śniadanie, więc nie pozostawało nic innego, jak tylko udawać, że wszystko jest w porządku, i mieć nadzieję w Bogu, że

Gabriel, którego przywołałam na pomoc, zdoła zatrzymać potop, zanim sięgnie jadalni. Dzielna starsza pani chora na serce przyszła na śniadanie z niewzruszonym spokojem. Zapewniła mnie, że po przeżyciu dwóch wojen światowych mała irlandzka rura znaczy dla niej tyle co nic.

Inny zalany wodą pokój zajmował młody Amerykanin. Powiedział do mnie: „Wiesz, złotko, nigdy bym się nie spodziewał, że w Irlandii znajdę na ścianach pokoju

Niagarę”. W pozostałych dwóch pokojach mieszkały młode Angielki, które uznały, że wszystko jest „szalenie zabawne”.

Cały dzień minął na gorączkowym zbieraniu wody i suszeniu chodników. Nasz hydraulik, Kevin, przyszedł tylko wyłączyć „wodospad”, ale spędził cały dzień, pomagając nam przesuwać łóżka i zwijać dywaniki. Dzięki naszym cudownym sąsiadom, na których zawsze mogliśmy liczyć w potrzebie, wieczorem wszystko wróciło do normy.

Naszym gościom podobały się ciche drogi i na wpół puste plaże w West Cork. Wracali wieczorami pełni zachwytu dla uroków Gougane Barra, Glangarrif i Mizen Head. Jeśli mieli ochotę spędzić dzień bardziej leniwie, udawali się na miejscową plażę w Garretstown lub spacerowali po wąskich uliczkach i historycznych fortach w pobliskim Kinsale. Ci zaś, którym nie chciało się nic robić, siedzieli po prostu nad rzeką albo w lesie. Wieczorami odwiedzali puby, gdzie spotykali miejscowych ludzi. Największą popularnością cieszył się pub u Kate, gdzie również i nasi goście byli posłuszni dzwonkowi budzika.

Andy przepadał za turystami. Zawsze zajmował strategiczne stanowisko, kiedy trzeba było wynosić walizki do samochodów. Pewnego wieczoru pod koniec lata przyjechała autobusem dziewczyna ze skrzynią pełną

książek; była to nauczycielka, która miała uczyć w naszej szkole. Andy rzucił się jej na pomoc i mimo zapewnień, że sama sobie poradzi, wyrwał jej skrzynkę z ręki. Później w jadalni wspomniała o jego rycerskim geście. W następnych miesiącach, kiedy poznała go bliżej i sporo mu płaciła za usługi, śmiała się często z tego pierwszego wieczoru i twierdziła, że Andy zrobił na niej wtedy wielkie wrażenie.

TO TYLKO KAWAŁKI PAPIERU

W

późnych latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych turystyka w Irlandii kwitła. Angielscy wczasowicze upodobali sobie Irlandię i każdego ranka, gdy przycumował prom krążący między Cork a Swannsee, długie szeregi samochodów z literami GB ciągnęły w kierunku West Cork. Również mieszkańcy północnej Irlandii przyjeżdżali na południe, i tego lata, kiedy na północy zaczęły się niepokoje, nasz hotel był pełen zwolenników unii z Anglią, przybyłych do nas z polecenia przyjaciół, którzy bywali już wcześniej w naszym hotelu. Niektóre rodziny angielskie

przyjeżdżały każdego roku. Anglicy byli niezrównanymi gośćmi: punktualni, taktowni, potrafili docenić nasze wysiłki. Ale miewali dziwne pojęcie o Irlandii. Pewna niemłoda para, która przyjechała do nas z Rosslare, była bardzo zdziwiona, że to tak daleko. „Wydawało mi się - powiedział mężczyzna - że przejdę pieszo z Rosslare do waszego hotelu. W ogóle sądziłem, że całą Irlandię można objechać w ciągu godziny.” Wytworny pan z akcentem spikera BBC -w rozmowach z nami ciągle używał słowa „kontynent”. Minęła spora chwila, zanim się zorientowałam, że dla niego Anglia była kontynentem, a my stanowiliśmy zaledwie wyspę u jej wybrzeży.

W miarę jak problemy w Irlandii północnej przybierały na sile, napływ turystów z Anglii spadł do zera i wrota między północą a południem zatrzęsły się. Tymczasem przybyło nam jeszcze dwoje dzieci, a wujek Jacky dostał lekkiego ataku serca. Mieliśmy za wiele pracy przy obsłudze pensjonatu, urzędu pocztowego, i sklepu jednocześnie. Trzeba było coś z tym zrobić, pomyśleć o pomocniku dla Jacky'ego. Sklep miał pierwszeństwo, bo należał od pięciu pokoleń do tej samej rodziny, a pensjonat nie miał żadnych historycznych korzeni. Postanowiliśmy więc część pokojów hotelowych przekształcić w mieszkania; zaoszczędziłoby to nam sporo czasu i pracy.

Tej zimy postanowiłam pomagać w sklepie. Pierwsze polecenie od Jacky'ego brzmiało: „Alicjo, bądź tak dobra i posortuj rachunki dla tych cholernych inspektorów podatkowych”. Od paru lat istniał już nieszczęsny podatek obrotowy, zwiastun obecnego VAT-u. Jacky, podobnie jak wielu sklepikarzy starszego pokolenia w wiejskiej Irlandii, pojęcia nie miał, jak się do tego zabrać. I on, i inni chętnie płaciliby ten podatek, ale nie

prowadzili żadnej księgowości, na podstawie której można by obliczyć jego wysokość. Jacky wręczył mi pudła pełne rachunków i westchnął z ulgą: „Bogu dzięki, pozbyłem się tego świństwa. Zatrzymało mi życie”.

Zaczęły się więc dni sortowania zawartości tekturowych pudeł. Próbowałam wnieść jaki taki porządek do rachunków za wiele ubiegłych lat. Mijały dni, tygodnie, pudła pustoszały, a po całej podłodze i wszystkich meblach w naszym salonie rosły stosy kwitów ułożonych według różnych firm. Nasze dzieci ostrożnie stąpały między papierowymi wzgórzami i trzymały się ode mnie w bezpiecznej odległości. Ich matka, zwykle istota spokojna, zamieniła się w maniaczkę od papierkowej roboty i mówiła głośno sama do siebie, używając języka, „którego obcy nie znają”.

Po uporządkowaniu wszystkich papierów kupiliśmy dużą szafę i stworzyliśmy kartotekę. Stopniowo nasz pokój zaczął się wyłaniać spod papierzysk, jak góry spod śniegu, gdy nadchodzi odwilż. Ale dopiero teraz zaczęła się prawdziwa robota, zabrałam się bowiem do obliczeń i nadania tym papierom jakiegoś sensu. Ciągnęło się to tygodniami, a stała koncentracja zszarpała mi nerwy. Jacky podchodził do drzwi i pytał z niepokojem: „Jak ci idzie?” Za nic na świecie nie chciałam go martwić, więc odpowiadałam: „Znakomicie, wszystko będzie w porządku”, ale miałam co do tego wątpliwości. Wreszcie pewnego wieczoru, kiedy po całych tygodniach pracy nie udało mi się zbilansować kolumn cyfr, rzuciłam książkę rachunkową na podłogę i uciekłam do hotelowej kuchni. Moja matka, która przebywała u nas z kolejną wizytą, stała właśnie przy kuchence, mieszając spokojnie ryż dla dzieci.

65593Może napiłabyś się herbaty - spytała.

65594Mamo! - zawołałam, waląc pięścią w stół. - Ja zwariuję przez te rachunki. Nic mi się nie zgadza.

Przez parę minut matka nic nie mówiła, dając mi się wykrzyczeć. Kiedy skończyłam, uśmiechnęła się i rzekła:

- Teraz usiądź i napij się herbaty. Zrobię ci grzanki.

Mama zawsze wierzyła w pokrzepiającą siłę gorących grzanek. Siedziałyśmy więc przy herbacie, aż matka powiedziała spokojnie:

- Wiesz, Alicjo, nigdy nie przypuszczałam, że dożyję dnia, kiedy jakieś głupie papiery wyprowadzą cię z równowagi. Pamiętaj, że to tylko kawałki papieru.

Zaczęłam się śmiać. Dzięki prostej logice matki ujrzałam całą sprawę we właściwej perspektywie.

Doprowadziłam w końcu sklepowe rachunki do porządku, co sprawiło Jacky'emu taką ulgę, że warto było podjąć trud.

Ostatnie słowo należało jednak jak zwykle do cioci Peg.

- Coś ci powiem - rzekła, grożąc mi palcem przed nosem. -To wielki błąd umieć zbyt wiele rzeczy. Im więcej będziesz umiała, tym więcej będziesz miała roboty.

Ale ja się cieszyłam, że znów jestem w sklepie razem z Jackym, który był zawsze tak blisko ludzi i wszystkiego, co działo się w miasteczku. Obejmowało to również jedną z wielkich pasji jego życia, drużynę piłkarską miejscowego klubu sportowego.

NAPRZÓD, ROVERSI!

W

ierni w naszym miasteczku dzielili się na rzymskich katolików i wyznawców Kościoła irlandzkiego. Modlili się oddzielnie w swoich kościołach, ale przy wszystkich innych okazjach trzymali się razem. Na meczach z udziałem miejscowej drużyny piłkarskiej pod nazwą Valley Rovers wspólnie modlili się na linii autowej o jej zwycięstwo, wyrzaskując niekiedy hymn ekumeniczny: „Naprzód, Roversi!”

Zwłaszcza krzyk z jednego gardła wznosił się ponad wszystkie inne, przeszywając powietrze z szybkością pędzącej *sliotar*. Był to głos Joego. „Naprzód, Roversi”, wykrzyczane przez niego, często bardziej przyczyniało się do wygranej niż wszystkie przemówienia i przedmeczowe wskazówki razem wzięte. Joe miał jeszcze jeden refren, który powtarzał się na każdym meczu. Gdy piłka zmierzała na aut, krzyczał zawczasu: „Piłka dla Ro-ver-sów!” W trosce o stan bębenków w uszach było niewskazane trzymać się zbyt blisko Joego, ale trzeba przyznać, że stwarzał na meczu niezrównaną atmosferę.

W każdą niedzielę po Mszy świętej na jednym z rogów głównej ulicy gromadził się tłum kibiców, którzy pakowali się do przygodnych samochodów, odwożących wszystkich na boisko. Mowy nie było, żeby ktoś został bez transportu, nawet jeżeli miejsce dla niego znalazło się tylko w bagażniku. W poniedziałek wczesnym rankiem,

gdy listonosze przychodzili do sklepu sortować pocztę, odbywała się powtórka z meczu. I tak ciągnęło się to przez cały dzień. Dyskutowano o każdym meczu z poprzedniego dnia, czy to z udziałem Roversów, Bandonów, czy też innej drużyny. Omawiało się rzuty wolne, krytykowało decyzje sędziego, analizowało każde kopnięcie piłki. Do tego rozbioru meczu włączali się komiwojażerowie i dostawcy, a wierni kibice wpadali wygłosić własne komentarze. Późnym wieczorem, kiedy zjawiali się starzy kumple Jacky'ego, wydawano ostateczną diagnozę. Po zamknięciu sklepu Jac-ky brał wszystkie gazety i czytał po kolei sprawozdania z meczu, a wreszcie razem z Gabrielem analizowali każdą opinię dziennikarzy sportowych. Po Panu Bogu najważniejsza w domu, a nawet w całym miasteczku była drużyna piłkarska! W rozmaitych okresach życia Jacky grał w niej, sędziował, należał do zarządu lokalnego i okręgowego klubu, a Gabriel wstępował w jego ślady.

Nigdy przed ślubem nie byłam na żadnym meczu, więc ten żarliwy zapal zafascynował mnie i uderzył we mnie z siłą huraganu. Ażeby zachować zdrową równowagę, postanowiłam trzymać się z daleka od wszelkiej działalności sportowej. Ale ciocia Peg zachwiała tą moją neutralnością. Któregoś dnia wrzuciła do kuchni pudło z koszulkami Roversów.

- Długo się nimi zajmowałam - powiedziała -już czas, by wziął to na siebie ktoś inny.

Tak więc w niejeden poniedziałek moja uprana bielizna zamiast powiewać na wietrze, musiała ustąpić miejsca na sznurach koszulkom Roversów. Jednakże powoli i mnie wciągnęło to morze entuzjazmu, zaraziłam się gorączką kibicowania. Nie mniej pasjonowało mnie obserwowanie ludzi, którzy przychodzili na mecze. Zdumiewający był

widok surowych i poważnych mężczyzn, którzy normalnie nie odezwaliby się do ciebie ani słowem, a na meczach, gdy ich drużyna wbiła gola, wpadali w szal radości i wyskakiwali w powietrze jak rakiety. A co dopiero

widzieć setki takich ludzi na meczu finałowym prowincji Munster, nie mówiąc już o mistrzostwie Irlandii!...

Kiedy pierwszy raz pojechałam do Mekki dublińskiej piłki nożnej, na stadion Croke Park, najpierw poszliśmy do restauracji, która się mieściła pod trybunami. Gabriel stanął w kolejce po herbatę i ciastka, a ja przyglądałam się ludziom. Obok naszego stolika siedział dobrze odżywny miejski biznesmen w świetnie skrojonym garniturze, okrywającym okazały brzuch; wyrwał się z domu na cały dzień „z chłopakami”. Dalej siedział mocno zbudowany, ogorzały wiejski kawaler w ubraniu liczącym z dziesięć lat; pod pachą trzymał kanapki zawinięte w papier pakowy. Pewnie przyjechał sam i był przyzwyczajony do samotności, bo nie szukał towarzystwa. Jakiś lekarz albo adwokat, w każdym razie ktoś z tej sfery, z drogo ubraną, opaloną żoną w pięknych pantoflach i kosztownych klejnotach ciągnęli ze sobą znudzonego nastolatka. Potem przyszła nieduża kobiecina z plastikową torbą pełną kanapek, za nią kupa dzieciaków, a na końcu „on”, czyli mąż, w brązowym ubraniu i pulowerze zrobionym na drutach. Kobieta krzątała się, pilnując, żeby wszyscy zjedli jak należy, podczas gdy najstarszy syn przynosił filiżanki herbaty dla całej rodziny. „On” palił papierosa i widać było, że ma umysł zajęty bardziej wzniosłymi sprawami. Chudy, samowystarczalny zakonnik siedział w kącie i obsługiwał się sam. Z kieszeni wystawał mu czarny beret, obok na krześle leżał starannie złożony płaszcz przeciwdeszczowy z plastiku. Na

scenę wpadła grupa opalonych, wiejskich chłopaków. Śmieli się i przekrzykiwali jeden drugiego, grając „mocnych mężczyzn”. Obok nich stały dwie prześliczne dziewczyny w letnich sukienkach w kwiatki, z długimi blond włosami. Otyły ksiądz perorował głośno, jakby jeszcze nie skończył porannego kazania, a kobieta o zaciętej twarzy i skrzeczącym głosem zarzucała nieprzerwanym potokiem słów zrezygnowanego męża, który rozglądał się w nadziei, że zobaczy kogoś znajomego. Był też ojciec z synem, którzy

wybrali się tu na cały dzień i nie bardzo wiedzieli, czy mają się zachowywać jak chłopcy czy jak mężczyźni.

Siedzący za mną dwaj wieśniacy rozmawiali o meczu:

- Nasi są więksi i silniejsi. To się przecież liczy

- powiedział jeden pewnym głosem.

- Wcale niekoniecznie-odparł drugi. - Tamci są mali, ale zręczni. Może być z nimi kłopot. Pewno nasi będą musieli trochę spuścić z tonu, jeśli chcą wygrać.

Zespół Artane Boys przeszedł obok nas, idąc na swoje miejsce, więc my też szybko opuściliśmy restaurację i weszliśmy gęsiego po schodach do naszego rzędu, by znaleźć się w podniecającej atmosferze finału o mistrzostwo Irlandii.

Kiedy ojca Micka przeniesiono do innej parafii, zastąpił go ojciec Seamus, wielki entuzjasta sportu. Trenował chłopców w wieku szkolnym i nasi młodociani piłkarze uzyskali wtedy duży rozgłos. Powstały drużyny chłopców do lat dwunastu, czternastu i szesnastu, które wygrywały nie tylko mistrzostwa okręgowe, ale i całego hrabstwa. Kobiety, które tak jak ja dotychczas, ledwo wiedziały, czym się różni *sliotar* od piłki używanej w

futbolu, z dnia na dzień zamieniły się w ekspertów i występowały jako sędziowie liniowi. Pewnego dnia Gabriel sędziował na meczu Roversów i bardzo się starał nie faworyzować naszej strony. Kiedy puścił płazem ostre zagranie przeciwnika, przejęta meczem krzyknęłam: „Hej, panie sędzio, nie widzi pan, czy co?” Ojciec Seamus wychodził z boiska razem z Gabrielem i oczywiście rozmawiali o meczu.

- Chyba wszyscy byli zadowoleni, co?- spytał Gabriel.

- Słyszałem tylko jeden głos krytyczny.

- To był głos twojej własnej żony - poinformował go ojciec Seamus.

Roversi trenowali na różnych boiskach po całej parafii, aż wreszcie kupili sobie własny teren. Był to wspaniały kawałek łąki nad rzeką, na zachodnim krańcu miasteczka. Nikt nie nazywał go boiskiem, miejsce to było znane jako „Bielenie”, gdyż to tutaj właśnie za dawnych czasów Adderley bielili lniane płótna. Z rzeką było trochę kłopotu, bo czasami woda podnosiła się i zalewała okolicę, ale jakoś sobie z tym radzono. Później ktoś uznał, że rząd majestatycznych wiązków w pobliżu boiska zagraża bezpieczeństwu, i kazano je wyciąć. Miasteczko kochało swoje wiązki, zwołano więc w tej sprawie zebranie, ale w końcu zdecydowano, że trzeba ustąpić. Tego dnia, kiedy wiązki zostały wycięte, miasteczko straciło nieco swej godności. Drzewa od niemal stu lat górowały nad jego zachodnim krańcem.

Drużyny *hurlingu* i irlandzkiej piłki nożnej przynosiły ludziom z naszej parafii mnóstwo rozrywki i radości. O ich znaczeniu najlepiej świadczy to, co się działo w miasteczku, kiedy Roversi zdobyli po raz pierwszy mistrzostwo hrabstwa. Szłam wieczorem do domu i wszędzie widziałam

uszcześliwione twarze. Roversi-seniorzy mimo podeszłego wieku śmieli się i tańczyli radośnie jak mali chłopcy. Piłka nożna przypominała im najradośniejsze momenty ich młodości, kiedy sami byli zawodnikami, i teraz, na stare lata, zwycięstwo ich klubu dawało im szczęście i wprawiało w niezwykły entuzjazm. Kobiety, które w czasie meczu stojąc wzdłuż linii autowych zagrzewały swoich braci, narzeczonych i synów, teraz obchodziły z nimi zwycięstwo w pubach i w sali parafialnej. Był to niezapomniany wieczór dla Valley Rovers i dla całej parafii.

Sala parafialna i „Bielenie” były świetnymi miejscami rozrywki dla ludzi z całej parafii. Ponadto pewien hojny parafianin podarował miastu kort tenisowy, a Roversi dobudowali później do sali parafialnej szatnie. Kiedy uczniów niewielkiej szkółki Kościoła irlandzkiego po drugiej stronie ulicy przeniesiono do pobliskiego Bandon, a szkołę zamknięto, w budynku zwanym Salą Mostową ustawiono stoły do ping-ponga i urządzono tu kółka malarskie i muzyczne.

Parafialnymi nieruchomościami opiekował się Paddy. Był dozorcą sali parafialnej, ale na tym jego obowiązki się nie kończyły. Pilnie śledził wszystko, co się działo w miasteczku, zbierał gazety z autobusu, skopywał ogródki starszym paniom, nawet przepowiadał pogodę. Na parapecie okiennym stał u niego *tory-top* - sosnowa szyszka, która otwierała się szeroko na ładną pogodę i zamykała, kiedy miał padać deszcz. Rzadko się myliła.

Kiedy Gabriel sędziował na meczu, Paddy był zawsze sędzią liniowym. Nikt nie kwestionował jego decyzji, bo Paddy bywał zły jak osa. Ale wspaniale dogadywał się z dziećmi. Nasza córeczka jeździła na mecze, siedząc na kolanach Paddy'ego. Dzieci z miasteczka zbierały się u niego

regularnie, a Paddy opowiadał im jakieś niestworzone historyjki o „niej” na górze. Nigdy wprawdzie „jej” nie widziały, ale wierzyły, że na piętrze mieszka żona Paddy'ego. Zachowywały się bardzo grzecznie, bo Paddy uprzedził je, że „ona to okropna wiedźma” i że jeśli będą rozrabiać, zejdzie na dół i wyłoi im skórę.

Paddy miał kamienny domek, który co roku malował na żółto. Stał po drugiej stronie ulicy dokładnie naprzeciwko naszego tylnego wyjścia, więc Paddy mógł obserwować, kto z nas kiedy przychodzi i wychodzi. Kiedy zamieszkała u nas pewna dość osobliwa dama, Paddy z zainteresowaniem śledził jej kroki.

WALIZKA POD ŁÓŻKIEM

P

ewnego poranka pod koniec września siedziałam w kuchni na fotelu z podnóżkiem, czytając gazetę. Śniadanie skończone, naczynia ze stolików

w jadalni zebrane, pokoje gościnne sprzątnięte. Odpoczywałam sobie z rozkoszą, kiedy odezwał się dzwonek. Niechętnie zwlekłam się z fotela i poszłam korytarzem, myśląc po drodze, czy mam jakiś pokój do wynajęcia. Pięć pokoiów zajmowali goście, wolne zostało tylko jedno letnie mieszkanie, ale że sezon się kończył i powoli zamykaliśmy pensjonat, mogliśmy je wynająć tylko na tydzień.

Kiedy skręcałam w korytarz prowadzący do wejściowego hallu, zobaczyłam drobną figurkę o krótko obciętych, popielatoblond, a może siwych włosach. Poprzez oszklone drzwi światło padało na nią od tyłu, więc nie mogłam określić dokładnie koloru włosów kobiety, a tym bardziej jej wieku. Mogła liczyć równie dobrze dwadzieścia pięć, jak pięćdziesiąt pięć lat, twarz miała dziecięcą, jakby wiecznie młodą i w ogóle sprawiała wrażenie zabłąkanego dziecka. Szczupła jak nastolatka, miała na sobie długą, czarną spódnicę i jaskrawoczerwony zakieci.

- Czy ma pani umeblowane mieszkanie do wynajęcia? - zapytała. Mówiła z akcentem Angielki z wyższych sfer. Nie skierowała tego pytania wprost do mnie, ale do jakiegoś punktu nad moją głową. Oczy miała piwne o złotawym odcieniu i wydawało się, że nie może skupić spojrzenia w jednym punkcie, że jej wzrok wędruje gdzieś daleko, dokąd zawędrowały już myśli. Było w niej coś nierzeczywistego. Ciało stało przede mną, ale dusza błądziła gdzieś bardzo daleko.

65595Owszem - odparłam - mamy letnie mieszkanie, ale jest do wynajęcia tylko na tydzień, bo zamykamy z końcem sezonu.

65596Czy mogę je zobaczyć? - zaszcebiotała dziecięcym głosem. Zaprowadziłam ją na górę. Oglądała mieszkanie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

65597Na jak długo chciałaby pani je wynająć? - spytałam, usiłując dowiedzieć się czegoś konkretnego.

65598Trudno powiedzieć - odparła niejasno.

65599To mieszkanie jest do wynajęcia tylko na tydzień - powtórzyłam. - Czy szuka pani czegoś na dłużej?

65600Chyba tak - odpowiedziała ze zdziwieniem, tak jakby dopiero co się o tym dowiedziała.

65601W takim razie - rzekłam stanowczo - sprawa odpada. Mamy tylko to mieszkanie, a w przyszłym tygodniu zamykamy pensjonat na zimę.

65602Dlaczego?

65603Dlatego, że... - zaczęłam, ale ona nie słuchała.

65604Czy jest pani właścicielką?

Odpowiedziałam twierdząco, przedstawiłam się i poprosiłam ją o to samo.

- Nazywam się Penelopa Anna Carter Page - powia domiła mnie uroczyście.

Po drodze do wyjścia szła przede mną tanecznym krokiem, nucąc coś pod nosem. „Do miłego”, powiedziała, machając mi dłonią i uśmiechając się lekko. Wyszła, trzepocząc palcami w powietrzu jak niemowlę, które uczy się robić rączką „pa, pa” na pożegnanie. Wróciłam do kuchni i postawiłam czajnik na kuchence, aby się napić herbaty, nim pojedę do Cork na zakupy.

Kiedy wróciłam pod wieczór, mój siedmioletni synek czekał na mnie w hallu, podskakując z radości, że ma dla mnie ciekawe nowiny.

- M amusiu - zawołał - wprowadziła się pani z taczkami.

65605Z czym?

65606Z taczkami, z taczkami! - powtarzał, biegając po hallu i pchając przed sobą wyimaginowane taczki, żeby mi zademonstrować, jak to było.

65607A co było w tych taczkach? - spytałam z niepokojem.

65608Pies! - oznajmił z zachwytem.

65609Pies?

65610Siedział w taczkach między ubraniami i książkami, i... i rondlem - zakończył triumfalnie.

65611Boże kochany - westchnęłam, wznosząc oczy do nieba. - Gdzie ona teraz jest?

65612Na górze, w ostatnim mieszkaniu.

65613Ale kto ją tam zaprowadził?

65614Nikt - odpowiedział zdumiony, że zadaję takie głupie pytania. -Wiedziała, dokąd iść, a ja zaniósłem jej książki na górę.

65615Ależ to niemożliwe -zaprotestowałam, czując się jak Alicja w krainie czarów. - Nie mogła się przecież tak sama wprowadzić.

65616Ale się wprowadziła - oświadczył. - Ta pani jest bardzo miła i bardzo jej się tu podoba, i ona mi się podoba.

Wypytałam innych domowników i potwierdzili słowa mego synka. Dwóch starszych synów uznało za bardzo zabawne, że mamy takiego niezwykłego gościa, który w dodatku wprowadził się w tak dziwny sposób. Tak samo uważali niektórzy sąsiedzi. Pomyślałam, że gdyby była wśród nich Lizzy May, na pewno by stwierdziła, że otworzyłam schronisko dla zbłąkanych dzieci i zwierząt.

Okazało się, że Penelopa Anna mieszkała przedtem kilka dni w hoteliku pod miasteczkiem i pożyczyła tam taczki, aby przewieźć rzeczy do

nowego mieszkania. Zainstalowała się na górze i poszła do hoteliku oddać taczki, na których siedział pies, rozparty jak królowa w karocy. Jeszcze nie wróciła.

Przyszła, prowadząc psa na długiej smyczy, przesunęła się przez frontowe drzwi i pomknęła po schodach na górę, jakby mieszkała tu przez całe życie. Postanowiłam jakoś

załatwić sprawę i poszłam za nią. Ale z Penelopą Anną nie dawało się nic załatwić. Nie słuchała mnie, patrzyła gdzieś ponad moją głowę. Nie mogłam dotrzeć do jej umysłu - był przede mną zamknięty.

Zadzwoiłam do hoteliku, żeby się czegoś dowiedzieć. Dyrektor powiedział, że przyjechała kilka dni temu i podała adres w Anglii, ale odniósł wrażenie, że jest w Irlandii od dłuższego czasu.

- Ona jest okej - powiedział. - Tylko z psem są kłopoty.

Miał słuszość, i to jeszcze jak! Pies stał się zmorą mojego życia. Nazywał się Junky. Imię miał właściwie dobrane, bo *junk* to odpadki, a Junky stał na najniższym szczeblu psiej drabiny. Rodowód miał mocno poplątany, ale wśród jego przodków musiał zdarzyć się chart i terier, bo odziedziczył ich najgorsze cechy. Jakiś owczarek też wtrącił gdzieś swoje trzy grosze. Ale chociaż w moim pojęciu Junky był okazem najniższej formy psiego życia, dla Penelopy Anny stanowił rację istnienia.

Junky robił, co chciał, na naszym podwórzu i w ogrodzie. Każdej nocy ściągał dla zabawy wszystko, co wisiało na sznurach. Zbierałam porwane prześcieradła i ręczniki ze wszystkich kątów ogrodu i modliłam się o cierpliwość. Penelopą Anna odmawiała błaganiom, aby psa na noc przywiązywać, a kiedy sama to robiłam, szybko schodziła na dół, żeby go uwolnić. Mimo to żyła w ciągłej obawie, że Junky wyskoczy z podwórza i

ucieknie, więc żeby nikt nie mógł otworzyć tylnej furtki, zbierała z zaplecza sklepu tuziny skrzyń i zastawiała nimi wejście od wewnątrz. Zobaczył to kiedyś Paddy z pięterka swojego domku po drugiej stronie ulicy, wysunął głowę z okna i krzyknął, żeby przestała, ale Penelopą Anna była głucha na wszystko z wyjątkiem potrzeb jej psa. Próbowaliśmy kiedyś wjechać samochodem na podwórze, ale pchaliśmy furtkę bez skutku: barykada z pak trzymała ją mocno. Weszliśmy więc przez dom i odsunęliśmy skrzynki. Musieliśmy to potem robić za każdym razem, co doprowadzało nas do szaleństwa, ale kiedy poprosiliśmy Penelopę Annę, żeby

przestała barykadować nasze podwórze, uśmiechnęła się tylko i spokojnie robiła swoje.

Mimo wszelkich podjętych przez nią środków ostrożności pewnego wczesnego ranka obudziło mnie wołanie: „Junky!” Krzyk dobiegał z ulicy. Penelopa Anna stała na białej linii na samym środku jezdni, wokół niej śmigały samochody, kierowcy grozili jej pięścią i trąbili, a ona nie ruszyła się o centymetr, myśląc tylko o swoim zaginionym psie. Wołanie „Junky! Junky!” zamieniło się w przejmujący lament. Nasza sąsiadka, Julia, myślała, że to ją ktoś woła, i podeszła do drzwi wejściowych. Powoli wyległo prawie całe miasteczko, sąsiedzi z ciekawością przypatrywali się tej scenie. Próbowalam namówić Penelopę Annę, żeby zeszła z drogi, ale nie zwracała na mnie uwagi. Wreszcie Junky się zjawił. Wyglądał na bardzo zadowolonego ze swej eskapady. Jego pani przywitała go jak syna marnotrawnego, chociaż dała mu lekką burę i przykazała, żeby na przyszłość był grzeczniejszy.

Wkrótce po tym wydarzeniu spotkałam Lizzy May, która najwyraźniej

uznała, że powinna mi udzielić dobrej rady. „Wiesz, moja droga - powiedziała - tej małej kobiecie z jej dziwnym psem najwidoczniej brak kilku kart w talii." Lizzy May namiętnie grała w karty, więc zrozumiałam, co miała na myśli. Nie powiedziałam jej jednak, że jeśli ta mała kobietka zostanie u nas dłużej, to mnie zabraknie paru kart w talii.

Przez całe miesiące, póki Penelopa Anna u nas mieszkała, byłam pewna, że Junky jest rodzaju męskiego, bo zwracała się do niego jak do chłopca. Ale życie z Penelopa Anną przynosiło wiele niespodzianek. Po ucieczce trzymała psa w mieszkaniu i nie wypuszczała go nawet na podwórze. Czasami mijala mnie w korytarzu, idąc z nim na spacer. Pewnego razu stałam akurat na krześle z wysoko podniesionymi rękami, bo malowałam sufit, a obok krzesła stała duża blaszana puszka białej farby. Junky, biegnąc do wyjścia, przewrócił ją do góry dnem. Rzuciłam mu spojrzenie pełne wściekłości i nagle spostrzegłam, że mocno przytył; widocznie Penelopa Anna go przekar-

miała. Po kilku dniach spotkałam go na schodach - bardzo schudł. Nie wierzyłam własnym oczom, aż zrozumiałam, że Junky wygląda zdecydowanie jak po porodzie. Czy to możliwe? Tak mną to wstrząsnęło, że stanęłam w połowie schodów, po prostu nie mogłam zrobić kroku. Nagła zmiana płci Junky'ego kompletnie zbiła mnie z tropu, ale zdawałam sobie sprawę, że jeśli urodziły się szczenięta, to muszą być gdzieś schowane. Poczekalam, aż Penelopa Anna wróci ze spaceru.

65617Gdzie one są? - spytałam.

65618Chodź do mnie, to zobaczysz - zaprosiła mnie rozpromieniona i bardzo zadowolona, że może podzielić się z kimś radością macierzyństwa. Tanecznym krokiem weszła do sypialni i wyciągnęła

spod łóżka dużą brązową walizkę. Leżało tam potomstwo Junky'ego: cztery grube racuchy. Junky szybko wskoczyła do walizki i dała szczeniakom podwieczorek. Penelopa Anna promieniała miłością i dumą, nie docierało do niej, że sytuacja jest nie do przyjęcia.

65619One nie mogą tu zostać! - zawołałam z przerażeniem.

65620Dlaczego? - spytała zdziwiona.

65621Bo to niemożliwe. Będziesz musiała je oddać, a jak nie, to trzeba je będzie uśpić.

65622Jak możesz być taka okrutna! - krzyknęła. - Czy ty byś oddała swoje dzieci albo kazała je uśpić?

Nie po raz pierwszy od przybycia Penelopy Anny poczułam się, jakbym wchodziła po schodach i nagle zauważyła brak paru stopni. Po kilku dniach to samo pewnie poczuł kierowca autobusu do Bandon, kiedy Penelopa Anna wsiadła z torbą na zakupy pełną szceniąt, prowadząc ich matkę na smyczy.

Pod koniec tygodnia zatelefonowała pani, która przedstawiła się jako matka Penelopy Anny. Była to przemiła osoba, która dobrze wiedziała, jaką niezwykłą ma córkę. W czasie rozmowy spytałam, dlaczego Penelopa Anna podróżuje samotnie tak daleko od swojej rodziny.

- Ona kocha Irlandię - odpowiedziała starsza pani Carter Page. - Wydaje się, że osoby lekko ekscentryczne, jak moja córka, w Irlandii sprawiają mniej kłopotu.

Nie byłam pewna, czy miały to być słowa uznania dla naszej tolerancji, czy też stwierdzenie, że nam także brak piątej klepki. W każdym razie poczułam, że tracę grunt pod nogami.

- Jest jej u was bardzo dobrze - ciągnęła matka - ale

już dłużej nie zostanie. Ona musi być w ruchu.

Zaczynałam się obawiać, że Penelopa Anna nigdy nie odjedzie, a moje śliczne mieszkanie zamieni się w przytułek dla kundli. Jednakże pewnego dnia, kiedy szczenięta podrosły i już same wyłaziły z walizki, zapukała do drzwi kuchennych.

65623 Wyjeżdżam - oświadczyła.

65624 Dokąd? - spytałam z ulgą.

65625 Do hotelu w Cork. Odwiedzisz mnie jutro?

65626 Chętnie - odparłam.

Nasz samochód był akurat w naprawie, wynajęliśmy więc podniszczoną furgonetkę, która z wyglądu nadawała się raczej dla domokrażcy handlującego dywanami. Przednie drzwi się zacięły, więc pasażerów i bagaże trzeba było ładować do środka tylnymi drzwiami. Następnego dnia, pilotowana przez Penelopę Annę, podjechałam pod drzwi frontowe imponującego, pięknego budynku, w którym miała odtąd zamieszkać. Zastanawiałam się, co powiedziała o sobie swym przyszłym gospodarzom, a raczej czego im nie powiedziała. Kiedy zatrzymałam samochód, ze schodów zszedł nam na spotkanie wysoki, siwy jegomość o dystyngowanym wyglądzie. Uśmiechał się, ale uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy otworzyłam tylne drzwi samochodu. Wyłoniła się z nich cała procesja. Pierwsza wyskoczyła Junky, machając ogonem w przekonaniu, że czeka ją gorące powitanie. Za nią szło jedno z moich dzieci, niosąc dwoje szceniąt, potem drugie - siedmiolatek, bardzo smutny, z ulubionym psiakiem w ramionach. Potem pojawiło się czwarte szczenię i wreszcie sama Penelopa Anna, wyglądająca wspaniale w miękkim czerwonym kapeluszu. Twarz mężczyzny wyrażała

niebotyczne zdumienie.

- Boże kochany, czy jest tam tego więcej? - zapytał w osłupieniu.

Penelopa Anna wysunęła się wówczas na przód sceny, by odegrać główną rolę. Wyciągnęła do niego rękę, jak członkini rodziny królewskiej, która składając wizytę, czyni tym wyjątkowy honor, i powiedziała przez nos z najbardziej wielkoświatowym akcentem:

- Jestem Penelopa Anna Carter Page. Przybyłam, aby tu zamieszkać.

MIASTECKOWY SKLEPIKARZ

P

o pierwszym ataku serca Jacky usłyszał, że odtąd powinien się szanować. Nie wyobrażaliśmy jednak sobie, by z dnia na dzień mógł się zmienić w człowieka o powolnych ruchach. Był szczupły, zwinny, w dobrej formie fizycznej, szybko myślał i jeszcze szybciej działał: zanim inni zdążyli pomyśleć, że warto by coś zrobić, on miał to już zrobione. Łączył oszczędność ruchów, sprawną obsługę i miłe usposobienie. Kiedy klient nappełnił już torby zakupami, Jacky stawał po swojej stronie lady z założonymi rękami, klient czynił to samo po swojej stronie, i zaczynała się

dyskusja o sytuacji w miasteczku, w parafii, w całym kraju, a niekiedy i na całym świecie. Ale najbardziej Jacky przejmował się sytuacją w lidze piłkarskiej.

Po takiej pogawędce klient czuł, że życie jest piękne, bo Jacky przekazywał innym własną radość. W jego oczach wszyscy byli równi, niezależnie od zajmowanego stanowiska. Rzecz jasna, ludzie nie zawsze podzielali tę opinię. Kiedyś mieszkała w sąsiedztwie pewna dama o arystokratycznym rodowodzie, która żądała, aby zwracano się do niej, zachowując wszystkie należne jej tytuły. Gdy ktoś powiedział, że nie ma najmniejszego zamiaru stosować się do tych dziwactw, Jacky odparł spokojnie: „Ją to uszczęśliwi, a tobie korona z głowy nie spadnie”. Był bardzo swobodny w stosunkach z ludźmi, a z dziećmi wprost kochał się bawić. Rozdawał im czekoladki i lizaki po pensie za sztukę i rozdzielał największe porcje lodów, więc dzieci przychodziły po lody wyłącznie do niego.

Co rano obiegał miasteczko, wrzucając gazety do skrzynek na listy. To samo robił wieczorami, kiedy autobus przywiózł „Evening Echo”. Starszym ludziom, którym trudno było pójść do sklepu, dostarczał chleb i mleko do domu.

Kazać mu się szanować, to tak jakby próbować zatrzymać górski potok. Zawsze myślał szybko, a ruchy miał równie bystre jak umysł. Niepokoiliam się więc, widząc, jak Jacky przesuwa w sklepie skrzynie pełne butelek czy też pcha taczki w ogrodzie. Wspomniałam o tym doktorowi, który w ciągu lat okazał się szczerym przyjacielem i dobrym lekarzem. Udzielał porad, które łączyły znajomość natury ludzkiej z wiedzą medyczną.

- Wiesz, Alicjo - powiedział - nie trzeba robić z niego inwalidy. Odebrać mu niezależność to tyle, co go zabić, chociaż w inny sposób.

Wiedziałam, że doktor ma rację. Odtąd, ku wielkiej uldze Jacky'ego, przestałam go namawiać, aby zwolnił tempo. Pewnego wieczoru, sprzątając razem sklep, przenosiliśmy wspólnymi siłami skrzynie. Wracałam wtedy do zdrowia po grypie. Jacky spojrzał na mnie, uśmiechnął się szeroko i rzekł:

- Z nas obojga, Alicjo, można by ulepić jednego porządnego faceta.

Z wiekiem zaczął ruszać się wolniej, stopniowo wycofywał się ze sklepu i coraz więcej czasu spędzał w ukochanym ogrodzie. Przychodził jednak wieczorami, kiedy nie było ruchu, aby spotkać się ze starymi przyjaciółmi. Mieli niewyczerpane zapasy opowieści, którymi się ze sobą dzielili. Ale ich grupa malała, bo coraz to ktoś przenosił się do lepszego świata.

Codziennie rano Jacky szedł na Mszę świętą. Czasami, gdy niechcący zaskoczyłam go gdzieś w spokojnym kącie w domu czy w ogrodzie, zastawałam go na kolanach, zatopionego w cichej modlitwie. Między poranną Mszą

świętą a życiem codziennym nie było żadnego rozdźwięku, żadnej szczeliny. Tylko ktoś odczuwający wspólnotę duchową z „wyższymi rejonami" mógł być tak pełen radości życia jak Jacky.

Drugiego ataku serca dostał w mroźną noc listopadową. Kiedy ciocia Peg zawołała od schodów, żebyśmy prędko przyszli, wiedzieliśmy, że to musi być coś poważnego. Jacky leżał na wznak, oparty na poduszkach, blady i wstrząsany dreszczami. Lekarz natychmiast skierował go do

szpitala. Gabriel odwiózł wuja, a ja siedziałam z ciocią Peg w salonie, patrząc, jak szary świt wkłada się przez okno. Obie wiedziałyśmy, że nie ma porównania między tym atakiem serca a poprzednim, sprzed lat. Tamten był tylko grzmotem, ten - trzęsieniem ziemi. Gabriel wrócił i próbował przedstawić ciężki stan chorego w możliwie najdelikatniejszy sposób. Opowiedział mi później, że w drodze do szpitala Jacky wyszeptał: „Jeśli Pan Bóg zechce mnie teraz zabrać do siebie, pójdę szczęśliwy”. Ale Pan Bóg go nie zabrał. Przez kilka dni Jacky trwał zawieszony między życiem a śmiercią, a kiedy któregoś wieczoru odzyskał przytomność, pierwsze jego pytanie brzmiało: „Czy Cork wygrało mecz?” Drużyna Cork tej niedzieli brała udział w rozgrywkach pierwszej ligi i Jacky chciał znać rezultaty.

Pozostał w szpitalu sześć miesięcy. Siostry zakonne opiekowały się nim z niezwykłą troską. Odwiedzałam go co wieczór i za każdym razem podziwiałam, z jaką pogodą potrafi znosić ból. Kiedy usłyszałam, że zdaniem chirurga, trzeba mu będzie amputować nogę, aby zapobiec gangrenie, ogarnęła mnie zgroza na myśl, jak on przyjmie tę wiadomość. Ale Jacky zachował zwykłą pogodę ducha. Wróciłam do domu w lepszym nastroju, niż kiedy szłam do szpitala. Zamiast prosić o pociechę dla siebie, Jacky pocieszał innych.

Przez cały ten dramatyczny okres ciocia Peg cierpiała wraz z mężem, nie tracąc jednak nigdy poczucia humoru. Nie lubiła być sama, więc nasz syn Sean spał w łóżku Jacky'ego. Sypialnia mieściła się nad sklepem, była długa i wąska, stały w niej piękne stare meble, zrobione dla Peg i Jacky'ego przez zaprzyjaźnionego stolarza. Ciocia nauczyła Seana imion wszystkich

świętych na obrazach, które wisały rzędem na ścianach. Rzadko odwiedzała męża, bo nie lubiła szpitali, ale codziennie do niego pisała. Choćby wiadomości ze szpitala były nie wiem jak przygnębiające, ciocia Peg nie traciła nadziei. Przyjaciele z całego miasteczka odwiedzali ją regularnie i popijali herbatę albo coś mocniejszego, jeśli mieli ochotę.

Wreszcie Jacky wrócił do domu z drewnianą nogą, o dwóch kulach. Strach było patrzeć, jak ten człowiek - niegdyś o ruchach zwinnej górskiej kozicy - teraz ledwo się porusza na ciężkiej, nieforemnej drewnianej protezie. Jej ciężar był rzeczywiście nieprawdopodobny, po prostu przygwaźdżał go do ziemi. Ale Peg była zachwycona, że ma męża w domu. Z trudem wchodził po schodach, sypiał więc w małym pokoiku od frontu, w którym okno wychodziło na ulicę. Wczesnym rankiem Jacky leżąc w łóżku mógł obserwować przechodniów. Nadeszło już lato, więc w ciągu dnia siadywał w ogrodzie, gdzie czytał wszystkie gazety po kolei; towarzyszył mu jego piesek, Topsy, rozciągnięty w cieniu pod ogrodową ławką. Kampania wyborcza toczyła się właśnie z całym rozmachem; polityczne starcia, podliczanie głosów i analizy przebiegu wyborów wypełniały mu czas, bo polityka interesowała go nie mniej niż zwykle.

Sztuczna noga była niewygodna i zawadzała, ale chociaż ograniczone możliwości ruchu musiały sprawiać mu wielką przykrość, Jacky nigdy się nie skarżył. Czekał na wezwanie z kliniki rehabilitacyjnej Dun Laoghaire, w której pobyt miał mu częściowo przywrócić swobodę ruchów, a co za tym idzie, w dużym stopniu, niezależność. Zawiadomienie przyszło w lipcu. Miał go zawieźć Gabriel, ale w ostatniej chwili ciocia Peg poprosiła: „Alicjo, może ty byś też pojechała”? Wyruszyliśmy do Dublina w ciepły, słoneczny poranek. Kiedy zastanawialiśmy się, gdzie się zatrzymać na

obiad, po raz pierwszy zrozumiałam, jakim trudnym problemem dla inwalidy są

schody. Siedzieliśmy za stołem, śmiejąc się i gawędząc, co robiło wrażenie niemal zwykłej letniej wycieczki. Ale kiedy późnym popołudniem przyjechaliśmy do Dun Laoghaire, szybko wróciłam na ziemię. Było to dla mnie ważne doświadczenie: nauczyłam się, że istnieje świat, gdzie dzielni ludzie pływają pod prąd.

Umieściliśmy Jacky'ego w klinice i pożegnaliśmy się z nim w jadalni, gdzie usiadł do podwieczorku z osobami poruszającymi się z jeszcze większym trudem niż on. Ujęłam wuja za rękę i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach cały ogrom cierpienia, obaw i smutku: my jedziemy do domu, a jego zostawiamy tutaj samego. Szłam do wyjścia, a oczy miałam pełne łez.

W ciągu następnego tygodnia niemal codziennie przychodziły od niego listy; zapewniał, że czuje się dobrze i uczy się chodzić. Wszystkich mieszkańców miasteczka interesowały jego postępy. Odwiedzali ciocię Peg, dodając jej wiary, że Jacky wyzdrowieje. Ojciec Seamus również przychodził do nas regularnie, ale ostrzegł mnie: „Nie spodziewaj się zbyt wiele”. Ciocia Peg i ja pisałyśmy do Jacky'ego codziennie i posyłałyśmy mu gazety z Cork. Odnowiliśmy dom, żeby po powrocie miał niespodziankę, a Gabriel wybierał się do niego w niedzielę, kiedy miał być na meczu finałowym o puchar Irlandii z udziałem drużyny z Cork.

W piątek o siódmej rano zadzwonił telefon. Jacky zmarł spokojnie w nocy, we śnie. Usłyszałam tę wiadomość, ale nie mogła mi się pomieścić w głowie. Pomyślałam najpierw o cioci Peg. Jak jej o tym powiedzieć? Było jeszcze wcześnie, więc postanowiliśmy, że damy jej jeszcze trochę pospać.

Poszłam do pensjonatu, żeby przygotować herbatę dla gości; myśli wirowały mi bezładnie w głowie. Postawiłam trzy tacki z płatami bekonu na ruszcie i wszystkie spaliłam. Zastąpiła mnie w kuchni jedna z przyjaciółek.

Weszłam do cioci Peg, kiedy już wstała i zjadła śniadanie. Powiedziałam jej o mężu jak mogłam najdelikatniej. Najpierw krzyknęła: „Nie! Nie!”, a potem

spojrzała na mnie ze smutkiem i dodała: „I pomyśleć, że to się stało, kiedy tyle przecierpiał”. Tego dnia dowiedziałam się, że starsi ludzie bywają bardziej odporni niż młodzi. Wiadomość rozeszła się po miasteczku. Sąsiedzi, którzy w poprzednich tygodniach odwiedzali ciocię Peg, aby dodać jej otuchy, teraz przychodzili przez cały dzień, żeby ją pocieszyć. Trzymała się nad podziw dzielnie, obecność starych przyjaciół pomagała jej znieść ból. W takich chwilach ludzie potrzebują towarzystwa. Starzy przyjaciele śmiali się i płakali razem z ciocią Peg, wspominając wesołe i smutne chwile z czasów, gdy Jacky królował w sklepie. Ale najczęściej mówili o jego dobroci. Któraś z kobiet powiedziała do mnie: „Niech go Bóg błogosławi, w ciężkich czasach tylko dzięki niemu na wielu stołach było coś do jedzenia, na moim również. Wiedział, że nie zapłacimy, ale nigdy się nie upominał”.

Nazajutrz wraz z miejscowym przedsiębiorcą pogrzebowym i kilkoma przyjaciółmi pojechaliśmy do Dun Laoghaire, aby przewieźć Jacky'ego do domu. Zaprowadzono nas do kapliczki pogrzebowej. Od chwili, kiedy usłyszałam o jego śmierci, czułam wewnętrzny ból, ale gdy go zobaczyłam, ból ucichł. Jacky uśmiechał się i wyglądał tak, jakby dostał właśnie dobrą wiadomość. Jak mogliśmy się smucić, gdy on ma taką

wesołą minę? Ciocia Peg wyszła z kapliczki trochę spokojniejsza, a ja pomyślałam sobie, że Jacky pomaga nam nawet po śmierci.

W Dun Laoghaire czekali na nas ludzie, którzy byli w jakiś sposób związani z naszym miasteczkiem. Niektórzy mieszkali kiedyś z Innishannon i przeprowadzili się do Dublina. Inni mieli rodziców pochodzących z tamtych stron i często przyjeżdżali do nas na święta. Krewni zawiadomili ich, że Jacky zmarł, a oni przyjechali, by go pożegnać, co przyjęliśmy jako miły gest.

Po drodze do domu przejeżdżaliśmy przez miasteczka, gdzie ludzie na widok karawanu żegnali się znakiem krzyża świętego, co również niesło nam jakąś pociechę. Przedtem nigdy o tym nie myślałam. Powrót do domu był

ogromnie wzruszający. Przy wjeździe do miasteczka po obu stronach ulicy ustawili się członkowie klubu Valley Rovers. Starsi panowie o pooranych twarzach, którzy grywali kiedyś w piłkę nożną razem z Jackym, młodszy, których dopingował do wygranej, chłopcy, którym bandażował kije do gry w *hurling* i którym rozdawał czekoladki, wszyscy stali teraz w pełnej szacunku ciszy. Potem szli za karawanem przez całe miasteczko i wspięli się na wzgórze do kościoła, gdzie ojciec Seamus czekał, aby powitać Jacky'ego. W przedsionku stała kościelna Ellie, jego stara przyjaciółka. Na jej znak ministranci zaczęli dzwonić.

Kiedy wróciliśmy z kościoła, dom był pełen sąsiadów i dalekich krewnych. Ciocia Peg zdumiała mnie później, bo zapamiętała dokładnie, kto przyszedł, a kto nie, chociaż powinien. Mimo smutku, mimo znużenia długą drogą, zachowała jeszcze iskierkę humoru. Spojrzała przez całą długość jadalni na kuzynkę, której właściwie nigdy nie lubiła, i

powiedziała do mnie ze zmęczonym uśmiechem na pobladłej twarzy: „Spójrz na ten jej kapelusz. Mogłaby mieć więcej rozsądku na stare lata”.

Nazajutrz obudziłam się o świcie i poszłam do ogrodu Jacky'ego. Pełno było rosy, słońca i śpiewu ptaków. Przeszłam obok starej jabłoni, usiadłam na kamieniu tyłem do kurnika i napawałam się ciepłem i spokojem tego miejsca. Kury gdakały, budząc się na grzędach tuż za mną. To tutaj Jacky w pełnej harmonii z Panem Bogiem i naturą rozwinął w sobie głęboki wewnętrzny spokój, który sprawiał, że promieniował miłością do innych istot ludzkich. Śmierć wyzwoliła go z cierpień, ale jego duch został w pięknie, które stworzył. Białe motylki fruwały między kwiatami. Łzy płynęły mi po twarzy i czułam, że jest to chwila, kiedy znika granica między życiem doczesnym a przyszłym.

Resztę poranku spędziliśmy na cmentarzu pełnym słońca i ludzi, gdzie złożyliśmy ciało Jacky'ego na wieczny spoczynek. Pochowaliśmy go wśród starych przyjaciół. Białe motylki fruwały między modrzewiami, a ja patrzyłam na pochyloną postać cioci Peg i zastanawiałam się, jak też ona da sobie radę bez męża i jak my zdołamy wypełnić pustkę, którą Jacky po sobie zostawił. I poczułam tego gorącego dnia, że Jacky daje mi znak: będzie czekał i to czekanie nie potrwa długo.

Tego samego dnia drużyna Cork wygrała w finale mistrzostw Irlandii. Jacky z pewnością oglądał ten mecz; nawet nie musiał kupować biletu.

PRZYJACIELE I SĄSIEDZI

J

acky nie bał się śmierci, ale z ciocią Peg sprawy miały się zupełnie inaczej. Wkrótce po śmierci męża źle się poczuła. Doktor posłał ją na badania do szpitala. Nienawidziła szpitala. Protestowała gwałtownie przeciwko każdemu zastrzykowi, każdej rurce, które należały do szpitalnej rutyny. Wreszcie nie mogła już tam dłużej wytrzymać; zawsze była kobietą niezależną, więc wypisała się na własną prośbę i wróciła do domu, ku wielkiej irytacji lekarza prowadzącego i przełożonej pielęgniarek. W domu usiadła przy kominku w swoim saloniku i orzekła:

- Nie wrócę do szpitala. Jeśli mam umrzeć, to niech to się stanie tutaj, w moim własnym domu.

Spytałam o radę doktora.

65627 Ciocia Peg ma raka - powiedział. - I to dość zaawansowanego.

Można by ją zoperować, ale bez żadnej gwarancji. Jeśli chce zostać w domu, pozwólcie jej zostać.

65628 Czy będzie bardzo cierpiała?

65629 Nie, jeśli będzie miała odpowiednią opiekę lekarską, a ja przyjadę na każde zawołanie.

Dotrzymał obietnicy. W ciągu następnych miesięcy był dla nas oparciem.

Początkowo ciocia Peg schodziła codziennie po wąskich, wysokich schodach za sklepem, aby posiedzieć przy kominku w swoim saloniku.

Napisała dziesiątki listów w odpowiedzi na kondolencje, które jej przysłano po

śmierci męża. W nocy spało przy niej jedno z naszych dzieci. Słabła jednak coraz bardziej, wkrótce nie mogła już wstać o własnych siłach z łóżka, więc zastąpiłam przy niej mego synka Seana.

Dni, które teraz nastąpiły, były pełne niepokoju, smutku i samotności. Ale, co dziwne, zdarzały się też chwile bardzo zabawne. Ciocia Peg była posłuszną pacjentką, co ułatwiało opiekę nad nią, ale nie chciała umierać i czasami przyprawiała mnie o rozpacz. Gdy miała zły dzień, pytała żałośnie: „Czy ja umrę?” Nie odpowiadałam na to, bo następnego dnia mogła mieć lepszy nastrój, a nawet planować spacer po lesie. Nie chciałam odbierać jej radości tych dobrych dni, póki jeszcze je miewała. Zachowywała się tak, jakby nie chciała wiedzieć, co jej jest. W miarę jak słabła, coraz wyraźniej zdawała sobie z tego sprawę, ale nie chciała o tym mówić. Pewnej nocy zażyczyła sobie, abym otworzyła wysoką szafę w sypialni. „Wyjmij tę paczkę na górnej półce” - poprosiła. Tak też zrobiłam i położyłam paczkę na jej łóżku. Rozwinęła ją. Wewnątrz były dwa lniane białe prześcieradła, obszyte koronką poszewki na poduszki i ciężka kapa na łóżko, zrobiona szydełkiem. „Wiesz, po co to jest?” - spytała. Skinęłam głową, zawinęłam paczkę z powrotem i położyłam ją na półce. Usiadłam przy cioci Peg na łóżku, nie wiedząc, czy chce o tym rozmawiać, czy nie, ale chwyciła mnie za rękę i powiedziała: „Nie mówmy o tym więcej”. Nigdy już nie wspomniała o śmiertelnej pościeli. Zrozumiałam, że nie chce mówić o swoim odejściu.

I znowu odwiedzali ją krewni i znajomi. Jedna z kobiet, mając najlepsze intencje, straszliwie zirytowała staruszkę.

- Peg - powiedziała wylewnie - jak ty wspaniale wyglądasz.

Po jej wyjściu ciocia spojrzała na mnie znacząco i uśmiechnęła się:

- Czy ona ma mnie za idiotkę? Wiem dobrze, jak wyglądam.

Ktoś inny, znacznie mądrzejszy, przyniósł jej butelkę koniaku. Każdego wieczoru przed zaśnięciem uśmiechała się do mnie i powtarzała:

- No to po kropelce.

Nalewała dwa kieliszki.

- *Slainte** -mówiła podnosząc kieliszek. -Jeśli szybko nie umrę, zostaniesz alkoholiczką.

W jej długiej, wąskiej sypialni były dwa okna; jedno, od tyłu, wychodziło na ogród, a drugie na ulicę. Ciocia Peg przez całe życie potrzebowała bardzo mało snu. Często spędzała nocne godziny, wyglądając przez okno. Teraz, chociaż nie mogła już stać ani chodzić, dalej wstawiała z łóżka, mimo że groziło to upadkiem. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego nie może chodzić, bo sny plątały jej się z rzeczywistością, a we śnie chodziła bez trudu. Budziła się i opowiadała mi, że była na farmie pod miasteczkiem, dokąd prawdopodobnie przed laty często jeździła. I pytała mnie zdziwiona: „Jak to jest, że tam, na farmie, spaceruję sobie po polach, a tutaj nie mogę zrobić kroku?” Traciła jasność umysłu, wracała myślami do czasów swej młodości. Czasami przywidywało jej się, że w pokoju są zmarli krewni, najczęściej Jacky. Pytała mnie, czy też ich widzę. Stopniowo Jacky zacierał jej się w pamięci, a częściej mówiła o rodzicach i wczesnym dzieciństwie. Z głębin pamięci wypływały na powierzchnię dawno zapomniane krzywdy z tamtych lat.

Po raz pierwszy miałam pod opieką kogoś umierającego. Czułam, że umysł mi jałowuje, i kiedy ciocia Peg traciła kontakt ze światem, zdawało mi się, że idę jej śladem. Z ulgą wychodziłam z jej pokoju, schodziłam na dół pospacerować po ogrodzie, posłuchać śmiechu i krzyków dzieci w naszej kuchni. Ich energia dodawała mi sił, gdy stałam twarzą w twarz ze śmiertelną chorobą. Obserwowałam z zainteresowaniem, jak nasze dzieci odnoszą się do choroby cioci Peg. Starsi nastolatki

* Irl. Na zdrowie.

byli przygnębieni, a nawet wstrząśnięci tym, jak się zmieniała, ale dwaj młodszy chłopcy wpadali i wypadali z jej pokoju, tak jakby wszystko było w jak najlepszym porządku.

W ciągu tych miesięcy nasi przyjaciele i sąsiedzi wzruszali nas swą troskliwością. Odwiedzali nasz dom, gotowali nam, ale co najważniejsze, znajdowali czas, żeby posiedzieć i porozmawiać z chorą. Na Boże Narodzenie przyjaciółka przyniosła nam pełno ciasta z bakaliami. Szczególnie ucieszyły się z tego dzieci, bo już myślały, że będą miały święta bez ulubionego przysmaku. Kiedy w czasie styczniowych mrozów zabrakło prądu, pewien starszy pan zaniósł na górę grzejnik gazowy, żeby w pokoju cioci Peg było ciepło. Nasza sąsiadka, zwana Pielęgniarką, przychodziła czasem wieczorem, żeby posiedzieć parę godzin z chorą. To samo robiły przyjaciółki cioci. Mieliśmy wtedy do pomocy w sklepie wspaniałą dziewczynę o imieniu Anna, która chętnie pomagała nam także w innych sprawach. Kiedy w ciągu dnia musiałam opuścić pokój chorej, Anna biegała z góry na dół i z dołu na górę, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Było to bardzo ważne, bo ciągle się obawialiśmy, że

ciocia Peg wypadnie z łóżka. Zdarzało się to czasami, ale na szczęście nigdy nie zrobiła sobie krzywdy. Niemniej jednak kiedy po krótkiej nieobecności biegłam do niej na górę, zawsze dręczyły mnie obawy, że stało się coś złego. Myśleliśmy o niej ciągle, nawet gdy zajmowaliśmy się czymś innym, toteż kiedy ktoś przy niej siedział, był to dla nas prawdziwy odpoczynek. Wpuszczaliśmy do niej oczywiście tylko bliskich znajomych, chciała widzieć tylko tych, których znała i kochała. Była zawsze osobą religijną, to znaczy wypełniała regularnie obowiązki religijne, ale w obliczu nadchodzącej śmierci zarzuciła je wszystkie, jak gdyby nie przynosiły już żadnej pociechy. Twarz jej rozjaśniała się natomiast, kiedy do pokoju wchodził Gabriel, siadał na łóżku i brał ją za rękę. Bardziej niż modlitwy potrzebowała miłości.

Czekanie na jej powolną, nieuniknioną śmierć miało na mnie dziwny, hipnotyczny wpływ. Tak jakbym stała na brzegu morza i widząc zbliżający się nieubłagane przyływy czekała, aż wysoka fala zaleje ciocię Peg i zabierze ją ze sobą. Czasami chciałam, żeby ta fala już nadeszła, żeby to wreszcie się skończyło. Potem męczyło mnie poczucie winy, że mogłam sobie coś takiego pomyśleć. Ciocia Peg nie chciała umierać; zwisała ze skały, trzymając się jej kurczowo palcami, bojąc się puścić, czepiając się, chociaż coraz słabiej, życia. Miałam przedziwne wrażenie, że to ja ją trzymam; jeśli ją puszcze, spadnie, jeśli ją utrzymam - spadniemy razem. Spędzałyśmy ze sobą tak długie godziny, że obie znajdowałyśmy się na uboczu normalnego świata. Jej pokój stał się ośrodkiem mojego życia. W pewien szary dzień marcowy wspólnie z doktorem przeanalizowaliśmy sytuację. Przychodził regularnie, podtrzymując nas na duchu. Ponieważ ciocia Peg była do mnie

przyzwyczajona i dobrze się rozumiałyśmy, nie chciałam jej narażać na obecność kogoś innego w nocy. Ale w końcu nie dało się tego uniknąć, gdyby obecna sytuacja miała się jeszcze tak ciągnąć.

65630 Jak długo jeszcze to może potrwać? - spytałam lekarza, czując się winna, że zadaję takie pytanie, bo brzmiało to tak, jakbym chciała, żeby ciocia Peg szybko umarła.

65631 Z końcem tygodnia będzie po wszystkim - odparł. Miał rację, jak zwykle w czasie jej choroby. Ciocia Peg zasypiała na długo, a gdy się budziła, była przez kilka minut całkowicie przytomna. Raz poprosiła, żebym jej dała pudełko z kosztownościami. Obejrzała je wszystkie, uśmiechnęła się i znów zasnęła. Innym razem popatrzyła na mnie i powiedziała: „Nie spodobałaś mi się, kiedy przyszłaś do nas po raz pierwszy. Uważałam, że jesteś za młoda, za głupia i masz zwariowane pomysły”. I uśmiechnęła się jak dawniej.

Stopniowo sypiała coraz dłużej, a pewnego słotnego wieczoru, kiedy zimny wiatr bił deszczem o szyby, zapadła w śpiączkę.

Ojciec Seamus, który odwiedzał chorą regularnie, odmówił modlitwę za umierających i namaścił ją olejami

świętymi. Zastanawiałam się, czy ciocia Peg jeszcze nas słyszy. Gabriel z dwojgiem młodszych dzieci stanął przy łóżku. Dwóch starszych chłopców wolało na to nie patrzeć i uznaliśmy, że trzeba im zostawić swobodę wyboru. Sean, który miał wtedy dziesięć lat, zawsze był szczególnie bliski cioci Peg. Dotknął teraz jej twarzy i ułożył mocno wysłużone paciorki różańca wokół palców umierającej. Miałam nadzieję, że ciocia Peg odczuwa jego obecność. Płynęły nocne godziny, a jej oddech stawał się coraz cięższy. Przyszła siostrzenica Peg, Agnes, i usiadła przy łóżku, a ja

położyłam się w sąsiednim pokoju i zaraz mi się przyśniło, że spadam z wysokiej skały.

Długo trwało, zanim ciocia Peg umarła. Przysłuchiwanie i przypatrywanie się temu było męką. Betsy, jej przyjaciółka, okazała się bardziej pomocna niż ja. Nieoceniona Pielęgniarka, zawsze sprawna i spokojna, siadywała już przy wielu łóżach śmierci w naszej parafii. Uspokajała kobietę w łóżku i kobietę stojącą bezradnie przy łóżku. Kiedy w połowie dnia charczenie ustało, zapanowała pełna ulgi cisza. Długi, wąski pokój, ciocię Peg i mnie ogarnął wielki spokój. Życie z niej odpływało, a ja byłam również wyzuta z wszelkich sił życiowych, jakby odchodziły razem z nią. Dopiero kiedy zeszłam na dół i otworzyłam drzwi do saloniku, uderzyła mnie nieodwracalność tego, co się stało. Pojęłam, że drobiazgi, które gromadziła i ceniła przez całe życie, będą teraz bezpańskie, że już nigdy nie usiądzie w tym pokoju, gdzie spędziła większą część życia. Nie ma odwołania od śmierci - pomyślałam. Nie była to myśl odkrywczą, ale przeniknęła mnie do szpiku kości.

Potem razem z Gabrielem zawinęliśmy ją w koc i zanieśliśmy przez pełen kwitnących żonkili ogród do frontowego pokoju w naszym pensjonacie. Tam miała być ubrana do trumny, tam było miejsce dla ludzi, którzy chcieli czuwać przy jej zwłokach. Podczas gdy Pielęgniarka i Betsy ją ubierały, narwałam pęki żonkili, które ciocia Peg tak lubiła, i ułożyłam je dokoła łóżka między zapalonymi świecami. Przyszła teraz jej kolej skorzystać

z miedzianych, błyszczących świeczników, które wędrowały przez lata po całym miasteczku, oświetlając niejedne zwłoki. Ciocia Peg czyściła je i polerowała, trzymając w gotowości. Łóżko posłałam prześcieradłami i

kapa, które mi pokazała przed kilkoma miesiącami.

Nie wiedzieliśmy, jak zareagują na to wszystko dzieci, kiedy wrócą ze szkoły. Wzięłam dwójkę młodszych do rozświetlonego świecami pokoju. Popatrzyli przez chwilę w milczeniu na ciocię Peg, a potem Sean zdjął różaniec z jej palców i powiedział:

- To nie ten. Ciociami mówiła, żeby kiedy umrze, dać jej stary, czarny różaniec. Zaraz go przyniosę.

Wybiegł z pokoju i wrócił ze starym różańcem. Widocznie omówili to ze sobą szczegółowo, ku mojemu zdziwieniu. Siedmioletni Diarmuid wyszedł szybko z domu i sprowadził wszystkich swoich kolegów z miasteczka. Kazał im uklęknąć i zmówić modlitwę, uprzedzając, że nie wolno się śmiać, bo sprawa jest bardzo poważna. Nie śmieli się, aleja się uśmiechałam, gdy patrzyłam na mego synka, stojącego przed żałobnikami i pilnującego ich surowo.

Ciocia Peg tak długo stanowiła nieodłączną część życia miasteczka, że czuwać nad jej zwłokami należało w samym jego centrum. A że zmarła po południu, czuwanie trwało do następnego wieczoru. Nieprzerwany potok ludzi ciągnął przez dom. Wielu sąsiadów przesiedziało przy zwłokach całą noc, rozmawiając cichutko. Kiedy wiadomość rozeszła się po parafii, zaczęli przybywać starzy przyjaciele, aby się z nią pożegnać. Wszystko odbywało się w całkowitym spokoju.

PÓŹNE MACIERZYŃSTWO

ie ma na świecie idealnej matki, bo macierzyństwo wymaga połączenia młodzieńczej żywotności z mądrością wieku dojrzałego. Urodziłam czwórkę dzieci, podtrzymywana wyłącznie młodzieńczą żywotnością. Kiedy wkrótce po śmierci cioci Peg znów zaszłam w ciążę, dowiedziałam się, jak wygląda macierzyństwo, które może nie tyle korzystać z dobrodziejstw, jakie daje mądrość wieku dojrzałego, ile przynajmniej - dzięki doświadczeniu, które przynosi wiek - zyskuje na odporności.

Wydawało mi się, że nasze dzieci nauczyły się już zachowywać w sposób na tyle ucywilizowany, że można było się z nimi do obiadu, nie obawiając się, że najmłodszy syn wyleje zawartość talerza na głowę gościa albo przewróci łokciem sosjerkę. Toteż gdy tego roku nasz najmłodszy synek poszedł do Pierwszej Komunii świętej, udaliśmy się wszyscy na obiad do restauracji. Dotychczas obchodziliśmy rodzinne uroczystości w domu, w towarzystwie Jacky'ego i Peg. Teraz obojga nie było już na świecie i świętując tak jak zawsze, odczulibyśmy ich brak szczególnie boleśnie. Spędziliśmy ten dzień wspaniale, a ja czułam, że jest to kamień milowy na drodze mojego macierzyństwa, że po raz ostatni obchodzimy w naszej rodzinie Pierwszą Komunię świętą. Tak nam się tylko zdawało.

Kiedy się okazało, że jestem w ciąży, bardzo byliśmy ciekawi, jak na to zareagują nasi synowie. Postanowiliśmy powiedzieć im o tym wcześniej i

ze szczegółami, abyśmy mogli razem przeżyć miesiące mojej ciąży. Dwaj młodszy byli zachwyceni nowiną. Pojawienie się nowego dziecka zafascynowało ich nie mniej niż nowy piesek; problem polegał na tym, że chcieli, żeby niemowlę pojawiło się natychmiast. Co do dwójki starszych, to jeden nastolatek zauważył z szerokim uśmiechem: „No, no, cuda się zdarzają”, a drugi spojrzął na mnie z rozbawieniem i powiedział: „Brawo, mamo, myślałem, że masz to już za sobą”. Jakoś przełknęłam te reakcje. Mój brzuch rósł i byłam ciekawa, jak to nowe maleństwo będzie pasowało do naszego niemal wyłącznie męskiego gospodarstwa. Okazało się, że zamiast jednego mężczyzny, który mnie prosił, abym się położyła i odpoczęła, miałam teraz pięciu; traktowali mnie jak królową matkę. Ponieważ był to pewnie mój łabędzi śpiew, jeśli chodzi o ciążę, postanowiłam nacieszyć się swoim błogosławionym stanem.

Niemowlęta miały zwyczaj rozstawać się ze mną przedwcześnie, więc przygotowałam się do porodu na Boże Narodzenie, całe tygodnie przed terminem. Ledwo wytrzymałam święta w domu i zaraz potem, na św. Stefana, poszłam do kliniki. Leżąc na sali porodowej, myślałam sobie, jak wiele się zmieniło od czasu, gdy byłam tu po raz pierwszy. Wtedy szpital był pełen krzątający, biegających pielęgniarek, jęczących kobiet, jeżdżących wózków, wiecznie śpieszących się lekarzy, czasami krzyku dziecka. Teraz wszędzie panował spokój. Wydawało się, że mam całe piętro dla siebie. Zdecydowanie wyż demograficzny się skończył.

Rzadko się zdarza naprawdę bezbolesny poród, ale ja tym razem rodziłam prawie bez bólu. Kiedy położnik uniósł noworodka w górę, pierwsze moje pytanie brzmiało:

- Zdrowy?

- Śliczny dzieciak - odpowiedział. -Tylko nie zdrowy, ale zdrowa, bo to dziewczynka.

Tak się ucieszyłam, że rozplakałam się z radości. Mogłabym przetańczyć całą drogę do domu i z powrotem.

Mroźna śnieżycza zasypała cały kraj i dotarcie do kliniki zabrało Gabrielowi cztery godziny. Był to cudowny dzień szczęścia. Jako drugi z rodziny odwiedził mnie mój najstarszy syn; wstąpił do kliniki, wracając z treningu piłkarskiego. Kiedy usłyszał nowinę, cały się rozpromienił. „Dobrze się spisałaś, mamó!” -zawołał i klepnął mnie po plecach, jak gdybym wygrała finał o mistrzostwo hrabstwa.

Po przybyciu do domu córeczka stała się ośrodkiem zainteresowania całej rodziny. Przed jej przyjściem na świat trochę się obawialiśmy powrotu do pieluszek i nocnego karmienia, ale nie wyobrażaliśmy sobie wtedy, jaką pomocą będą nam dorastające dzieci. Stwierdziłam, że późne macierzyństwo ma duże zalety.

IDZIE NOWE

N

adeszła chwila, kiedy należało otworzyć nowy etap w handlowym życiu miasteczka i zamknąć stary rozdział w naszym życiu. Tradycyjny małomiasteczkowy sklep nie mógł już podołać rosnącym wymaganiom mieszkańców. Irlandia przystąpiła do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, co wpłynęło ożywczo na jej gospodarkę. Ceny gruntu i pensje podniosły się gwałtownie. Ludzie mieli więcej pieniędzy, pewniej stanęli na nogach, a gusty stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Z powodu rosnącej specjalizacji upraw rolnikom przestało się opłacać hodowanie własnych kur i sadzenie kartofli i warzyw. Kończyły się czasy, kiedy rolnicy zarzynali własne prosiaki i uprawiali kapustę, którą gotowali ze słoniną. Zamiast wydobywać wszystkie potrzebne produkty z ziemi, ustawiali się teraz po nie w kolejce.

Mieszkańcy miasteczka także przestali uprawiać własne ogródki, zniknęły też kurniki. Masowa produkcja w wyspecjalizowanych gospodarstwach sprawiła, że taniej wypadało kupować warzywa, niż je hodować. Przestano piec chleb w domu, bo na rynku pojawił się bogaty wybór pieczywa i ciastek wypiekanych taśmowo. Mrożonki i gotowe dania zastąpiły tradycyjne, wymagające dużo czasu metody gotowania posiłków. Ludzie mogli sobie pozwolić na większy luksus, coraz więcej produk-

tów dostarczano w atrakcyjnych opakowaniach, budziły się w nas potrzeby, o których dotychczas nawet nie wiedzieliśmy. Klienci płacili teraz gotówką, już nie zapisywało się zakupów na rachunek w zeszytach, można więc było obniżyć ceny, co klientela przyjęła z zadowoleniem.

Ludzie z miasteczka jeździli do Cork, by robić zakupy w nowych supermarketach. Uznaliśmy, że czas już założyć na miejscu własny supermarket. Wymagało to jednak olbrzymich nakładów finansowych. Wprawdzie przyszedliśmy już do siebie po poprzednich inwestycjach, ale nie mieliśmy środków, które by pozwoliły przekształcić małomiasteczkowy sklepik w nowoczesny supermarket, obudowany półkami i posiadający lamy chłodnicze. Kiedy przed laty po raz pierwszy zabieraliśmy się do prac budowlanych, natknęliśmy się na opór banków, które odmówiły nam kredytu. Teraz, choć trudno było w to uwierzyć, spotkało nas to samo.

Udaliśmy się do dyrektora banku, trzymając pokornie czapkę w rękę. Po długich, ponurych wywodach na temat niemożności udzielenia pożyczki obiecał - jak kiedyś - zwrócić się do centrali i zawiadomić nas o rezultatach.

Jak tylko mała zaczęła sypiać przez całą noc, a zima schowała się za horyzontem, przystąpiliśmy do pracy przy nowym supermarkecie. Już przedtem przeprowadziliśmy się do narożnego domu, więc nareszcie wszystko mieściło się pod jednym dachem. Narożny dom przestał być pensjonatem, chociaż nadal wynajmowaliśmy część mieszkań. Dom był duży, pojemny, każdy miał w nim więcej miejsca dla siebie, co stanowiło ogromną zaletę, kiedy mali chłopcy zaczęli wyrastać na długonogich nastolatków.

Smutno nam było burzyć stary dom. Z ciężkim sercem ogołacaliśmy

pokoje, w których mieszkało wiele pokoleń tej samej rodziny. Ze względów sentymentalnych nie chcieliśmy wyrzucać drobnych, niewiele wartych materialnie skarbów rodzinnych, jednak nie mogliśmy zachować wszystkiego. Ściany wymalowane przeze mnie i ciotkę Peg na czerwono na powitanie Jacky'ego, kiedy miał wrócić do domu, pokoik, w którym wuj spał, gdy już nie mógł wchodzić po schodach, kominek, przy którym nasz pierworodny stawiał pierwsze kroki - wszystko to trzeba było zburzyć. Tyle ważnych spraw działo się w tych kątach. Najbardziej jednak żałowałam ogrodu Jacky'ego z pnącymi różami, wijącymi się po drewnianym ogrodzeniu. Musieliśmy jednak zapłacić tę cenę, aby przeżyć. Dni małomiasteczkowego sklepiku minęły bezpowrotnie. Na szczęście drzewo znajdujące się w bardzo niewygodnym miejscu, tuż przy tylnej ścianie nowego budynku, przetrwało.

Przed wieloma laty patrzyliśmy z Jackym na małe drzewko ostrokrzewu. Powiedział wtedy: „Pewnie będziecie musieli rozbudować dom w tę stronę. Mnie już nie będzie, ale postaraj się zachować to drzewo. Długo trwa, zanim ostrokrzew dorośnie. Dobrze by było, gdybyś go uratowała”.

Zaczęliśmy rozbudowę domu, kiedy drzewko wyrosło już ponad moją głowę. Postanowiłam, że nie pozwolę go zniszczyć. Kiedy Tony, niwelując teren, musiał manewrować wokół niego buldożerem, irytował się: „Poszłoby mi o wiele łatwiej, gdyby nie to pani cholerne drzewo”. Ale ja pamiętałam słowa Jacky'ego i nie ustąpiłam. Po paru latach znów musiałam się uprzeć, kiedy nazbyt gorliwy inspektor do spraw higieny uznał, że drzewo znajduje się za blisko drzwi prowadzących do działu mięsnego. „Uważam, że trzeba je ściąć” -zawyrokował. „Po moim trupie”, odparłam, patrząc mu prosto w oczy.

W ciągu długich miesięcy, jakie zajęła budowa supermarketu, myślałam czasem, że padnę trupem i zostanę na zawsze w jego fundamentach. Ale Gabriel umiał z determinacją pokonywać największe przeszkody. Zresztą nabraliśmy dużo doświadczenia na poprzedniej budowie. Wiedzieliśmy, że nikt nie dostarcza materiałów na czas; wiedzieliśmy też, że jeśli nam się zdaje, że coś będzie kosztować sto funtów, to w końcu przyjdzie zapłacić dwieście pięćdziesiąt. Na szczęście mieliśmy znów na budowie naszych starych przyjaciół, Jerry'ego i Daveya.

Pracowali nadzwyczajnie i ściany rosły wokół nas tak szybko, jakbyśmy mieli dwa razy więcej robotników. Stary sklep, oddzielony od budowy grubą, plastikową zasłoną, działał nadal mimo kurzu i bałaganu. Gabriel dzielił swe siły między stary sklep a budowę, a po lekcjach i w weekendy pomagali nam synowie. Mieszali beton, ciągnęli bloki, odmierzali deski zgodnie z szybkimi, niecierpliwymi wskazówkami Jerry'ego. Pracowali wszyscy, nawet nasza córeczka siedziała w wózku i przyglądała się z zainteresowaniem. Gdy roboty trwały już w najlepsze, wybuchła bomba: bank odmówił pożyczki. W starym sklepie nie było już wówczas tylnej ściany ani dachu. Dostałam zadanie uspokojenia dyrektora banku. Nie przyszło mi to wcale łatwo. Pewnego dnia siedziałam przed dyrektorskim gabinetem i czekałam na burę z powodu stanu naszego konta. Wyjęłam wtedy notes i zapisałam: „Co może być bardziej upokarzającego niż siedzenie na twardym krześle przed gabinetem dyrektora banku i czekanie, aż przyjdzie tłumaczyć się, dlaczego przekroczyliśmy stan konta? Dziś czwartek, słoneczny, ciepły dzień, mogłabym go spędzić wesoło i radośnie na spacerze. Zamiast tego siedzę tu spętana finansowymi powrozami, które zabijają moją radość życia. Ale po co ja się tym przejmuję, przecież

to wszystko minie. Może tracę wiarę w siebie. Pieniądze, a raczej ich brak, nie powinien być dla nikogo powodem ponizenia. Ludzie sami wybudowali sobie ograniczenia, mury, które górują nad nami jak wieże. Gdy się zawalą, pogrzebią nas pod sobą albo podusimy się w pyle ich ruin. Może to nigdy nie nastąpi, ale i tak się nacierpimy, czekając pełni lęku na katastrofę. Czy to możliwe..."

W tym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu dyrektora. Ta notatka została jako świadectwo czasu, kiedy między nami a dyrektorem banku trwała regularna wymiana zdań, a tylko soboty i niedziele chroniły nas przed jego telefonami. Zdarza się jednak, że nie zdajemy sobie sprawy, jak nam dobrze, póki nie zrobi się gorzej.

Po paru tygodniach urząd podatkowy postanowił umilić nam życie, żądając zapłaty podatków, sięgających jeszcze czasów Jacky'ego; wymagali zapłacenia takiej sumy, że gdyby Jack żył, z pewnością dostałby zawału.

Siedzieliśmy więc w finansowym dołku, otoczeni niebotycznymi górami. I pewnie gdybyśmy tylko się zamartwiali, zostalibyśmy tak na zawsze, aż by nas pochowano. Cały czas mieliśmy jednak przed oczami nasz cel, bo wiedzieliśmy, że wcześniej czy później ze wszystkim się uporamy. I w końcu, bardzo powoli, zaczęła się nasza finansowa wspinaczka.

Jeśli nie brać pod uwagę kłopotów finansowych, był to okres podniecający, okres wyzwań, w którym mieliśmy także jaśniejsze momenty. Kiedy musieliśmy zburzyć ścianę za urzędem pocztowym, włożyliśmy wszystkie urządzenia do wielkiego tekturowego pudła. Pewien żwawy, utytułowany Anglik, który mieszkał w pobliżu, wstąpił do nas kiedyś i zapytał: „Przepraszam panią, gdzie się podział nasz urząd

pocztowy?" Wskazałam mu pudło. „Coś takiego - odpowiedział, zajrzawszy do środka - mamy rzeczywiście niezwykłą pocztę. Poczta Jej Królewskiej Mości nic podobnego jeszcze nie widziała."

Z chaosu wyłaniał się stopniowo porządek. Ułożono posadzkę z płytek ceramicznych, pochowano wiszące luzem kable elektryczne, zainstalowano lodówki, a półki zapełniono towarami. O szóstej wieczór w przeddzień oficjalnego otwarcia brakowało już tylko dwóch rzeczy: frontowych drzwi i okien. Wydawało się, że po raz pierwszy w Irlandii zostanie otwarty supermarket bez drzwi wejściowych. Miały być wstawione przed tygodniem. „Jutro na pewno je przywieziemy" - zapewniali dostawcy. Ale teraz ściana ziała czterema dziurami, a my nie mieliśmy ani kawałka szkła, aby je zasłonić. Rozstawialiśmy towary na półkach, czas mijał, a drzwi i okien jak nie było, tak nie było. Gorączkowo nakręcałam numery dostawców, ciskałam gromy przez telefon. Przyjechali o dziesiątej wieczór. O trzeciej rano okna były wstawione, obrotowe drzwi się kręciły, stolarze odjechali. Tylko trzeba było to wszystko jeszcze porządnie umyć. Myłam więc okna o czwartej nad ranem w pogodną noc październikową. Drogą przejechał jeden jedyny samochód. Kierowca zwolnił, zatrzymał się, włączył tylny bieg. Przyjrzał mi się uważnie, przeżegnał się i pojechał dalej.

Oficjalnego otwarcia dokonała siostra Jacky'ego, Molly. Stanowiła ogniwo łączące dawne i nowe czasy, gdyż urodziła się w domu, na miejscu którego stał teraz nasz supermarket. Przed wejściem zgromadziła się cała ludność miasteczka. Kiedy tak staliśmy wśród sąsiadów i przyjaciół, cieszących się razem z nami, zapomnieliśmy o zmęczeniu i napięciu. Wypiliśmy szampana i ogarnęła nas cudowna euforia. Ojciec Seamus

pobłogosławił sklep. Poprosił o wodę święconą, a ja pobiegłam do kuchni, choć wiedziałam, że po wielu miesiącach rozgardiaszu nie uda mi się jej znaleźć. Odkręciłam kran, nalałam do butelki wody, wsypałam soli i wracając przez korytarz, poprosiłam Boga, aby ją poświęcił.

Ale jeszcze coś nas trapiło. Nie chcieliśmy, aby nasz supermarket był całkowicie pozbawiony nastroju dawnego małomiasteczkowego sklepu. Nie chcieliśmy, żeby stał się bezduszną maszyną do robienia zakupów. Po prostu nie chcieliśmy stracić smaku naszego wiejskiego życia. I stało się tak, jak marzyliśmy, w nowym lokalu zapanowała dokładnie taka sama atmosfera jak w dawnym sklepie „U Jacky'ego”. Klienci gawędzili ze sobą w przejściach między półkami, głośno się nawzajem pozdrawiali. W małej miejscowości zakupy nie sprowadzają się do nabywania towarów. Sklep to miejsce, gdzie można się spotkać i pogadać, gdzie kwitnie życie towarzyskie. Właściwie mogliśmy więc nie obawiać się, że nasi klienci porzucą dawne zwyczaje i staną się anonimowymi konsumentami. Często wprowadzali wesoły nastrój. Jeden z miejscowych klientów szukał któregoś dnia herbaty na półkach.

- Poczekaj, przyniosę ci, jakiej chcesz marki? Barry?

- Oczywiście, że Barry, na miłość boską, nie przypuszczasz chyba, że będę pił herbatę koalicyjną* - odpowiedział.

Nawet herbata pachniała polityką. Inne produkty też miały swój smaczek. Nadawano im różne nazwy, przekręcano je, śmiesznie wymawiano. Mieliśmy wtedy w dziale mięsnym kurczaki paczkowane po dwie niewielkie sztuki. Przyszedł kiedyś sąsiad kupić takie pudełko, ale okazało się, że w kartonie został tylko jeden kurczak. „A gdzie się to drugie kurwiątko podziało?” - spytał.

Zaczęliśmy więc prowadzić supermarket. Praca była ciężka, ale dzięki naszej klienteli interesująca. Ceniliśmy ludzi, którzy przychodzili do nas po zakupy; gdyby nie oni, zaginęłaby jeszcze jedna miasteczkowa tradycja. Właścicielami wielu sklepów w miasteczku byli starsi ludzie. Nie robili żadnych zmian. Po ich śmierci sklepy po prostu zamykano. Tak też się stało z małym sklepikiem ze słodyczami należącym do Ellie i Nonie.

* Tzn. mieszaną, z różnych gatunków. Aluzja do rządów koalicyjnych w Irlandii (przyp. tłum.).

PANI KOŚCIELNA

S

tara pani McCarthy przez całe życie pracowała w kościele, a gdy umarła, tę funkcję przejęła po niej córka, Nonie, uważając to nie tyle za obowiązek, ile za rodzinny spadek. Nonie znała na pamięć całą historię cmentarza otaczającego kościół. Wiedziała, kto jest w którym kącie pochowany, kto leży w bezimiennym grobie lub pod zwykłym kamieniem, bez żadnego napisu. Kamienie takie były poprzednikami nagrobków. Aby zapamiętać, gdzie jest czyj grób rodzinny, ludzie odmierzali odległość między nimi albo odległość kamienia od kościoła lub nawet od najbliższego rowu.

Nonie, mała i przygarbiona, mówiła cichym głosem. Organizowała śluby, pogrzeby i chrzciny i była źródłem informacji o wszystkich wydarzeniach kościelnych, zarówno tych dawnych, jak obecnych. Zajmowała się wszystkim oprócz odprawiania Mszy świętej i słuchania spowiedzi, chociaż znała życie parafialne tak dogłębnie, że pewnie wiedziała mniej więcej, o czym jest mowa w konfesjonale. Prała także bieliznę kościelną i zbierała na tacę. Klienci pubów i sklepów przychodzili do niej rozmieniać pieniądze, bo zawsze miała pełno drobnych - brązowe pensy złożone w niedzielę na tacy często już na początku tygodnia wracały do poprzednich właścicieli. Doglądała też przychodni, żeby sobie dorobić, a poza tym miała sklepik ze słodyczami, który nazywał się po prostu „U Nonie”. Był tak maleńki, że mieścił się w nim tylko jeden kupujący, a wpadały do niego głównie dzieci w drodze do szkoły lub ze szkoły, ściskając pensy w piąstkach. Kremowego koloru lada pokryta kawałkiem

wystrzępionego brązowego linoleum była bardzo wysoka, a klienci Nonie bardzo mali, więc rozpoznawała ich po czubkach głów. Na lewo od zbitych z listewek drzwi było okienko, zastawione puszkami i płaskimi pudełkami pełnymi najrozmaitszych łakoci. Dzieci oglądały słodycze, przyciskając nosy do szyby i zasłaniając światło, tak że w sklepiku robiło się zupełnie ciemno. Wpychały się do środka, załatwiały sprawę przy ladzie i wychodziły ze sklepu z długimi jak sznurek cukierkami Black Jack lub słodkimi pałeczkami Peggy's Leg, sterczącymi im w zębach jak cygara. Kupowały też twarde czekoladki za pensa i toffi, nazywane Cleeves, także po pensie za garść - można je było ssać godzinami.

W starszym wieku Nonie zaczęła chorować na art-retyzm. Jej siostra, Ellie, wróciła do domu, aby się nią zaopiekować i przejąć obowiązki, bo Nonie, mała i słabowita, ugiwała się pod ciężarem pracy. W przeciwieństwie do niej Ellie była rosła i silna, a przy tym niczym się nie przejmowała. Nonie traktowała pracę w kościele jako dziedziczny zaszczyt, Ellie uważała ją za powinność narzuconą przez okoliczności. Nie brała sobie niczego zbyt do serca. Chrzciny, pogrzeby, śluby, proboszczowie, biskupi, wszystko i wszystkich traktowała ze spokojną determinacją.

W miarę upływu czasu w parafii zbudowano wiele nowych domów i Ellie przybyło pracy zarówno w kościele, jak i w przychodni. Do tego stan Nonie tak się pogorszył, że poruszała się na wózku inwalidzkim. Ellie jednak nie traciła humoru. Miała ponad osiemdziesiątkę, ale wyglądała młodziej, bo nie dokuczała jej żadna dolegliwość podeszłego wieku. Wysokiego wzrostu i solidnej budowy, o miłej, szerokiej twarzy, trzymała się prosto i miała ciągle piękną czuprynę kasztanowych włosów

przyprószonych siwizną. Jediną oznaką mijających lat była jej głuchota, ale i tego nikt, kto jej dobrze nie znał, nie dostrzegał. Ellie potrafiła zręcznie poprowadzić rozmowę w dogodnym dla siebie kierunku. Kiedy coś do niej mówiłeś, potakiwała z uśmiechem i nigdy nie miałaś pewności, czy cię usłyszała. Sama mówiła bardzo niewiele, ale wyraz jej twarzy czy kiwnięcie głową było wystarczającym komentarzem. Nie znałam nikogo poza nią, kto tak potrafiłby prowadzić rozmowę, nie otwierając ust. Kiedy jednak coś ją zirytowało, wyrażała bez ogródek swoje zdanie. Nie była wprawdzie skłonna do wylewnych uczuć, ale kiedy kościół tonął w kwiatach z okazji ślubu, jej twarz jaśniała. Kochała świeże kwiaty; na widok plastikowych wieńców na pogrzebach ciężko wzdychała. Wiedziała o wszystkim, co się działo w miasteczku, ale nie wyrażała swojego zdania. Ustawiała dzieci do Pierwszej Komunii świętej, utrzymywała porządek wśród ministrantów. Kiedy na wzgórze wjeżdżał karawan, przywożąc zmarłego parafianina do kościoła, Ellie stała w kruch-cie jako jednoosobowa warta honorowa, a ministranci dyżurowali przy dzwonach. Była absolutnie niezawodna. Codziennie rano przed pierwszą Mszą świętą otwierała kościół. Po Mszy otwierała sklepik ze słodyczami dla dzieci idących do szkoły, a później schodziła ze wzgórza, aby otworzyć przychodnię. Nigdy się nie spieszyła, chodziła miarowym krokiem i jeszcze znajdowała czas dla cierpiącej Nonie. Opiekowała się nią troskliwie, ale bardzo stanowczo. Umysł Nonie często błądził, ale Ellie sprowadzała go na ziemię. Czasami pod nieobecność siostry Nonie nakrywała do stołu na trzy osoby. Ellie pytała po powrocie do domu:

65632Dla kogo jest trzecie nakrycie?

65633Dla Jacka.

65634Wielkie nieba! - wykrzykiwała zniecierpliwiona. - Jack od dwudziestu lat leży na cmentarzu na wzgórzu. Wątpię, czy zejdzie tu na kolację.

Przez całe lata trzeźwość i stanowczość Ellie utrzymywały Nonie w realnym świecie, inaczej dawno by się jej pomieszało w głowie. Dla Ellie obowiązek nie był pustym słowem. Wykonywała to, co do niej należało, z niezachwianym przekonaniem, że życie narzuca każdemu jakieś powinności i każdy powinien wykonywać swe zadania najlepiej, jak umie. Mimo podeszłego wieku pracowała o wiele więcej niż niejedna znacznie młodsza kobieta. Wspomniałam kiedyś w rozmowie, jak podziwiam jej energię.

- Któregoś dnia padnę martwa jak kamień i wszystko się skończy - roześmiała się.

Ojciec Seamus bardzo ją szanował, a ona lubiła go najbardziej ze wszystkich księży, z którymi pracowała, choć nigdy mu tego nie powiedziała. Przeciwnie, traktowała go jak niesforne go syna. Kiedy pewnego razu wrócił z urlopu, szepnęła mi na ucho: „Wiem, że wrócił, ale nie mam zamiaru go pytać, jak spędził urlop, bo nie raczył mnie uprzedzić, że wyjeżdża”. Naturalnie mówił jej o tym, ale ona nie usłyszała.

Od chwili, kiedy objęła obowiązki kościelnej, ani razu się nie spóźniła z porannym otwarciem kościoła. Toteż gdy pewnego ranka nie było jej na miejscu, wiedzieliśmy, że musiało się stać coś poważnego. W nocy dostała silnych bólów w nodze i ojciec Seamus zawiózł ją do szpitala. Jej nieobecność odczuło całe miasteczko. Nie miał kto otworzyć przychodni, dzieci zastały swój sklep zamknięty, Nonie została bez opieki, a parafii zabrakło kogoś, kto doglądał wszystkich spraw kościelnych.

Lekarz załatwił łóżko w pobliskim wiejskim szpitaliku również dla Nonie. Dwie sąsiadki w oczekiwaniu na powrót sióstr posprzątały ich domek. Ojciec Seamus odwiedził Ellie kilka razy tego dnia i oznajmił nam, że jest o wiele lepiej. Ale kiedy poszedł jeszcze raz późnym wieczorem, okazało się, że nagle zmarła. Miał dużo uczucia dla dzielnej staruszki, która przez tyle lat trudziła się wraz z nim w kościele.

Nazajutrz odprawił poranną Mszę świętą za jej duszę z taką miłością, że cały kościół wypełnił się obecnością Ellie.

Przez długie lata Ellie i jej rodzina stanowiły ważną część życia miasteczka. Po jej śmierci sklepik ze słodyczami zamknięto na dobre. Kiedy następnego dnia chowano ją w rodzinnym grobie na cmentarzu za kościołem, wieniec złożony na trumnie przez przyjaciółkę, panią Hawkins, która należała do innego Kościoła, nosił epitafium godne Ellie: „Dobrze się zasłużyłaś, pracowita i wierna służebnico”. Wkrótce potem zmarła również Nonie. Po nich nie było już kobiet służących w kościele z takim oddaniem, traktujących swoją pracę nie jak obowiązek, lecz jak powołanie.

TO BYŁY WSPANIAŁE KOBIETY

P

rzyjechała do miasteczka w latach czterdziestych. Należała do grupy dzielnych położnych, które -póki to było potrzebne - jeździły na rowerze lub dwukołową bryczką po wyboistych drogach i przyjmowały porody na wsiach irlandzkich. Jako młoda dziewczyna w 1930 roku pojechała do Dublina, aby się nauczyć zawodu położnej, a po skończeniu kursu skierowano ją do szpitala przy ulicy Lower Leeson. Potem wróciła do Cork, gdzie pracowała w prywatnej lecznicy St. Kevin, a kiedy się zwolniło miejsce, przenieśli się do Bandon i podjęła pracę w szpitalu panny Beamish. W 1943 roku dyrekcja Wydziału Zdrowia Okręgu Południe wyznaczyła ją na położną w Innishannon. Rejon obejmował duży obszar, a jedynym jej środkiem transportu był rower.

Zwano ją Pielęgniarką. Średniego wzrostu, korpulentna, promieniowała pogodą ducha i spokojem. Jej ciepły uśmiech podnosił ludzi na duchu. W

późniejszych latach wyglądała jak babcia - taka, jaką każdy by chciał mieć. Miała długą, bladą twarz, miękkie, siwe włosy, a chociaż z wiekiem przytyła, jej ręce i stopy pozostały szczupłe i delikatne. Jej głos brzmiał łagodnie, nigdy go zresztą nie podnosiła, a małe dłonie działały szybko i sprawnie. Wiedziałaś, że Pielęgniarka poradzi sobie w każdej sytuacji. W dramatycznych dniach mojego pierwszego macierzyństwa przychodziła regularnie, aby mnie uspokoić

i udzielić dobrej rady. Jeśli w którejkolwiek rodzinie w miasteczku ktoś zapadł na zdrowiu, bieглиśmy po pomoc do Pielęgniarki.

W ciągu tych wielu lat, kiedy pracowała jako położna, pomogła przyjść na świat siedmiuset noworodkom. Z dumą mówiła, że nie straciła ani jednego i nazywała je „moje dzieci” nawet wtedy, kiedy miały już własne dzieci. O ich matkach też wyrażała się czule. „To były wspaniałe kobiety - powiadała. - Tylko tak je można nazwać. Cierpliwe, silne, wdzięczne. Choćby ich dom był najskromniejszy, choćby miały nie wiem jak liczną rodzinę, nowe niemowlę witały z radością. Ojciec czuł się z niego dumny, rodzeństwo zachwycone, dziadkowie uszczęśliwieni.”

Była pierwszą osobą, do której zwracała się kobieta, kiedy zaszła w ciążę. Siadały i omawiały wszystko przy filiżance herbaty. W ciągu następnych miesięcy odwiedzały się często, a Pielęgniarka sprawdzała wagę przyszłej matki, stan żył i inne szczegóły. W owych czasach nie było jeszcze witamin w pigułkach, a Pielęgniarka zalecała czasami porter albo porter z mlekiem, jako dodatkową odżywkę dla brzemiennych kobiet. Wiele z nich w okresie ciąży ciężko pracowało, często też jeździły na rowerze, co utrzymywało je w dobrej formie.

Kiedy dziecko miało się już narodzić, osoba zaufana, najczęściej ojciec,

otrzymywała zadanie „pójść po Pielęgniarkę”. Jeśli zdarzyła się dwukółka, Pielęgniarka miała wygodną podróż, ale trafiały się też inne, bardziej niezwykle środki transportu. Raz przyjechał po nią wóz wiejski z worem siana pośrodku, innym razem zaprzężona do konia beczka, w której rolnik przewoził w ciągu dnia nawóz koński i tak się spieszył, że zapomniał ją wymyć. Kiedy beczka przybyła na miejsce, już nie trzeba było jej myć, bo po drodze zgubiła całe dno, a Pielęgniarka jechała z nogami wiszącymi nad wybojami błotnistej drogi. Czasami posłaniec przybywał pieszo, wtedy wyciągała rower i pedałowiała do odległej wsi, często przy złej pogodzie.

Przyjeżdżała przygotowana na pozostanie przez całą noc, w razie potrzeby i dłużej. Nie miała ze sobą żadnych środków uśmierzających ból z wyjątkiem własnej, uspokajającej obecności i wiedzy lekarskiej. Ale chociaż nie dawała położnicy leków, stosowała odpowiednią terapię i łagodziła bóle na swój własny sposób. Siadała z rodzącą kobietą, trzymała ją za rękę, dawała wskazówki, podtrzymywała na duchu i modliła się. Jak sama wspominała: „Matki też się modliły. Modliłyśmy się razem i to pomagało. Ufałam Bogu we wszystkim. Przez te wszystkie lata, kiedy pracowałam, czułam się zawsze blisko Niego. On pomagał mi przybyć do matek w chwili, gdy mnie potrzebowały. A były to - dodawała jeszcze raz ze czcią w głosie - wspaniałe kobiety”.

Często przy porodzie asystowała matka położnicy, a nieraz również dobra sąsiadka. Pielęgniarka nie szczędziła pochwał sąsiadkom, wysoko ceniła niesioną przez nie pomoc. Kiedy spytałam o ojców, a szczególnie, czy któryś z nich towarzyszył żonie przy porodzie, odparła: „Nie, w tamtych czasach to było nie do pomyślenia. Ale ojcowie trzymali się blisko, podrzucali do ognia, aby zagotować wodę i zrobić herbatę, dzieci

też pomagały, więc narodziny stanowiły naprawdę wydarzenie rodzinne".

Kiedy dziecko przyszło szczęśliwie na świat, matka musiała pozostać w łóżku przez siedem do dziesięciu dni. Pielęgniarka przychodziła wtedy codziennie. Chrzcziny odbywały się zwykle nazajutrz po urodzeniu, chociaż matka nie mogła na nie przyjść. Często niemowlę niosła do kościoła Pielęgniarka albo matka chrzestna.

Jej ręce witały nowego mieszkańca ziemi, jej też ręce pomagały zejść ze świata tym, których życie zmęczyło. Kiedy śmierć była powolna i męcząca, a rodzina z trudnością dawała sobie radę, Pielęgniarka przychodziła spokojnie z pomocą, jak łabędź cicho sunący po wzburzonych wodach. Siedziała przy łóżku, uspokajając umierającego i dodając otuchy żyjącym, a kiedy nastąpił zgon, ubierała zmarłego do trumny bez zamieszania, z godnością.

We własnym życiu nie brakło jej trosk. Po śmierci męża została z dwójką małych dzieci. Przeniosła się wtedy do niej matka, dzięki czemu Pielęgniarka mogła dalej pracować. Pomagali jej też materialnie sąsiedzi, dla których przez całe życie zachowała wdzięczność. „Ludzie z Innishannon byli nadzwyczajni. Dostałam wtedy niejeden worek kartofli i warzyw" - opowiadała. W późniejszych latach, kiedy pożar uszkodził jej dom, sąsiedzi zebrali się, aby wspólnymi siłami pomóc w odbudowie.

W starszym wieku wraz z Nonie, a potem z Ellie dekorowała ołtarz w kościele. Przygotowywała też żłóbek na Boże Narodzenie. Sprowadziła na świat Boży tyle dzieci, że cieszyły ją coroczne przygotowania do adoracji Świętego Dzieciątka. Codziennie wspinała się po stromym wzgórzu do kościoła na poranną Mszę świętą, a kiedy nie mogła chodzić, przywożono ją na wózku.

Jak przystało na osobę, która tak wielu zmarłych ubrała do trumny w ich własnym domu, i ona również zmarła spokojnie w otoczeniu bliskich, pod opieką rodziny. Wpatrując się tej nocy w jej twarz, równie spokojną po śmierci jak za życia, przypominałam sobie, jak Pielęgniarka z podziwem mówiła o „swoich matkach”, i pomyślałam sobie: Byłaś wspaniałą kobietą.

PORTRET MIASTECZKA

S

tarsi ludzie stopniowo umierali, a wraz z nimi odchodził zwyczaj spotykania się na rogach ulic lub wpadania do siebie do domu. Zamiast tego powstała solidniejsza struktura życia towarzyskiego. Zwiększyła się

liczba organizacji związanych z salą parafialną, Salą Mostową i Roversami. Nigdy nie należałam do żadnego stowarzyszenia, ale kiedy w Sali Mostowej zaczął się kurs malarstwa, poczułam, że jest to coś, co zaspokoi moją wewnętrzną potrzebę kontaktu ze sztuką. Zawsze marzyłam o takiej okazji, bo od dzieciństwa drzemała we mnie nadzieja, że zostanę malarką. Nie żeby zaraz wybitną, ale taką, która potrafi namalować na płótnie obraz przypominający rzeczywistość. Był to po prostu głód twórczej aktywności, a nie żadne mrzonki o naśladowaniu Turnera. Kurs prowadziła malarka mieszkająca za miasteczkiem. Wielkodusznie dodawała nam odwagi. Jej motto brzmiało: „Jeśli tylko zechcesz, potrafisz”. Odpowiadała mi jej filozofia, ale moja rodzina, widząc rezultaty moich wysiłków, była innego zdania. Zaczęłam od próby namalowania zamku nad brzegiem rzeki Bandon; wyszedł z tego obraz grudkowatej kaszy. Kiedy jeden z moich synów zapytał: „A co to właściwie ma być?”, zrozumiałam, że jestem na złej drodze. Nie dałam jednak za wygraną; połknęłam bakcyła. Raczej nie krył się we mnie geniusz, ale z pewnością obudził się uśpiony malarz.

Raz na tydzień nasza grupka zbierała się w sali, gdzie malowaliśmy, rozmawiali i porównywali nasze osiągnięcia. Ale te cotygodniowe zajęcia stanowiły zaledwie drobną cząstkę czasu, jakiego wymagało moje rosnące pragnienie malowania. Ulokowałam się kuchni, w kącie, gdzie zapach farb i terpentyny zastąpił zwykle aromaty pieczenia i gotowania. Sprawy kulinarne znajdowały się gdzieś na samym dole mojej hierarchii wartości. Kiedy do sklepu przychodzili inni nałogowcy, zaglądali do kuchni i zaczynaliśmy dyskusje na temat perspektywy, głębi, koloru. Moi synowie wpadali do kuchni na spóźniony obiad, wznosili oczy do nieba i modlili

się, abym znów stała się normalna. Kiedy jednak kanapki, które zabierali do szkoły, zaczęły pachnieć terpentyną, uznali, że co za dużo, to niezdrowo. W interesie zdrowia rodziny wyeksmitowano mnie z kuchni na stare poddasze, gdzie było zresztą lepsze oświetlenie i dogodniejsze otoczenie.

Ustała groźba kanapek o dziwnym zapachu, ale zarysowało się nowe niebezpieczeństwo. Kiedy zainstalowałam się na poddaszu, nie miałam ochoty schodzić na dół. Zgłodniałe twarze zaglądały przez uchylone drzwi i pytały, dlaczego nic nie bulgocze w garnkach na kuchence. Odsyłałam je władczym gestem, wymachując pędzlem albo grożąc szpachelką i jęcząc: „Przeszkadzacie mi się skupić”. Mój instynkt macierzyński zniknął, zepchnięty na drugi plan przez tabuny wirujących w mojej głowie kolorów, które usiłowałam skoordynować i przenieść na płótno. Obrazy tkwiły we mnie, trudność polegała na tym, jak sprawić, by inni też je zobaczyli.

Jeśli ktoś coś robi z przyjemnością, to robi to coraz lepiej. Stopniowo moje obrazy zaczęły nabierać formy. Na dole w kuchni siedział zastęp krytyków, gotowych wyrazić zdanie o moich postępach artystycznych, kiedy umieściwszy dzieło na lodówce, prosiłam o ocenę. Żałowałam czasem, że moje dzieci odziedziczyły po ojcu pewną cechę, mianowicie szczerość. Krytykowały mnie otwarcie i bez osłonek. Jeśli uznały, że coś jest „niezłe”, wiedziałam, że musi być znakomite.

Kiedy malujesz, oczy ci się otwierają na świat. Zapuszczone miejsca i stare kamienne mury widzisz w nowym świetle. Fascynuje cię obserwowanie drzew o różnych porach roku, leśnych ścieżek jesienią w pobliskim lesie. Nasza malarska grupa dzieliła się wrażeniami i bez

znużenia omawiała te same tematy. Byliśmy bardzo ze sobą zżyci. Z czasem postanowiliśmy urządzić wystawę, żeby pokazać się ludziom. Nie miała to być zwykła wystawa, ale uroczyste celebrowanie obrazów, kwiatów i wspólnej radości. Pewnej soboty zebraliśmy się i wyszrowaliśmy salę parafialną. Przynieśliśmy kwiaty, kawałki drewna wyrzuconego przez fale i wszystko inne, co mogłoby stanowić dekorację. Jedna z nas, członkini kółka kwiaciarskiego, udekorowała salę pięknymi kompozycjami kwiatowymi, które nappełniły ją zapachem i świeżością. Potem rozwiesiliśmy na ścianach nasze płótna. Było pięknie -symfonia barw kwiatów i obrazów.

Późną nocą po skończonej pracy staliśmy i z dumą patrzyliśmy na nasze dzieła. Byli także nasi współmałżonkowie, którzy, chcąc nie chcąc, przyszedli nam pomóc. Nie mieliśmy zamiaru sprzedawać naszych obrazów, zresztą wielu z nas już nie miało co sprzedać, bo ich obrazy na co dzień wisiały w mieszkaniach członków rodzin. Wystawa była po prostu naszą wspólną radością i mieliśmy nadzieję, że cała parafia przyjdzie ją obejrzeć.

W piękną czerwcową niedzielę otworzył wystawę emerytowany major, Anglik, który mieszkał w pobliżu naszego miasteczka i był kiedyś znanym akwarelistą. Z powodu ulicznego hałasu, a także dlatego, że niski, gardłowy głos majora nikał pod czerwonym fularem na jego szyi, nie było słyhać ani słowa z jego przemówienia. Nie miało to jednak znaczenia. Nastrój panował niezwykły. Salę zappełniali mieszkańcy miasteczka, do których dołączyli turyści. Dwoje członków naszej grupy siedziało przy drzwiach, witając przybywających, a reszta chodziła po sali, starając się, aby każdy czuł się miłym gościem i dobrze się bawił.

Mieszkańcy miasteczka przychodzili przez cały dzień, a po wydojeniu krów zjawili się farmerzy. Jeszcze później, po zamknięciu pubów, również ich podchmieleni goście przyszli popatrzeć, co też jest na tej wystawie.

Sukces przeszedł wszelkie oczekiwania. Niektórzy po zwiedzeniu wystawy przyprowadzili innych domowników. Cała parafia przyszła obejrzeć namalowane przez nas widoki miasteczka i sceny z życia mieszkańców. Ale najlepiej oddał nastrój tego dnia starszy pan. Stał przed obrazem przedstawiającym starą, zniszczoną szopę, ocenionym skromnie na pięćdziesiąt funtów.

- Boże drogi - westchnął - to niesłychane, namalować obraz mojej własnej szopy i kazać mi zapłacić pięćdziesiąt funtów tylko za to, żebym mógł ją oglądać także w mieszkaniu!

OPIEKUNOWIE

C

ieple lipcowe słońce przeświecało przez witraże kościółka, rzucając

kolorowe cienie na głowy skupionych w milczeniu wiernych. Spokojnie gruchał gołąb. Ojciec John łagodnym głosem zanosił do Boga słowa uwielbienia i miłości.

Był to dzień wypoczynku, dzień niezwykły, dzień medytacji i rozmyślań, zastanawiania się nad sprawami innymi niż codzienne. Ogród przy kościele stanowił morze barw; fale kwiatów jak modlitwa wielbiły Boga i piękno natury. Pielęgnował je brat Mitchell. Kiedy się go widziało pracującego na kolanach przy klombie, przychodziła do głowy myśl, że w tym świętym miejscu modlitwa przybiera różne formy.

Wczesnym rankiem tego dnia szłam zadrzewioną aleją. Na wzgórzach leżała jeszcze rosa, na pobliskim polu konie to zjawiały się, to znikwały w płachtach mgły widocznej między drzewami. Bażant wykrzykiwał na zagonie swoje „kirk-kok, googok”, a jego jaskrawe pióra kontrastowały z ciemną zielenią pagórka zarośniętego krzakami jeżyn. Kiedy się zatrzymałam, żeby posłuchać i popatrzeć, przebiegł mi drogę zając. Wzdrygnęłam się zaskoczona i stałam dalej, patrząc, jak wiejska przyroda świętuje narodziny nowego dnia.

Dom pod wezwaniem św. Patryka w Upton stoi na wzgórzu, którym biegnie droga z naszego miasteczka. Jest to miejsce specjalne, gdzie słudzy Boży nie tylko głoszą słowo Pańskie, ale i wprowadzają je codziennie w życie. Księża i zakonnicy opiekują się tu chorymi umysłowo, dając im możliwość życia godnego, a jednocześnie pożytecznego. Poza tym specjalnie stworzonym dla nich światem ludzie ci by zginęli. Tymczasem są pełnoprawnymi członkami naszej społeczności i każdego lata cała parafia zbiera się na tak zwanym Święcie Maszyn Parowych w Upton, aby zgromadzić fundusze na dalsze utrzymywanie schroniska. Wymyślił tę

imprezę ojciec Con. W pierwszych latach zjeżdżający się w tym dniu przemysłowcy, kolejarze, maszyniści itp. zatrzymywali się w naszym pensjonacie, a że od początku impreza miała powodzenie większe, niż ktokolwiek przypuszczał, nie starczało łóżek, żeby wszystkich przenocować. Wpadaliśmy zawsze w panikę i robił się nieopisany rozgardiasz, tylko brat Con zachowywał niezmiennie spokój i z uśmiechem znajdował wyjście z chaosu. Dziś jest on już w niebie, ale jego impreza nadal naoliwia finansowe koła Upton.

Tego czerwcowego dnia, spacerując wzdłuż klombów brata Mitchella, patrzyłam na owych podopiecznych siedzących na trawie i słuchających radiowej transmisji meczu piłki nożnej. Starsi i młodszy, od lat dwudziestu do sześćdziesięciu, siedzieli grupkami, śmiejąc się i pokrzykując z podniecenia. Nieco dalej z wyrazem uszczęśliwionego dziecka, zrywał stokrotki Ned. Właściwie był dzieckiem, mimo swego wieku nosił w sobie całą radość dzieciństwa. Stałam tak i patrzyłam, mając świadomość, że jestem świadkiem czegoś szczególnego, czego nie potrafię zrozumieć. Później, kiedy zebraliśmy się wokół ołtarza, aby wielbić Bożą miłość, myślałam o Nedzie i ułożył mi się wiersz:

POGIĘTY KIELICH

Nastał dzień Boży,
ptaki i słońce
wielbią jego narodziny.

A ty z radością
zbierasz stokrotki.

Małe dziecko w ciele mężczyzny,
Hostia w pogiętym kielichu.

*Daoine le Dia**, mówią starzy ludzie.

Mądrze mówią,

bo żyjesz w Bogu.

Nie usidliły cię

sieci tego świata.

Kroczysz poza zasięgiem

ludzkiego spojrzenia.

Tego wieczoru, wracając aleją, spotkałam siostrę Agatę z grupą „chłopców”. Prowadziła za rękę jednego, reszta też się trzymała za rękę. Szli powoli, pomagali sobie, podczas gdy siostra Agata odpowiadała na ich pytania i objaśniała im różne rzeczy.

W Upton człowiek uczy się cierpliwości. Przed kilkoma laty przechodziłyśmy z matką przez ten teren i spotkałyśmy ojca Jimmiego, który oprowadził nas po całej okolicy. Nie wspomniał, że mu się spieszy, że ma pracę, zachowywał się tak, jakby miał przed sobą cały czas do końca świata. Kiedy przyjechałam do Innishannon, był młodym klerykiem. Obserwowałam, jak w ciągu lat rósł w nim spokój, umacniało się powołanie. Obecna jego praca polega na podróżach po całym świecie, ale uważa, że tak naprawdę jego miejsce jest tu, w Upton.

Przez białą, żelazną furtkę po lewej stronie weszłam na cmentarzyk, gdzie od lat chowano księży z Upton. Kapłani ci działali też w innych miejscach. Prowadzili

* Irl. Boży ludzie.

dom dla niewidomych w Dublinie i nieśli pomoc ludziom na całym świecie. Gdzie są ślepcy i kaleki, tam często towarzyszą im zakonnicy z

Upton, którzy się nimi zajmują. Ale chociaż pełnią służbę w wielu miejscach, o zmierzchu życia, kiedy ich praca jest już skończona, wracają tutaj. Ten mały, pełen zieleni skrawek ziemi, wznoszący się wśród drzew na polach Upton, jest spokojnym miejscem ich odpoczynku.

ARTYSTA OD GADANIA

C

zarny Ned prześlizgnął się przez drzwi sklepu, balansując na jednej stopie i wymachując drugą jak wahadłem zegara. Nie widziałam go od pół roku. Wstawiono mu tymczasem sztuczny staw biodrowy, ale chód miał taki jak przedtem. Nowy staw biodrowy czy stary, Ned zachowywał ten sam rytm ruchów.

Zaraz po otwarciu naszego pensjonatu Ned[^] wraz z innymi maszynistami nocował u nas w czasie Święta Maszyn Parowych. Była to wesoła koleżeńska paczka przybyszów ze wszystkich krańców Irlandii. Przez cały weekend pili, śmiali się i płatali sobie nawzajem błazeńskie figle. Kiedy Ned przechwalał się raz swoimi wyczynami seksualnymi, jeden z kolegów klepnął go po plecach i rzekł: „No, no, Ned, musi być z ciebie rzeczywiście szatan w łóżku”. Odtąd nie nazywaliśmy go inaczej, tylko właśnie „szatan w łóżku”. Teraz zawarczał na mnie głębokim, ochrypłym głosem: - Ładny z ciebie numer! Dlaczegoś mi nie powiedziała, że Święto Maszyn Parowych będzie w telewizji? - Objął mnie długimi ramionami, zgniatając mi w uścisku połowę żeber, podrapał mi twarz szczęką obrośniętą twardą jak tarka szczecina i złożył na końcu mojego nosa wilgotny, pachnący piwem całus. - Nie powinienem w ogóle więcej do ciebie przychodzić, tak chętnie bym obejrzał ten program, a ty mi nic nie powiedziałaś - skarżył się.

- Cicho bądź, nagrałam go na wideo, możesz sobie obejrzeć.

Poszliśmy korytarzem do mieszkania, a on zachichotał i dał mi klapsa w tyłek.

65635Kobiety - rzekł pewnym tonem, i od razu wiedziałam, że chce mi dokuczyć -kobiety są jak konie. Musisz je trzymać krótko i dać im poznać, że je lubisz.

65636Konie rzeczywiście lubią klapsy w tyłek? - spytałam.

65637Na pewno. To ich czułe miejsce, a u kobiet...

65638Ned - przerwałam, zanim postawił kropkę nad i - siadaj tu i bądź cicho. Oglądaj sobie ten program, skoro tak cię interesuje.

Rzucił się na fotel przed telewizorem i zatarł długie, brązowe dłonie z uciechy.

Śmiał się do rozpuku i klepał się ręką po kolanie, kiedy poznawał na ekranie swoich kolegów. Jedno z dzieci przyniosło mu porcję lodów. Spojrzał poważnie na dzieciaka i spytał z kamienną twarzą: „A nie ma tu aby ości?” Kiedy program się skończył, Ned wrócił do sklepu po zakupy.

Postawiłam czajnik na herbatę, nakryłam do stołu i wyjęłam z torby ciasto, które, jak sądziłam, któreś z dzieci przyniosło, aby poczęstować Neda. Piliśmy herbatę, a on opowiadał nowiny. Mieszkał wprawdzie dość daleko, ale znałam niektórych jego sąsiadów, bo bywali czasami w naszym pensjonacie.

65639Pamiętasz Dana Morana? - zapytał, pochylając się nad stołem.

65640Nie, nie pamiętam - odparłam, próbując jednocześnie przypomnieć go sobie.

65641Hmm, musisz go pamiętać - nalegał Ned. - Taki gruby. Jedyny

facet, któremu dupa ledwo mieściła się w drzwiach. Gdyby usiadł tu za stołem, brzuch by mu sięgnął aż do ciebie.

65642 Tak, już wiem. - Dzięki malowniczemu opisowi Neda stanął mi przed oczami jak żywy.

65643 No więc - ciągnął Ned - w zeszłym tygodniu razem ze szwagrem przejechali ciągnikiem z przyczepą przed

- moim domem i wjechali na swoje pole. Cały dzień stawiali bramę i dwa słupy od strony drogi. Wyobraź sobie, robili we dwóch i zajęło im to cały dzień. No i wieczorem, kiedy trzeba było wracać do domu, wsiedli do ciągnika i chcieli przejechać przez tę bramę na drogę, ale przewrócili ją, i obydwie słupy też, bo przyczepa była za szeroka. Ładne, co?

Spojrzałam na Neda. Długie, czarne włosy i smagła cera nadawały mu z lekka hiszpański wygląd. Opowiadał tę historię bez śladu uśmiechu w swoich czarnych jak tarnina oczach.

65644 Taki jest Dan - ciągnął. - Parę miesięcy temu poszedł na targ i kupił u handlarza starzyzną parę butów. Idąc do domu, wstąpił do mnie na herbatę, a kiedy usiedliśmy do stołu, ściągnął jeden but i pokazał mi go. But mierzył prawie pół metra i mieścił w sobie funt gwoździ. „Wspaniały but” - powiedziałem. Wtedy Dan podał mi drugi. Przysięgam ci, był o dobre piętnaście centymetrów krótszy i miał zupełnie inny czubek. „Dan - powiedziałem - poznali się na tobie i wsunęli ci buty nie do pary.” „A to cholerni dranie - odpowiedział - rozerwę ich na kawałki.” Przez całe miesiące chodził potem co tydzień na targ, ale ci handlarze byli za cwani i nigdy więcej się tam nie pokazali.

65645 Czy Dan ma żonę? - spytałam, gdy Ned przerwał na chwilę.

65646 Żonę to za mało powiedziane. Ta kobieta to potęga. Zaraz po ślubie Dan dostał zapalenia płuc. Wiesz, jak to jest, dotąd sypiał sam, a teraz od razu się przeziębził z gorąca. Ona waży chyba ponad sto kilogramów. Jest jej o wiele więcej niż ciębie.

Ned potrafił mówić godzinami, słuchałam go zawsze z przyjemnością. Ale czekała go długa droga do domu, więc niechętnie dopił herbatę i poszedł po swoje torby z zakupami.

65647 A gdzie jest moje ciasto? - spytał.

65648 Jakie ciasto?

65649 To cholerne ciasto, co kupiłem w twoim sklepie, żeby je zanieść mojej starej.

65650 Rany boskie, Ned! - zawołałam. - Właśnie je zjedliśmy.

65651 Jezus, Maria, tylko baba z Cork potrafi ci podać twoje własne ciasto do herbaty - powiedział.

„TO SIĘ MOŻE KIEDYŚ PRZYDAĆ”

Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na rozwód, to współwinne będzie to

diabelskie palto mojego męża. Mój mąż uważa, że odzieży się nie wyrzuca, ale pozwala się jej godnie umrzeć ze starości. Jest posiadaczem palta, które pamięta czasy przedmałżeńskie - z czystej wełny, długie do kostek, mógłby się w nie przebrać, gdyby chciał w mgliste noce napadać w ciemnej alei na niewinnych przechodniów. Gabriel nie ma co prawda takich nawyków, ale i tak nazwałam palto diabelskim. Co parę lat, kiedy zapadam na gorączkę wiosennych porządków, wyciągam je odważnie z szafy, żeby się z nim pożegnać na zawsze. I gdy pełna nadziei już trzymam je w ręku, znów słyszę: „Niejeden mężczyzna byłby bardzo zadowolony, mając takie palto”. Hamuję się, żeby nie powiedzieć mojemu kochanemu mężowi, że taki „niejeden mężczyzna” od dwudziestu lat nie żyje, i odwieszam palto do szafy.

Moi kilkunastoletni synowie zmieniają zainteresowania nie jak rękawiczki, bo ich nie noszą, ale jak koszulki gimnastyczne. Każde nowe zainteresowanie ciągnie za sobą konieczność zakupu olbrzymiej ilości sprzętu. Etap *hurlingu* i piłki nożnej wymagał odpowiednich butów, ochraniaczy, kasków, piłek futbolowych i kijów różnych rozmiarów, nie mówiąc o tym, że wymagał też siły i innych cech. Dodajmy, że ojciec tych nastolatków był prezesem, skarbnikiem i sekretarzem klubu Valley Rovers i wielu innych klubów, że w ciągu lat znosił do domu części należące do tych godności ryzsztunku, które teraz zapychają szuflady i spadają nam na głowy z wysokich półek. Chlubne lata sędziowania przyniosły gwizdek, który zawisł na czarnym sznurowadle na szyi gipsowej Matki Boskiej. Czasami drugi gwizdek wisiał na nodze naszego łóżka, co nasuwało mi myśl, że czeka mnie rzut karny za obejmowanie przeciwnika. Ale kiedy mąż miał

właśnie sędziować, oba gwizdki nagle zniknęły. Przetrzęsał wtedy wszystkie szuflady, akompaniując sobie monotonnym: „Dlaczego nie zostawiasz rzeczy tam, gdzie je położyłem? W tym cholernym domu nic nie można znaleźć”. Pomagałam mu przeszukiwać pudełka i grzebać w kredensach, spoglądając z wyrzutem na Matkę Boską, zastanawiając się, gdzie tym razem schowała gwizdek.

Etap muzyczny zostawił za sobą kolekcję płyt i adapterów, taśm magnetofonowych i magnetofonów w stanie mniejszego lub większego rozkładu. Jeden z synów posunął się w umiłowaniu muzyki o krok dalej, co dało w wyniku parę gitar pozbawionych strun; stały teraz upchane byle jak za rzadko otwieranymi drzwiami do składziku. Jeśli nagle je otworzyłeś, gitary padały ci pod nogi, a ty padałeś na gitary, narażając się na złamanie karku. Dodajmy do tego instrument marki Rolf Harris, coś w rodzaju pianina-akordeonu, który miał z mojego dwunastoletniego entuzjasty zrobić kogoś w rodzaju sławnego w tym czasie śpiewaka, Dermota O'Briena, a także prawdziwe, ale milczące pianino, które stało w kącie, czekając, aż w moim synu na nowo obudzi się gorąca niegdyś ambicja, by zostać wielkim pianistą. Jeszcze jedną pamiątką po etapie muzycznym jest stos czasopism na temat muzyki pop; na ich okładkach obnażeni do pasa gitarzyści zwijają się w drgawkach z uśmiechem na boleśnie wykrzywionych twarzach, jakby cierpienie przynosiło im rozkosz. Każdy centymetr ścian pokrywały zdjęcia grup rockowych o wyglądzie dzikich ludzi.

Okres pod tytułem „Na łono natury” dał nam asortyment wędek, które wisiały udrapowane na szafie, z nadzieją, że uda im się wybić komuś oko. Za drzwiami stała groźna dubeltówka; w ponure dni kusiła mnie, aby raz

na zawsze skończyć z tym wszystkim. Jedna sypialnia nosiła ślady wybuchu entuzjazmu dla kolejki elektrycznej, która przez jakiś czas pochłaniała obu starszych chłopców. Tor ciągnął się wzdłuż ściany, a potem po stromym zboczu między podnoszonymi łózkami i znów po podłodze. Odgałęzienia kolejowe, zwrotnice i sygnały zajmowały przestrzeń od okna do drzwi. Kolejka biegła wśród gór i przez miasta, rozplanowana bardzo realistycznie. Tak realistycznie, że pewnego wieczoru, kiedy dwaj starsi bracia wyszli, dwaj młodszy postanowili zobaczyć, co się stanie z kolejowym krajobrazem, gdy nadejdzie powódź. Arki Noego nie było niestety pod ręką i potop zniszczył wszyścusięńko. Wywołało to w domu Wojnę Trzydziestodniową z ojcem po stronie starszych, potężniejszych sił i matką broniącą - jak zawsze od początku świata - swoich małych.

Pod każdym łóżkiem stały pudła ze sprzętem pozostałym po rozmaitych etapach zainteresowań, ale tylko jedno pudło przyciągało uwagę wszystkich. Było pełne plastikowych żołnierzyków wraz z odpowiednią artylerią. Z klocków Lego chłopcy układali budowle wojskowe, godzinami planując manewry wojenne. Ale wbrew regulaminowi wojskowemu moi młodzi generałowie często opuszczali pole bitwy. Zdarzało się więc, że kiedy szłam rano do łazienki, krzyczałam z bólu, nastąpiwszy gołą stopą na rosyjskiego żołnierza w postawie bojowej, mierzącego do mnie z nieoczekiwanej pozycji. Mój odkurzacz połknął wielu zaginionych żołnierzy, którzy oddalili się od swojej armii i zakończyli życie jako dezercerzy w koszu na śmieci. Chłopcy pasjonowali się wojną przez kilka lat; stosy zeszytów z serii „Świat podczas wojny” i „Bitwa o Anglię” zapełniały półki regałów. Kupowali modele do sklejania, repliki olb-

rzymich brytyjskich bombowców latały pod sufitem.

Wchodząc do pokoju, automatycznie pochylałam głowę, aby uniknąć nieprzyjacielskiego ognia.

Wszyscy czterej padli też ofiarą gorączki zbierania modeli samochodów. W późniejszych latach doprowadziło to do kupna starego grata; pozbiali złom z okolicznych wysypisk, zaśmiecali nim tylny ganek, aż wreszcie sklecili z tego wszystkiego model o wątpliwym rodowodzie. Mania ta sprawiła, że pod łóżkiem, pokrywając się kurzem, rosły stosy czasopism samochodowych. Plakaty z modelami samochodów konkurowały na ścianach z tymi, na których modele były mniej mechaniczne, ale za to o wiele ponętniejsze. Potem nastąpiło szaleństwo motocyklowe. Nieostrożne osoby przechodzące korytarzem przewracały się o buty z czarnej skóry, przypominające wysokie hitlerowskie oficerki, w kaskach ochronnych wygodnie spały kocie przybłędy, a nasze dwa źle wychowane psy ćwiczyły sobie zęby, szarpiąc ich podszewkę i rzemienie. Czarne skórzane kurtki stanowiły wykończenie tego stroju *macho*. Wszystko się skończyło, gdy jeden z moich młodych „mężczyzn na swojej latającej maszynie” przefrunął przez dach jakiegoś niezdecydowanego auto-mobilisty i wylądował głową w kuźni Billy'ego.

Po śmierci Jacky'ego i Peg odziedziczyliśmy tyle obrazów i figurek świętych, że starczyłoby ich na wyposażenie w przedmioty kultu religijnego całego klasztoru. W naszym niezbyt gorliwym religijnie domu trafiły one do kąta na strychu, ale co roku pielgrzymowały na dół, kiedy nabożeństwa majowe i procesje Bożego Ciała ożywiały religijność dwunastolatków. U starszych nastolatków naiwna niewinność zamieniła się w cyniczną niewiarę i młodzieńczą przekorę. Święte obrazy i figury

wepchnięte pod łóżko lub głęboko schowane, gromadziły kurz.

W przeciwieństwie do męskiej siły militarnej pokój mojej córki był królestwem lalek o kręconych włosach i miękkich misiów. Przyznawała, że jej miłość do starszych z nich już się poniekąd wyczerpała, ale wyrzucenie któregoś z tych stworów równałoby się morderstwu.

Moja stanowczość słabła, kiedy stawiałam twarzą w twarz z jej podniszczonymi puszystymi przyjaciółmi.

Mój mąż, ojciec wspomnianych gagatków, należy do ludzi, którzy uważają, że niczego nie wolno wyrzucać, bo „to się może jeszcze przydać”. Przypuszczalnie dlatego nie wyrzucił mnie, więc może powinnam być mu wdzięczna za taką postawę filozoficzną. Ale w rezultacie w domu nagromadziło się mnóstwo najrozmaitszych niepotrzebnych rzeczy, do których siebie nie zaliczam.

Kiedy ogarnia mnie pasja porządków, udaje mi się wyrzucić zaledwie cząstkę rupieci, bo czujne oczy śledzą każdy mój krok, póki nie minie mi furia. Potem rodzina może odetchnąć, bo wszyscy wiedzą, że dalej będą wygodnie i spokojnie żyć w zwykłym bałaganie. Oczywiście ze swojego pokoju nigdy nic nie wyrzucam. Wiem przecież, że są tu same potrzebne rzeczy, każda z nich na pewno któregoś dnia się przyda.

KUZNIA

I jeśli w późny zimowy wieczór przejedziecie przez •3 miasteczko i pojedziecie leśną drogą w kierunku West Cork, powita was ciepły blask bijący przez otwarte drzwi z wnętrza kamiennego domku o dachu zniszczonym i spatynowanym przez czas i pogodę. Obok mostu przy wjeździe do lasu Dromkeen stoi przytulona do wielkiego buka kuźnia

Billy'ego. Jego przodkowie od pięciu pokoleń podkuwali konie, przekazując swój zawód z ojca na syna.

Billy zaczął pracować jako czternastoletni chłopak, wraz z dwoma braćmi ucząc się sztuki kowalskiej od ojca, Denisa, zwanego popularnie Poundy. Podkucie konia kosztowało wtedy pięć szylingów, a bywały takie udane dni, kiedy podkuwali ich aż osiem. Pracowali na kowadle liczącym ponad sto pięćdziesiąt lat, które Poundy kupił jako złom w latach trzydziestych, po zamknięciu starego dworca przetokowego w Bandon.

Billy ma wrodzoną umiejętność obchodzenia się z końmi. Pracował z nimi przez całe życie i traktuje każdego indywidualnie. Podkowy robi w swojej kuźni, a kiedy raz je dopasuje, może potem robić następne z pamięci. Biały dym unoszący się z wysokiego, wąskiego komina i ginący wśród drzew oznacza, że kuźnia pracuje. Kawalki żelaza o najprzeróżniejszych kształtach wiszą na kamiennych ścianach i leżą rozrzucone na podłodze. Billy nosi brązo-
wy, robiony na drutach sweter, znoszoną tweedową czapkę i skórzany fartuch. Pochyla drobne, żylaste, zwinne ciało nad długimi nogami rozbrykanego konia i przemawia do niego jakimś tylko im obu znanym językiem. Wkrótce rozdęte nozdrza i rozedrgane uszy uspokajają się pod umiejętnym dotknięciem Billy'ego i kojącym działaniem jego głosu. W kuźni konie są ważniejsze niż ludzie, tu zwierzętom należy się opieka i wygoda. Z czasem Billy nabrał takiego doświadczenia w obchodzeniu się ze swymi klientami, że zaczął leczyć końskie dolegliwości, kiedy zawiodła weterynaria.

Kiedyś do kuźni, żeby im zmienić podkowy, przychodziły konie wiejskie, ciężko stąpające, o kopytach, na które spadały długie włosy. Ale

pod koniec lat pięćdziesiątych lub na początku sześćdziesiątych zaprzestano używania koni w gospodarstwach i Billy przez jakiś czas zajmował się spawalnictwem. Stopniowo jednak po całym kraju zaczęły powstawać ujeżdźalnie i stajnie wyścigowe. W kuźni pojawiły się zupełnie inne konie. Teraz parkują przed nią samochody do przewozu zwierząt, a rasowe, długonogie, eleganckie konie tańczą zachwycone na podłodze kuźni. Zmieniły się konie, ale wszystko poza tym pozostało takie samo. Billy kocha swoją pracę i znajduje w niej satysfakcję; zadowolenie z dobrze wykonanej roboty zawsze cenił sobie wyżej niż pieniądze. Zna swój fach niejako instynktownie, trzyma w rękach tajemnicę tego zawodu. Kiedy wychodzi do konia, aby zmierzyć podkowę, nie bierze ze sobą miarki, tylko wodzi doświadczonym okiem, a mierzeniem zajmują się jego palce. Potem kilkoma pozornie przypadkowymi uderzeniami młotka wydobywa z rozpalonego do czerwoności żelaza idealny kształt.

Świadectwa jego sztuki można znaleźć wszędzie, jest nim brama starego cmentarza, którą wykonał bezpłatnie, i balustrada przy scenie w naszej nowej sali parafialnej. We wszystko, co robi, wkłada całe serce i ofiarowuje swoją pracę ludziom.

W kuźni nie tylko podkuwa się konie. Kuźnia była zawsze centrum życia naszej parafii. Rzadko się zdarza, żeby okoliczni mieszkańcy, zdążając do miasteczka, nie zajrzeli tutaj, aby pogadać. Kiedy koń był niezbędny w pracy na ziemi, farmerzy spotykali się tutaj, aby podzielić się nowinami. Prowadzili zwykle konie do podkucia w dżdżysty, mokry dzień, kiedy pogoda nie sprzyjała pracy w polu. Od kiedy konie zastąpiono traktorami, rolnicy przychodzą do kuźni wieczorem lub tak jak przedtem przy złej pogodzie. Kuźnia stała się czymś w rodzaju męskiego klubu; jego

członkowie muszą spełniać tylko jeden warunek: muszą być od dawna związani z tym miejscem.

Późnym wieczorem, kiedy Billy szykuje podkowy na następny dzień, farmerzy siadają na kawałkach żelaza albo opierają się o ścianę i rozluźnieni, palą, rozmawiają półgłosem o koniach, wyścigach, zbiorach, o pogodzie i w ogóle o stanie rzeczy w wiejskim świecie. Sam Billy nie jest gadatliwy, woli od czasu do czasu dorzucać jakieś uwagi do toczącej się rozmowy. Kiedy w zapadających ciemnościach przechodzi się obok kuźni, przyjemnie jest popatrzeć przez otwartą bramę na sylwetki mężczyzn obrysowane pomarańczowym światłem tańczących płomieni. Ale z upływem lat zbiera się coraz mniej przyjaciół. Wielu już zmarło.

Każda rzecz solidna i niezmienna mimo upływu czasu daje ludziom poczucie równowagi i ciągłości. Nic więc dziwnego, że kuźnia stała się punktem, w którym odwiedzający nas Amerykanie poszukują swoich korzeni. Jeśli Billy nie pamięta, kim byli ich przodkowie, próbuje to sprawdzić, wpytując o rodzinne historie miejscowych ludzi, znanych z legendarnej pamięci. Czasami podawali oni interesujące szczegóły, których nie znajdzie się w nowoczesnych ośrodkach ewidencji ludności ani w bankach danych, ani w pamięci komputerów. Jeśli ktoś obcy pyta o drogę, jako punkt charakterystyczny wskazuje mu się kuźnię. Jak od latarni morskiej rozchodzą się promienie

światła, tak od kuźni rozchodzą się drogi wiodące do naszych wiosek. Billy wita uprzejmie każdego, kto prosi go o radę lub usługę. Kiedy Charles Haughey został *Taoiseach**, przybył z wizytą do Billy'ego; towarzyszyły mu kamery telewizyjne. Kamery wróciły tego samego roku, kiedy Billy podkuwał Carty, konia, na którym Tim Severin odbył podróż

śladami wypraw krzyżowych. Cały ten rozgłos Billy przyjął bez emocji, uważając, że nie należy traktować tego zbyt serio.

Drzwi kuźni są zamknięte tylko w dni wielkich wyścigów konnych, bo konie zawsze dawały rodzinie Billy'ego i pracę, i rozrywkę. Jego brat Paddy był kowalem w Curragh; kiedy poszedł na emeryturę, został kierowcą autobusu szkolnego. Długie lata pracy z końmi nauczyły go cierpliwości i wyrozumiałości, był więc idealnym kierowcą i dzieci za nim przepadały. Stał się przyjacielem od serca mojej córeczki. Była jeszcze pierwszoklasistką, kiedy pewnego dnia, schodząc ze wzgórza, zobaczyła bójkę kilku starszych chłopców. Bała się koło nich przejść i w końcu się rozplakała. Właśnie przejeżdżał Paddy, zatrzymał się i wziął ją do autobusu. Tak zaczęła się ich przyjaźń. Kiedy Paddy umarł, moja córka dostała w kaplicy pogrzebowej kartę z jego zdjęciem. Powiesiła ją na ścianie w swoim pokoju na honorowym miejscu, między plakatami i fotografiami koni. Paddy znalazł się w swoim ulubionym towarzystwie.

Dzieci wiejskie przynosiły Billy'emu połamane rowery i taczki, a on je doprowadzał do stanu używalności. Starsze zwykle czekały w kuźni na autobus. Jeśli autobus się spóźniał, Billy zatrzymywał samochody i prosił kierowców, których znał, żeby odwieźli dzieciaki do szkoły. Kiedy moja córka szła z koleżankami do lasu Dromkeen na piknik, zawsze kazałam jej powiedzieć Billy'emu, gdzie są, bo wiedziałam, że będzie na nie uważał.

* Irl. premier.

Konie są tak nieodłączną częścią życia w Irlandii, że zawsze będą potrzebne miejsca, gdzie sieje podkuwa. Ale nie będzie to już kuźnia Billy'ego. Był ostatnim z długiej linii rodziny kowali; jego sztuka odeszła

wraz z nim. Blask ogniska w jego kuźni to ostatni gasnący płomień na drodze życia, którego już prawie nie ma.

MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

K

iedy rano otwieram oczy, mogę, nie podnosząc głowy z poduszki, zobaczyć starą wieżę na końcu miasteczka. Niekiedy stoi szara i zimna na tle ciemnego lasu, jak wartownik nad rzeką. Innym razem pokazuje się i znika w kłębach nadrzecznej mgły jak mlecznobiały duch, a tło lasu tworzy miękki szal wokół jej szyi. W letnie poranki wieża wita świt dumna i wyniosła. Latają nad nią kruki, kontrastując demoniczną czernią z bladą różowością porannego nieba. W takie poranki, kiedy zorza odsłania przepiękny nowy dzień, mam ochotę wyjść z domu tanecznym krokiem i

dotrzeć aż do lasu.

Schodząc po kamiennych stopniach do lasu Shippool, zostawiam świat codzienności za sobą. Osłonięta ramionami drzew, czuję się tam jak w króliczej norze, w oazie spokoju. Drzewa rosną na zboczu wzgórza, rzeka omywa im korzenie, a kiedy chodzę krętymi drózkami, błyska między gęstą zielenią. Czasami z góry zagląda słońce, wtedy błyski rzeki i promienie słoneczne tworzą na ciemnej zieleni lasu migocące plamy światła.

Chodzę w półmroku wilgotnej zieleni i widzę przed sobą jaśniejącą światłem polanę. Mogę sobie tam usiąść i patrzeć na płynące po rzece łabędzie, na odbijające się w wodzie piękno wysokich brzegów. Wielki biały łabędź lekko sunie po wodzie, a ja idę dalej, znajdując ścieżkę usłaną sosnowymi igłami i opadłymi w ciągu lat liśćmi.

Na porośniętych mchem brzegach można wygodnie odpocząć. Gałązki wrzosu i wilgotne paprocie całują mi stopy, niekiedy wisząca nade mną gałąź dotyka mojego policzka miękkimi, zielonymi liśćmi. Czuję się jak w domu, Matka Przyroda mnie przygarnia. Liście nad moją głową szumią na powitanie, salutują drzewa: i te młode, o gładkich, pozbawionych wyrazu twarzach, i te starsze, o pniach pogiętych i pooranych, i bardzo stare, których pnie - podziurawione dziuplami, pokryte naroślami - są świadectwem upływu czasu. Potrzymaj palcami mech na ich korze, a poczujesz, że w tym spokojnym lesie weszłaś w strumień czasu.

Przechodzę to przez zielony cień, to przez jasne plamy słońca, słyszę szepty poszycia leśnego i mam świadomość, że cały czas towarzyszy mi milcząca rzeka. Kiedy ścieżka wspina się stromo pod górę, odkryte korzenie drzew tworzą wygodne stopnie, a kiedy spada w dół, gałęzie

służą mi za poręczę.

Na samym dole ścieżka biegnie wzdłuż rzeki. Tu mogę sobie usiąść i popatrzeć na miasteczko Kilmacsimon, rozłożone dokoła mola po drugiej stronie rzeki. W głębokiej wodzie odbijają się domy i łodzie przywiązane wzdłuż pomostu. To jest docelowy punkt spaceru po lesie Shippool i mogłabym tu siedzieć godzinami, słuchając plusku fal bijących o brzeg, kiedy przyływ lub odpływ zmienia kierunek prądu. Wieczorem między gałęziami starego drzewa, przytulonego korzeniami do nadbrzeża, widać zachód słońca. Długie konary wyciągnięte nad wodą odbijają się w niej jak w lustrze. Potem wrony, jak czarno ubrani posłańcy, lecą do lasu po drugiej stronie, siadają na gałęziach i napełniają powietrze gwarem, niczym stare przyjaciółki plotkujące pod koniec dnia.

W lecie las jest krainą cudów tonącą w zieleni, jesienią przybiera odcień rdzy. Złoty dywan ściele się pod nogami, dokoła słychać szelest zeschniętych liści, które spadając na ziemię, wydają ostatnie tchnienie. Gałęzie skrzypią od podmuchu lekkiego wiatru i leci z nich jeszcze więcej liści. To świat jesiennego lasu. Na Boże Narodzenie

ostrokrzew przybiera swoje ciemnozielone gałęzie czerwonymi jagodami.

Idę stromą ścieżką w górę, oddalając się od brzegu, korzenie drzew służą mi za schodki. Ścieżka biegnie wysoko nad brzegiem rzeki Bandon i nad zamkiem Shippool, prowadząc z powrotem do drogi. Z daleka widać miasteczko Innishannon w zalesionej dolinie. Na prawo droga prowadzi do Kinsale; z zakrętu na wzgórzu można zobaczyć, jak rzeka rozszerza się, zmierzając do portu. Cała okolica, jak patchworkowa kołdra, rozciąga się przed twoimi oczami. Ale na lewo droga prowadzi do domu, do Innishannon. Za zamkiem Shippool znów towarzyszy mi rzeka, rozstając

się z nią dopiero w punkcie „przyłapanych”. Dawniej była tu *shebeen**, gdzie pijacy i przemytnicy urządzali po nocach libacje. Czasami zaskakiwała ich tutaj obława policyjna. Wspinam się na wzgórze, skąd droga prowadzi prosto w dół do miasteczka. Stoję na szczycie skały, a w dole, między drzewami, rozciąga się Innishannon.

Do lasu Shippool chodzi się latem i jesienią. Drom-keen, spoglądający na miasteczko ze wzgórza po drugiej stronie rzeki, to las zimowy i wiosenny. W ponure zimowe miesiące drzewa śpią pod szarobrązową, nieładną kołdrą, a ich pnie sięgają zimnej wody rzeki płynącej w dole. Są ubrane w te łachmany, dopóki nie obnaży ich ostry zimowy wiatr. Pokazują wtedy swoje surowe piękno, wyciągając wychudzone gałęzie do nieba jak ramiona krucyfiksu. W mroźne noce czarne konary drzew stojących na szczycie wzgórza rysują się na tle zimnego nieba jak posągi oczekujące wiosennego zmartwychwstania.

Z nadejściem wiosny w wieczornym świetle widać, że las przybrał zielony odcień. Po paru tygodniach wzgórze pokrywa się dywanem dzwonek. Wzdłuż wysoko biegnącej ścieżki otacza cię morze niebieskich kwiatków. Widoczna stąd rzeka znika w pewnym momencie pod

* Irl. melina (przyp. tłum.).

mostem, płynąc do innego, dalekiego lasu. Pod koniec września ten sam widok zmienia kolor na czerwono-brązowo-żółty.

W Innishannon po obu stronach rzeki otaczają nas lasy. Jesienna droga z Bandon do Innishannon i dalej do Kinsale należy z pewnością do najpiękniejszych w całym kraju. Przed oczami masz ogromne połacie lasu

i kiedy myślisz, że nie może być nic piękniejszego niż zamek w Dundaniel wśród drzew, twój wzrok pada na most w Innishannon, potem na zamek Shippool i na Kinsale. Drzewa mienia się barwami, całe w złocie i brązach, tworząc rozpuszną kolorową panoramę, w której miękkości możesz zatonać.

Czasami zostawiam za sobą miasteczko i idę w górę cichymi drózkami wokół Upton, szczególnie kiedy w ciepły wieczór wzgórza są pokryte letnimi kwiatami, a wokół unosi się upajający zapach wiciokrzewu. Spaceruję po wonnych pagórkach, słuchając, jak krowy przeżuwają trawę, albo stoję przy jakiejś zardzewiałej furtce i patrzę, jak pasą się lub harczą po polu piękne, rasowe konie o smukłych pęcinach. Klasztor św. Patryka jest otoczony kwiatami jak paciorkami różańca; przechodzę obok i idę do małej kapliczki, by spokojnie się pomodlić.

Schodzę z Upton do miasteczka. Zza drzew wita mnie smukła, elegancka wieża naszego kościoła na wzgórzu. W księżycowe noce wokół jej ciemnej sylwetki zbierają się gwiazdy, a czasami księżyc odpoczywa, leżąc między wieżą a kalenicą dachu.

Zakochałam się w Innishannon od pierwszego wejrzenia. Całe moje życie to nieprzerwany romans z tym niezwykłym miasteczkiem, o którym myślę teraz jak o moim miejscu na ziemi.

SPIS TREŚCI

Czasy się zmieniają	7
Na wysokich obcasach	9
Pracująca dziewczyna	16

Dzieje miasteczka	28
„U Jacky'ego"	33
Miasteczkowa żona	38
Zadowolenie z pracy	46
Komornik	49
Anioł na dachu	52
Więc to tak?	61
Boski mechanik	67
Otwarte drzwi	75
W męskim gronie	82
Obora	88
Boży człowiek w miasteczku	92
Drugi krok	98
To tylko kawałki papieru.....	102
Naprzód, Roversi!	105
Walizka pod łóżkiem	111
Miasteczkowy sklepikarz	119
Przyjaciele i sąsiedzi.....	127
Późne macierzyństwo	134
Idzie nowe	137
Pani kościelna	144
To były wspaniałe kobiety	149
Portret miasteczka	153
Opiekunowie	157
Artysta od gadania	161
„To się może kiedyś przydać"	165

Kuźnia	170
Moje miejsce na ziemi.....	175

▪